

MAREK
HLASKO



-=OPOWIADANIA=-

www.republika.pl/marekhlasco

opracowanie: sleep-walker

SPIS TREŚCI:

- Brat czeka na końcu drogi.....3
- Dom mojej matki.....6
- Krzyż.....9
- List.....12
- Pętla.....16
- Miesiąc Matki Boskiej.....52
- Najświętsze słowa naszego życia.57
- Namietności.....64
- Okno.....72
- Ósmy dzień tygodnia.....74
- Pamiętasz, Wanda.....76
- Pierwszy krok w chmurach.....86
- Robotnicy.....91
- Śliczna dziewczyna.....95
- Żołnierz.....99
- W dzień śmierci jego.....102
- Finis Perfectus.....137
- Kancik, czyli wszystko się
zmieniło.....140
- Odlatujemy w niebo.....144
- Pijany o dwunastej w południe..150
- Lombard złudzeń.....156
- Stacja.....161
- Targ niewolników.....166

Brat czeka na końcu drogi

To było małe miasto i mała stacja. Pociągi przychodziły rzadko, nikt tu prawie nie przyjeżdżał, a ludzie przesiadujący z nędżami nocami w bufecie kolejowym znali się już dobrze: pili tanie wina, piwo i ukradkiem przyniesiona wódkę; rano szli do pracy otępiali, z żelaznym bólem pod rozpaloną czaszką. Kiedy pewnej letniej i dusznej nocy wszedł ten człowiek, wszyscy unieśli głowy. Wyglądał dziwnie: twarz jego była tak pomięta, że nikt nie wyczytałby z niej wieku, plecy miał kabłakowate, a wyraz jego oczu można by określić jako szalone zdziwienie. Stał na progu i - mrużąc w rękach czapkę - rozglądał się z głupkowatym uśmiechem. Przystępował przy tym z nogi na nogę jak dzieciak, który ma zamiar spłatać figla. Głowę trzymał pochyloną nisko do przodu i dopiero, kiedy obrócił się do patrzących nieco bokiem, wszyscy zobaczyli, że na karku jego wyrósł potężny, do garbu podobny guz mięśni. Tak czasem bywa z mężczyznami, którzy bardzo wcześnie - jako młodzi chłopcy - zaczęli ciężko pracować fizycznie.

Stał tak długą chwilę i rozglądał się wciąż z tym samym uśmiechem zaciekawienia. Potem pochylił się jeszcze bardziej i szybko podszedł do pierwszego z brzegu stolika, przy którym siedziało dwóch młodych mężczyzn z kobietą. Przystanął przy nich; oparłszy się dłonią o krawędź stołu, pochylił się ku kobiecie i patrzył na nią rozszerzonymi oczami. Kobieta odsunęła się gwałtownie.

- Czego pan chce? - zapytał jeden z młodych ludzi. Był to ładny chłopiec o jasnych włosach i ogorzalej cerze; niebieska, szeroko przy szyi rozpięta koszula podkreślała kontrast tych barw. Czekał chwilę, a kiedy zagadnięty nie odpowiedział, powtórzył pytanie: - Czego pan tu chce?

Zgarbiony człowiek milczał. Wciąż patrzył na kobietę i uśmiechał się radośnie.

- Czego pan chce? - pytał dalej ładny chłopiec.

- Nie jesteśmy sami, chyba pan to widzi. Idź pan stąd do diabła. Człowiek wpatrujący się w kobietę nie drgnął nawet, patrzył prosto w jej twarz, a jego oczy z sekundy na sekundę stawały się coraz bardziej okrągłe. Wtedy drugi chłopak szybkim ruchem stracił jego dłoń ze stołu.

- Uciekaj - powiedział. Uciekaj stąd, bo będzie źle. Mówię ci: uciekaj stąd szybko.

Pchnął zgarbionego w plecy. Ten niechętnie, z powolnością niedźwiedzia, odszedł. Krążył chwilę po sali, rozglądając się bacznie, potem znów przystanął przy jakimś stoliku. Siedziała tam kobieta w jaskrawej sukni wraz z dwoma wojskowymi. Wszyscy troje byli trochę podpici, bawili się między sobą nie zwracając uwagi na resztę ludzi i kiedy zgarbiony podszedł do nich, nie wywołało to u nikogo zdziwienia.

- Chcesz się napić przyjacielu? zapytał jeden z wojskowych. Nalał wina w kufel po piwie i podał zgarbionemu. - Napij się - powiedział - i wspominaj nas dobrze.

Zgarbiony nie wziął kufła. Patrzył na kobietę i nie mówił nic. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając bezzębne zęby i kobieta odwróciła głowę.

- Zalany jest - powiedziała. - Dajcie mu spokój. Sam widocznie wie, że ma dosyć.

- Nie, to nie - powiedział wojskowy. Odstawił kufel. - Siadaj,

kochany - rzekł do zgarbionego. - Siadaj i opowiedz coś o sobie. Skąd jesteś?

Zgarbiony milczał, jego pomięta twarz zarumieniła się nagle jak po wypiciu dużego kielicha wódki. Kobieta zdenerwowała się nagle.

- Jakiś niemowa - powiedziała z gniewem. Zwróciła się do jednego z wojskowych: - Powiedzcie mu, żeby stąd poszedł. Czy nie można nawet parę minut posiedzieć w spokoju? Niech on sobie stąd idzie.

Milczący dotąd drugi wojskowy powiedział nagle:

- Tak, tak, niech pan sobie stąd idzie.

A kiedy zgarbiony człowiek mimo to nie odchodził, pochylił ku niemu poczerwieniałą twarz i syknął:

- Wynocha, rozumiesz?

Zgarbiony stał jeszcze przez chwilę, potem odszedł krok i z tego miejsca patrzył na kobietę. Tym, którzy obserwowali go z boku, zdawało się, że nie widzi nic poza nią, tak jakby jego oczy mogły przyswajać sobie ten tylko jedyny obraz. Było to przykre.

Towarzystwo przy stoliku siedziało przez chwilę w milczeniu, potem jeden z wojskowych powiedział bardzo głośno do swego towarzysza:

- Nie rozumie widocznie po ludzku.

- Zawołaj milicjanta - rzekła kobieta odwracając głowę. - Jeśli nie ma innej rady, zawołaj milicjanta.

- Tutaj, na tej stacji? Łatwiej zadzwonić na Boga.

- Czekaj - ożywił się drugi. - Ja go postraszę.

Sięgnął do pasa i - udając, że wyjmuje pistolet - wymierzył w zgarbionego palec i krzyknął głośno:

- Puff, paff.

Zgarbiony człowiek zasłonił oczy rękami i niezdarnie począł cofać się tyłem. W drzwiach potknął się o próg i runął. Potem zerwał się nagle i uciekł nie zamykając nawet drzwi. Wszyscy zachichotali.

- Jakiś dziwak - powiedziała kobieta.

- Nieczęsto się taki trafia w każdym razie.

- Może wariat?

- Diabli wiedzą.

- Mało wariatów chodzi po świecie? Podobno każdy jest w jakimś tam stopniu zwariowany...

- Wiecie co robi wariat, kiedy chce zobaczyć nagą kobietę?

- No?

- Żeni się.

- Świntuch. Ale tamten nie wyglądał na wariata.

- Ci, co się żenia, także nie wyglądają.

- Jeśli jeszcze raz tak powiesz, to odejdę od was.

- W tym mieście nie znajdziesz innego towarzysza. Siłą rzeczy jesteś skazana na nasze.

- O której przychodzi nasz pociąg?

- Jeszcze czas. O piątej. Boże, on znów przyszedł...

Wszyscy troje odwrócili głowy. Zgarbiony człowiek stał w drzwiach i rozglądał się bacznie, a pierwsze co zauważyli to uśmiech, który nie znikł z jego twarzy. Stał bez ruchu kilka sekund; kiedy zrozumiał, że nikt z obecnych nie ma zamiaru go wyrzucać, przeszedł wolno na środek sali. Stanął obok jakiegoś stolika, gdzie siedziało liczne towarzystwo; ilość pustych butelek stojących przed nimi świadczyła, że nie marnowali czasu od rana. Nikt nie zwrócił na niego uwagi; stał wychylony jak bocian. W pewnym momencie wyciągnął rękę i dotknął ramienia jednej z kobiet, przesunął po nim dłonią w sposób jakiś bardzo pieścizotliwy. Kobieta powoli odwróciła głowę, lecz kiedy zobaczyła przed sobą obcego człowieka, krzyknęła i przytuliła

się do mężczyzny. Ten wstał purpurowy z pasji.

- Co jest, do jasnej cholery? - powiedział - Co jest, ty łobuzie? Co ty sobie myślisz?... - zaczął się nagle krztusić ze złości i nie dokończył. Z całej siły uderzył zgarbionego pięścią w usta. Zgarbiony nie odsunął się i nie spojrzał nawet na mężczyznę. Oblizął krew z warg i w dalszym ciągu patrzył na kobietę; trzymał przy tym uniesioną rękę, tak jakby raz jeszcze chciał dotknąć jej ramienia. Ten uśmiech i gest rozjątrzył mężczyznę. Uderzył go teraz dwa razy, o wiele silniej: raz w twarz, raz w żołądek. Zgarbiony zwinął się z bólu; wtedy mężczyzna błyskawicznie kopnął go w twarz. Teraz dopiero zgarbiony rozciągnął się jak długi.

- Masz dosyć? - zapytał mężczyzna. Zasapał się i począł ocierać spoczone czoło; jego wielka, kraciasta chustka stała się momentalnie mokra.

Od stolika stojącego w rogu podniosło się dwóch kolejarzy. Podeszli do leżącego i pochyłili się nad nim.

- Teraz ma dosyć - powiedział jeden z nich. Zwrócił się do stojącego wciąż mężczyzny. - Wyprowadzę go na peron. Świeże powietrze dobrze mu zrobi.

- Bydlę - mruknął mężczyzna. Usiadł.

Kolejarze wzięli leżącego pod ramiona i wyprowadzili go na peron. Noc była duszna, brakowało im oddechu, uciskały sztywne kołnierzyki. Pachniało czadem i liśćmi nagrzanymi za dnia. Daleko, nad zielonymi światłami semaforów, błyszcząły blednące gwiazdy Wielkiego Wozu.

- Lepiej? - zapytał jeden z kolejarzy zgarbionego.

Kiwnął głową.

- Wiesz już, gdzie jest twój brat?

Nic nie odpowiedział ani nie uczynił żadnego ruchu głową. Kolejarz odpiął z rzemienia latarkę i oświetlił sobie nią twarz.

- Rozumiesz, co będę mówił do ciebie?

- Tak - powiedział zgarbiony.

- Wiesz, gdzie mieszka twój brat?

- Nie. Nie wiem.

Milczeli przez chwilę. Kolejarz uniósł nieco wyżej latarkę.

- Słuchaj - powiedział. - Widzisz ten tor?

- Tak - rzekł zgarbiony.

- Idź prosto tym torem. To kilometr, może dwa. Widziałem się dzisiaj z twoim bratem. Powiedział, że będzie na ciebie czekać. Spotkasz go. Mówił mi, że weźmie cię do siebie. Rozumiesz?

- Tak - powiedział zgarbiony.

- To idź już, czas. Chcesz papierosa?

- Nie - powiedział zgarbiony. - Muszę iść. Jeżeli on na mnie czeka, to muszę iść. Przyjadę do was kiedyś z bratem.

Odszedł. Patrzyli za nim, jak biegnie środkiem toru potykając się na podkładach.

- Za dziesięć minut tym torem będzie szedł pociąg - powiedział milczący dotychczas kolejarz.

Drugi spojrzał na oświetlony zegar.

- Za osiem.

- Słońce już wschodzi. Możesz zgasić latarkę.

- Już za parę dni będzie wschodzić później.

- On nic nie słyszy?

- Jest głuchy jak pień. Możesz strzelać o krok za nim.

- Ogłuchł tam, w więzieniu?

- Tak. Może zresztą jeszcze wcześniej.

- Musieli pewnie z nim coś zrobić.

- Nie mam pojęcia. Pewnie przesłuchiwali go na swój sposób.
- Ja nie chcę nic na ten temat słyszeć, rozumiesz? Mnie toto wszystko nic nie obchodzi. Ja nie chcę o tym słyszeć.
- Nie słuchaj.
Znów milczeli chwilę. Czerwona kula słońca ukazała się na horyzoncie. Mokre tory lśniły jak dwa pasma słońca. Gdzieś daleko biegł między nimi pochylony człowiek.
- Ile siedział?
- Jedenaście lat. Miał jakieś sprawy z partyzantki. Teraz go wypuścili.
- Nie ma nikogo?
- Nikogo - powiedział kolejarz. - I trochę mu się pomieszało w głowie. Kiedy tam trafił, był jeszcze dzieckiem. Miał kiedyś brata i ciągle czeka na niego, ciągle szuka. Ten brat już dawno umarł, ale on nie chce w to uwierzyć. Jedenaście lat w więzieniu to przecież coś znaczy.
- Skąd wiesz o tym wszystkim?
- Trzy dni temu wracał z tamtymi. Wypuścili go z amnestii. Na tamtych czekały rodziny, żony i tak dalej. Na niego nikt. Wczoraj okradli go ze wszystkich pieniędzy. Jedenaście lat nie widział żadnej kobiety, dlatego im się tak przygląda. Ciągłe obrywa po mordzie.
Przysiedli na ławeczce pod zegarem.
- Nie znalazłby i tak swego brata - powiedział jeden.
- Przecież nie żyje.
- Racja. Może by go wzięli do jakiegoś przytułku?
- Mury na mury? Zresztą... masz czas zająć się tym?
- Nie.
- Tak będzie najlepiej.
- Jasne. To już za dwie minuty... - Zwrócił się nagle do kolegi. - Słuchaj - powiedział - to gdyby oni tam, w poczekalni, mówiąc do niego, patrzyli mu w oczy czy tam prosto w twarz, nie potrzebowałiby go bić?
- Oczywiście - powiedział drugi. - Oczywiście... - Z hukiem przejechał pociąg, a kiedy ustało już dudnienie, kolejarz rzekł: - Puścili o minutę za wcześniej. - Kopnął jakiś kamyk i uśmiechnął się kwaśno. - Ba - powiedział. - Gdyby wszyscy nam mogli patrzeć w twarz...

Dom mojej matki

Moja matka była starą i brzydką kobietą. Nie mógłbym nawet silić się na opisanie jej twarzy; zdaję sobie sprawę, że twarz ta nie zachowała nic ze swojej prawdy: tak dzieje się często z ludźmi bardzo schorowanymi i zniszczonymi przez przeżycia ponad skromne ich siły.

Patrzyłem, jak gasła moja matka. Były to jedyne chwile mego życia, kiedy czułem się zupełnie bezsilny; tak bezsilny, jak tylko może się czuć człowiek, który uprzytomni sobie, że zawsze może iść z czasem naprzód, lecz nigdy go powstrzymać. Trwało to jednak krótko; potem zrozumiałem, że człowiek, który chciałby powstrzymać czas, jest w takiej sytuacji, jakby wsadził dłoń w górski strumień i czując jej

drżenie, myślał, że tamą jest jego dłoń.

Mówiłem wtedy:

- Nie martw się, mamó! Wszystko będzie dobrze i będziesz mieć swój dom. Przecież wiesz, że nikogo na świecie nie kocham bardziej od ciebie...

Wiem, że matka moja nie była nigdy kochana przez żadnego mężczyznę: małżeństwo jej z moim ojcem nie należało do szczęśliwych. Prawie już nie pamiętam ojca, lecz z opowieści wiem, że przez całe życie paliło mu się pod czaszką. Był to jednak zimny ogień inteligenta, który nie daje nic prócz blasku. W pewnym momencie swego życia ojciec mój wypalił się; potem już jego serce i myśli przypominały patyczek choinkowy, na którym zwęgliła się owa minimalna ilość substancji chemicznych dająca silny i piękny blask. Resztę życia spędził na szukaniu usprawiedliwień dla samego siebie; stał się gorzki i niesprawiedliwy wobec każdego.

Moja matka rzekła mi kiedyś:

- Nie jesteś dzieckiem urodzonym z wielkiej miłości. Z twoim ojcem pobraliśmy się dlatego, że myśleliśmy, iż będziemy sobie potrzebni. Pamiętaj, abyś nigdy nie wierzył w takie rzeczy; nie wolno ci! Ludzie, którzy myślą, że z czasem dopiero staną się sobie potrzebni, powinni odejść od siebie i zapomnieć kroków, które ich wiodły ku sobie.

Bardzo mnie to wtedy zabolalo. Gdy się dowiedziałem, że moi rodzice nie byli złączeni miłością, bez której w wyobraźni mojej nie mogło być nic stałego, uczułem momentalnie ssącą pustkę i przez długie miesiące nie opuszczała mnie myśl, że właściwie nie jestem nikomu potrzebny. Zdawało mi się, że ludzie tacy jak ja - nie powinni żyć.

- Po co mi to mówisz, mamó? - rzekłem wtedy. - Mam osiemnaście lat i gotów byłbym zabić za każdy listek oderwany z drzewa moich marzeń...

- Uśnie szybko twoje drzewo, jeśli nie będziesz wiedział, że zdarzają się burze i grady...

Dziś nie mam już osiemnastu lat; bardziej nad burze i grady pragnąłbym drętwej ciszy południa. Wtedy jednak ciężko mi było dzień po dniu przeżywać z człowiekiem, który nie był kochany; tym ciężiej, że człowiekiem tym była przecież moja matka. Goryczy dodawała mi myśl, że matka moja nie pragnie już cierpień, miłości ani walki; wielkiej goryczy dodawała mi myśl, że jedynym pragnieniem jej życia jest mały, własny, kolorowy domek na przedmieściu.

- Mamó! - mówiłem. - Przecież to straszne dla mnie, że ty marzysz tylko o własnym domku i o niczym już więcej. Jakże mam cię kochać? I dlaczego tylko tyle? Jesteś przecież dobrym człowiekiem i wiem, że potrafisz kochać; ja to wiem najlepiej! Nie mogę cię jednak wcale zrozumieć... Są kraje, w których miliony ludzi znajdują się bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, miliony głodnych i nieszczęśliwych ludzi. Mało... Nie wiadomo, czy ci ludzie, którzy mają dziś dach nad głową, jutro nie zostaną bez niego. Jakich wymiarów wobec tych spraw nabiera twoje marzenie? To żalosne, mamó... Czy naprawdę widzisz teraz uczciwe miejsce na twoje marzenie? - Każde marzenie - odpowiadała mi matka - jest uczciwe. Samo słowo m a r z e n i e jest uczciwe. Nieuczciwe mogą być myśli, pragnienia, dążenia, lecz marzenie pozostanie, czyste, nawet wtedy, kiedy inni wdepczą ci je w błoto... Pomyśl: będziemy mieć własny dom. Będzie ci źle, będą cię zdradzać i wyszydzać ludzie, wtedy wrócisz do naszego domu i powiesz tylko: "To jest nasz dom". Świat wyda ci się inny, jeżeli spojrzysz nań przez okno naszego domu.

- Nie chcę mieć takiego domu - mówiłem łykając gniew - w którym

musiałbym kryć się przed światem i przed ludźmi. To nie dom, to skorupa. Brzydę się skorupą. O, nie było doprawdy argumentu, którego bym nie użył. Mówiłem o trudzie tych, którzy budują od podstaw nowe życie, o tysiącach nowych domów; przynosiłem dziesiątki gazet, moje radio znienawidzili sąsiedzi, staruszka mieszkająca przez ścianę nie odpowiadała na moje ukłony; przestałem mówić zwykłym ludzkim głosem, tylko ryczałem, przybierałem teatralne pozy: to wszystko było przecież moją prawdą i robiłem wszystko, co mogłem, aby zrozumiała ją także moja matka. Lecz wszystko na próżno - ten przeklęty, kolorowy domek na przedmieściu był wbity jak dziesięciocalowy gwóźdź w drzewo marzeń mojej matki. Swoje słowa czułem niby odbijające się piłeczki i w sercu moim coraz bardziej rozlewała się gorycz. Bywałem niedobry i niesprawiedliwy dla matki; potem oczywiście czyniłem wszystko, by to odrobić, dzięki czemu nasze ciche dotąd życie we dwójkę stało się łodzią żeglującą po niespokojnej wodzie. Lecz aby płynąć, musieliśmy wiosłować we dwójkę.

Chodziłem czasem na przedmieście i wałęsałem się godzinami po piaszczystych i krzywych uliczkach, gdzie przycupnęły małe domki. Doszedłem do tego, że patrzyłem na nie z nienawiścią i z nienawiścią także myślałem o sobie, że mały ten domek w jakimś sensie przesłania mi widok na ogromny mój świat. Lecz nie mogłem go zburzyć. Ohydne były dla mnie słoneczniki i zielone sztachetki, klomby i spacerujące po nich kury, radośnie umorusane dzieci i koty leżące w słońcu. Pogardałem każdym z tych ludzi mieszkających w kolorowych domkach na peryferiach naszego miasta. Gdyby to zależało ode mnie, zabroniłbym budować takie domki. Myślałem wtedy o strasznej sile, jaką jest ludzkie przyzwyczajenie. Zabroniłbym budować takie domki, gdyż zdawało mi się, że ci, którzy w nich mieszkają, nie wiedząc o tym, sami pozbawiają się rzeczy o wiele większych.

"O, mamó - myślałem - łatwiej chyba zbudować sobie nieśmiertelność niż porozumieć się z drugim człowiekiem".

Kiedy przebywałem na przedmieściu - a przebywałem dość często, gdyż jestem z natury łązęgą - drażniło mnie nawet powietrze ciągnące od wilgotnych pól zza rzeki. Czyste poranki i łagodne, pełne mgieł zachody słońca budziły we mnie pogardę, jaką mam dla kiczu. Kiedyś - była to niedziela - zobaczyłem dziada siedzącego w kalesonach na progu. Mrużył oczy od słońca i leniwie przebierał palcami po klawiszach, gdyż trzymał na kolanach harmonię. "Oto - pomyślałem dygocąc ze wściekłości - przeżytek". Zwróciłem mu uwagę; grzecznie powiedziałem, że nasze miasto jest wielkim miastem i on jako jego mieszkaniec... i tak dalej. Dziad spojrział na mnie sennie, potem zawołał swoich trzech synów wyglądających bardzo po junacku, a ci obeszlili się ze mną brutalnie. Kiedy na czworakach wycofywałem się z placu boju, dziad otworzył jedno oko i rzekł:

- Mocnych demokracja zamknęła...

To zraziło mnie na jakieś dwa tygodnie, lecz potem znów wałęsałem się po przedmieściu. Wydawało mi się, że gdzieś tam właśnie tkwi jakaś siła magnetyczna, którą znają wszyscy ludzie prócz mnie.

- Czy nie widzisz - mówiłem do matki - tych wszystkich pięknych białych domów? Nie widzisz tych ulic? Masz oczy, lecz nie masz serca i dlatego twoje oczy są ślepe.

- Oczy moje są ślepe dlatego - mówiła matka - że nie widzę mojego małego, własnego domu. To wszystko.

- Czy jest ci źle żyć? Nie wierzysz ludziom? Nie wierzysz nam?

- W cóż mogłabym wierzyć, jeśli nie w czyste ręce swego dziecka?

- Więc dlaczego? Dlaczego się nie cieszysz? Nie jesteś głodna i nie jestem dla ciebie złym dzieckiem; sama to przyznajesz, nawet wtedy, gdy milczysz, wiem o tym... Ale chociaż jestem twoim synem, nie może mnie wzruszać twój smutek, że nie masz własnego, małego domku na przedmieściu, kiedy widzę radość innych ludzi, wprowadzających się do wielkich, wspólnych domów. Mamo, przestań...
Matka moja umarła. Umarła nie dlatego, że nie spełniła swych pragnień, lecz dlatego, że była starą i schorowaną kobietą. Jej ostatnie słowa nie były skargą, że nie doczekała małego, własnego domku, lecz życzeniem szczęścia dla mnie.
Ja pozostałem. Żyję i dalej cieszy mnie widok jasnych, wielkich domów. Wiem, że mieszczą one w sobie również wiele pragnień, cierpień, na pewno o wiele większych i słuszniejszych od tych, które miała moja matka.

Lecz czasem ciężko mi żyć: właśnie wtedy, kiedy przechodzę obok takich wielkich, jasnych domów, a także kiedy nocami wałęsam się po krzywych i piaszczystych uliczkach przedmieścia, gdyż z natury swej jestem włóczęgą. Pogodziłem się już z owym dziadem, opowiada mi on czasem o wszystkich najwspanialszych rzezimieszkach, jacy deptali te ulice, i oczy jego są pełne marzenia.
Tak, jest mi ciężko, gdy patrzę, w oświetlone lub ślepe - nocą - okna każdego domu. Lecz najbardziej smutno mi, gdy idę wieczorem nad Wisłą i widzę odbijające się w wodzie światła: ulic, domów i gwiazd. Bo pamiętam, że matka moja chciała, aby jej mały, własny, kolorowy dom - stał nad rzeką.
1954

Krzyż

Drzwi zgrzytnęły i do celi wszedł strażnik. Był to jegomość wysoki i chudy; cerę miał ziemistą i oczy wiecznie podkrażone, gdyż cierpiał na wątrobę - wiedzieli o tym wszyscy ci, którzy siedzieli tu dłużej; on sam często uskarżał się w głos. Strażnik chrząknął głośno. Człowiek siedzący na pryczy spojrzął na niego z wyczekiwaniem.
- Rodzice przyjechali - powiedział strażnik. Głos jego brzmiał nosowo. - Trzeba się iść pożegnać.
Siedzący na pryczy milczał. Oglądał swoje ręce; dłonie miał wielkie, grube, o spękanych palcach. Ręce takie na pierwszy rzut oka wydają się niezgrabne i do niczego właściwie nieprzydatne; trzeba je dopiero zobaczyć przy pracy, aby przekonać się, ilu rzeczy potrafią dokonać.
-Tak - powtórzył strażnik i przestąpił z nogi na nogę. - Trzeba się iść pożegnać. Oni czekają już od rana, przyjechali pierwszym pociągiem.
Siedzący wstał i wyprostował się. Był wysoki i krępy, twarz miał okrągłą; ostrzyżone przy skórze ciemne włosy czyniły ją jeszcze bardziej podobną do kuli.
-Zimno dzisiaj? - zapytał. Począł rozcierać dłonie.
- Nie będziemy przechodzić przez podwórko - powiedział strażnik. Wykonał uspokajający ruch ręką. - Po prostu zejdziemy na dół. Oni tam czekają.

Wyszli na korytarz. Strażnik zamknął drzwi. Poczuli iść korytarzem; więzień szedł przodem i swoje ogromne dłonie założył do tyłu. Naprzeciw nim szli dwaj więźniowie trzymając w rękach kubły. Jeden z nich machnął ręką do prowadzonego i zmrużywszy oko, rzekł:

- Jak się masz, gospodarzu.

- K. S. - powiedział strażnik. - Nie rozmawiać.

Niosący kubeł gwizdnał. Poszli dalej. Człowiek o okrągłej głowie zapytał:

- Nie wyjdę już na podwórko, co?

- Chyba nie - odparł strażnik. Miał męczęński wyraz twarzy; już od rana czuł, że czeka go wściekły atak wątroby. Skręcili w następny korytarz i szli bardzo wolno, gdyż więzień ostatnio mało chodził i bolały go nogi obute w ciężkie drewniaki. Syczał więc i potykał się. W pewnym momencie powiedział:

- Pieką mnie nogi straszne.

- Och - rzekł strażnik. Wzruszył ramionami. - To już niedaleko.

Więzień mruknął; starał się stapać bokiem. Patrzył z uporem na ściany i po chwili rzekł:

- Żarówka się przepaliła.

- Gdzie? - zapytał strażnik. Przystanęli.

- Tam - rzekł więzień i uniósł do góry swoją ogromną dłoń.

Strażnik spojrział. Istotnie - jedna z żarówek rozświetlających korytarz nie świeciła. Strażnik pokiwał głową.

-No i powiedz pan sam - rzekł. - Czy to są żarówki? Mój zięć kupił w zeszłym tygodniu trzy, to dwie się od razu przepaliły. Poszedł do sklepu i chciał wymienić, a tam mu mówią: "Co pan, śmieszny? Czy to nasza wina? Takie dają, to takie sprzedajemy..." Z żarówkami teraz bieda.

- Ile kosztuje żarówka?

- Nawet nie wiem - powiedział z zakłopotaniem strażnik. I nagle zapytał podejrzliwie: - A dlaczego?

- Tak sobie.

Strażnik popatrzył na niego uważnie i rzekł z gniewem.

- Idziemy, idziemy. Co pan - żarty gra?

- Szli dalej wzdłuż zamkniętych drzwi. Przy samej klatce schodowej dyżurni więźniowie myli korytarz. Szorowali z hałasem szczotkami osadzonymi na krótkich trzonkach; pachniało szarym mydłem i gorącą wodą. Kiedy przechodzili, jeden z nich podniósł spoconą twarz i szepnął:

- Koleś, rzuć fajkę, na wypisze ci oddam.

- K. S. - powiedział strażnik. - Nie rozmawiać.

- Nikt przecież nic nie mówi - rzekł myjący podłogę. - Czy ja co mówię, do cholery? Przecież nie mówię... - rzucił z hałasem szczotkę i odstawił wiadra: strażnik z okrągłogłowym przeszedł. Więzień znów stąpił nieostrożnie i syknął.

- Już, już - rzekł uspokajająco strażnik. - To naprawdę już blisko.

Weszli do kancelarii, a potem przeszli do izby, gdzie czekali rodzice więźnia. Na widok wchodzącego podnieśli się z ławki.

- Można się przywitać - rzekł strażnik i na jego chudej twarzy ukazało się coś, co mogło być uważane za uśmiech, lecz tylko przez tych, którzy znali jego chorobę. - Można siedzieć. - Poprawił pas z ciężkim pistoletem i usiadł na krześle pod oknem. Więzień stał pośrodku izby i mrugał oczami; było tu o wiele jaśniej niż w celi, gdzie przebywał dotychczas. Następnie podszedł do rodziców; najpierw pocałował w rękę ojca i następnie matkę.

- To dzisiaj rano przyjechaliście? - zapytał?

- Ano, tak - rzekł ojciec. Był potężny i wysoki, kark wylewał mu się z przyciasnego kołnierzyka; głos miał donośny, nawet teraz - kiedy nie wiadomo czemu starał się mówić szeptem. Syn nie był do niego podobny; ani z wyglądu, ani z zachowania. - Jechaliśmy całą noc do ciebie - powiedział surowo ojciec.

- Z przesiadką w Jodłowie?

- Teraz - powiedziała matka - trzeba się przesiadać w Rostaszewie.

- Uhm - mruknął więzień. Starał się usadowić, aby nogi jego odpoczęły nieco. Oparł się palcami o ścianę i nogi wysunął przed siebie. I nagle serce jego poczęło bić mocno: zląkł się, że ojciec - człowiek bardzo surowy - każe mu wstać i rozmawiać na stojąco, gdyż nie lubił, aby dzieci przemawiały do niego bez szacunku. Więzień przypomniał sobie o tym i zagadał szybko: - A jak tam u Sidorowicza?

- U Sidorowicza? - powtórzył z namysłem ojciec. Milczał przez sekundę szukając odpowiedniego słowa, a potem rzekł: - Tak jak to zwykle u niego. Tyle że koń padł.

- Padł koń - ucieszył się więzień. Marzył o tym, aby móc już powrócić do celi i zdjąć buty. - Jak to mogło być?

- Padł - i koniec - powiedział ojciec. - Wołali weterynarza, ale było już za późno - poskrobał się po głowie, znów milczał przez sekundę. Potem rzekł tonem upomnienia: - Z koniem trzeba delikatnie.

- Trzeba już kończyć - powiedział strażnik odwracając się ku nim. - Jeszcze zostało pięć minut.

- To koń - powiedział szybko więzień i jeszcze nieco dalej wysunął nogi. - Tak, tak... Koń, koń... Pewnie, że z koniem tylko delikatnie... Tak, tak... No wiadomo, co zrobisz, jak padnie?... Trzeba ostrożnie i koniec... Tak, tak... - syknął: przyszło mu na myśl, że teraz - przy pożegnaniu - na pewno trzeba będzie wstać. Syknął i szybko zapytał: - A u nas jak tam?

- Ano, chwalić Boga - rzekł ojciec. - Jak dobrze pójdzie, to kupimy krowę na wiosnę.

- Koniec - powiedział strażnik. Wstał i podciągnął pas; olbrzymia kabura pistoletu śmiesznie wyglądała przy jego chudym ciele.

- No tak - rzekł ojciec. - Nie pora teraz rozmawiać. Teraz musisz z Bogiem, synu, porozmawiać. Ty już jego jesteś. Tak. No, to módl się. Uniósł dłoń do góry: strażnik odwrócił się. - Żegnam cię krzyżem Pańskim - powiedział ojciec głośno. - Uklęknij.

Więzień milczał.

- Nie - rzekł po chwili; powiedział, że kosztowałoby go to wiele bólu i na samą myśl o tym świeczki stanęły mu w oczach.

- Klęknij, synu - powiedział ojciec uroczystym głosem. - Przed krzyżem należy się klęknąć.

Więzień pokiwał głową.

- Nie - rzekł. Pochwycił rękę ojca i ucałował ją. Potem pocałował matkę i wyszedł razem ze strażnikiem. Starzy również wyszli; poszli przez dziedziniec i znaleźli się na ulicy. Poczęli iść w kierunku dworca, skąd za dwie godziny odchodził pociąg. Szli wiejskim zwyczajem: ojciec przodem, matka dwa kroki za nim, w tyle.

- Odmienili go - powiedziała matka. - Nie chciał uklęknąć. - Chlipnęła; jej starcza twarz skurczyła się żałością. - Może nie wierzy już w Boga? - rzekła.

- Pierwszy raz - rzekł ojciec takim tonem, jakby nie dowierzał samemu sobie. - Pierwszy raz, żeby zrobił nie po mojej woli. Ale dziecko z niego jest dobre.

Przy którymś ze skwerów usiedli na chwilę. Dzień był ciepły, śnieg topniał. W kolorze nieba, w nieznacznym spulchnieniu gałązek, w

połysku sierści przejeżdżających koni, w wilgotnym blasku szyn czuło się już nadchodzącą wiosnę. Przechodnie rozpinali palta, dzieci wychodzące ze szkół biegły gromadkami, brudny śnieg z szumem spływał do ścieków.

- Tak - rzekł ojciec. - Na jesieni Mietek wróci z wojska. Będzie miał garnitur po Janku. Do jesieni trzeba się jeszcze pomęczyć...

- Janek był tęższy - powiedziała matka.

-Tęższy, tęższy... Mietek w wojsku utyje, tam dają im jeść jak się należy... - milczał przez chwilę patrząc na swoje lśniące buty. - No co - rzekł po jakimś czasie. - Dziecko było z niego dobre. Nic nie powiedział, że ja mu kazałem. Nic - aż do końca.

- Tyś mu kazał? - spytała matka.

- Ano - rzekł ojciec - tak wychodzi, że ja... - kark poczerwieniał mu nagle. - Ja bachora w domu nie potrzebuję. - Potrząsnął pięściami. - Tymi rękami dorobiłem się wszystkiego - ziemi, domu, żony. Ja na stare lata wstydem świecić nie będę. Zgrzeszyli - ich sprawa. Miał się ożenić z dziadówką? Co ona miała? Co warty człowiek bez ziemi? Nic, tyle co śmierć, może nawet tego nie. Chciałem dla niego dobrze. Ja mu powiedziałem, żeby ją położył koło konia; niech będzie, że koń ją kopnął. A on się po tym wszystkim przestraszył; uciekł i zostawił siekierę. Ja miałem dla niego żonę w Zawadowie. Miałby i dom, i ziemi kawał. Ale on wolał tę. Musiał zrobić po mojej woli. Dobry był z niego dzieciak. I nic nie powiedział. Synowskie posłuszeństwo miał.

- Żeby tylko nie cierpiał za bardzo - rzekła matka i chlipnęła.

- Gdzie tam - rzekł ojciec. Chrząknął niecierpliwie. - Śmierć to śmierć i koniec. Czy to mało ludzi umiera? Czy on nie widział śmierci? przed demokracją jednej zimy to na Głuchowicach pół wsi wymarzło. A w Zawadowie? A w Janowicach? Z głodu, z zimna zawsze przecie gorzej umierać było. Dobry był z niego dzieciak i śmierć będzie miał lekką. To dopiero za trzy dni. Wrócimy do domu, to pójdziemy się pomodlić, żeby mu ta śmierć letko poszła.

- Dobry był - powiedziała matka. - Pewno, że dobry - na jej okrągłej, pomarszczonej twarzy malowała się jednak pełna wątpliwości rozterka. - Dobry, dobry - powtórzyła gderliwie. - Ale dlaczego nie chciał uklęknąć przed krzyżem?

List

Oczekiwałem na list. Nikt nie pisał do mnie listów; nie miałem nikogo bliskiego; ani tutaj, ani w kraju, ani na całym świecie; byłem już starym, samotnym człowiekiem. "Ba! - myślałem sobie nieraz. - Przecież nie wszyscy mogą mieć bliskich: to naturalne; a ludzie samotni są także potrzebni, aby inni rozumieli, jak straszną rzeczą jest samotność, i starali się przed nią uchronić". Lecz mimo to czekałem na list. Wiedziałem, że nie nadejdzie on nigdy, lecz niemożliwe wydawało mi się, aby nikt z żyjących na świecie pewnego dnia nie zechciał napisać do mnie listu. Ludzie najbardziej nawet nieszczęśliwi nie wierzą nigdy w c a ł k o w i t o ś ć swego nieszczęścia, potrzebna im jest maleńka szpareczka, dzięki której mogą oddychać; tak samo jak chyba z samotnymi; zawsze mamy maleńkie

okienko, przez które kogoś wyglądamy. Ja czekałem na list.

Dom, w którym zamieszkiwałem śmiesznie mały pokój, był jednym ze starych domów na przedmieściach naszego miasta. Był to dom o poczerniałych ścianach, wytartych schodach i zielonym od wilgoci podwórku. Na dachu tego domu kilku wyrostków założyło hodowlę gołębi; mniejsi chłopcy biegali po podwórku bawiąc się, odkąd pamiętam, w tę samą zabawę - złodzieja i policjantów; dziewczynki skakały przez sznurek oraz grały w niebo i piekło; latem w słońcu śpią tłuste koty; zawsze pachnie kapusta i mokra bielizna. Od czasu do czasu stróż upija się i gra na harmonii; wtedy dzieci zbiegają się i otoczywszy go kołem, patrzą, jak zręcznie przebiera grubymi palcami po klawiszach, a pewien łysy tapicer wychyla z okna swoją głowę i prosi: "Zagraj "Klarysse", Franciszku!"; wtedy stróż rzuca mu spojrzenie pełne słodkiej zadumy i gra to smutne i dziwne tango. dzień zaczyna się tu wcześniej; połowa mieszkańców domu pracuje w pobliskiej fabryce odlewów i już od piątej rano tupie po schodach; o siódmej obydwaj krawcy puszczają w ruch swoje maszyny; szewc straszliwym basem wymyśla swemu czeladnikowi, który jest bardzo piegowaty, ma niepokojąco podobne do nietoperza uszy i - jak twierdzi szewc - jest "potomkiem kretyna i sowy"; u tapicera stukają młotki, do warsztatu naprawy samochodów zjeżdżają pierwsze taksówki, a stróż ziewa i podciągając spodnie, wychodzi z miotłą na podwórko. Życie ma tutaj jedną twarz.

Listonosz - pan Gołębiowski - zjawiał się tu około godziny dwunastej; o tej godzinie śpiewały już wszystkie kucharki, wszystkie dywany już przetrzepano i swąd obiadów dolatywał z każdego okna. Już z daleka widziałem, jak listonosz nadjeżdża na swym rozklekotanym rowerze; jedną ręką trzyma za kierownicę, drugą - wyciąga list ze swej ogromnej torby. Wtedy wszyscy schodzą na podwórko, gdyż listonosz - tak jak i ja - jest starym człowiekiem i ciężko mu wspinać się po stromych schodach. Nakłada na nos okulary i odczytuje nazwiska:

- Siemiątkowski!
- Jaszczyk!
- Malinowska!

Wszyscy odbierają swoje listy i odchodzą. Wtedy ja pytam:

- Czy nie ma nic dla mnie?
- Nie - odpowiada listonosz. - Nic dla pana dzisiaj nie było. Może jutro będzie.
- Niech pan zobaczy jeszcze raz - proszę. - Wie pan, jak to jest; czasem się zapomina. Czasem się zdaje, że nie ma już nic, a potem dopiero spostrzega się przypadkowo, że jednak jeszcze coś pozostało. Niech mi pan wierzy, że tak doprawdy bywa. Proszę zobaczyć jeszcze raz.

Listonosz sięgał do torby, lecz twarz jego wyrażała bezgraniczne powątpiewanie. Długo grzebał, potem mówił:

- Nie, dzisiaj nie było dla pana listu. Może jutro będzie. Czekaj pan?
- Tak - odpowiadałem. - Czekam. Oczywiście że czekam. Ma do mnie ktoś napisać, ale on mieszka bardzo daleko stąd. Wie pan, jak się daleko mieszka...
- Oczywiście - mówił listonosz. - Moi bliscy także mieszkają bardzo daleko stąd. O, nawet pojęcia pan nie ma, jak daleko. Trudno, musi pan poczekać. Może jutro przyjdzie już ten list.

- Będę czekać - mówiłem. - ten list na pewno do mnie przyjdzie; niech pan tylko dobrze uważa na pocztę. Już ja pana o to bardzo proszę! Będę czekać.

- Tak trzeba - odpowiadał listonosz. - Przecież zawsze czeka się na jakiś list.

Salutował mi i odjeżdżał. Widywaliśmy się co dzień; widywaliśmy się co dzień przez wiele lat. Latem przyjeżdżał zgrzany, sapiąc jak lokomotywa; zimą piękne wasy jego sztywniały od lodu; jesienią był smutny i zgnębiony, ociekał deszczem, a rower jego ochlapany był strasznie błotem i przybywało mu rdzawych plam; wiosną on chyba pierwszy w naszym mieście rozpinał koszulę i widziałem siwe i ogromnie gęste włosy na jego twardej piersi. Przeszło wiele wiosen; czeladnik od szewca założył już własny warsztat, ożenił się i z dziesiątego podwórka słyszałem, jak takim samym basem wymyśla swemu pomocnikowi; chłopcy, którzy bawili się tu niegdyś w złodzieja i policjantów, służyli teraz w wojsku i stamtąd pisali krótkie, chaotyczne listy do dziewcząt, które skakały niegdyś przez barwny sznureczek, a teraz były już wysokie, chodziły w kwiecistych sukienkach i oziębłe odpowiadały swoim matkom, że one przecież nie pytały ich o zdanie w kwestii swego zamążpójścia. Stróż przygłuchł i mylił teraz tony dziwnego tanga, a tapicer coraz częściej trafiał młotkiem we własną rękę. Pytałem:

- Czy jest jakiś list dla mnie?

- Nie - odpowiadał listonosz. - Dziś, proszę pana, nie było nic. Zapewne będzie jutro.

- Czy sprawdził pan dobrze? - pytałem.

Listonosz robił urażoną minę i odpowiadał:

- Ja zawsze sprawdzam dobrze, proszę pana. Musi pan czekać.

- Oczywiście - mówiłem. - Będę czekać.

- Tak trzeba. Przecież zawsze czeka się na jakiś list. One rozmaicie przychodzą; przecież ludzie piszą z bardzo daleka. Czasem trzeba długo czekać na list.

Miałem żal; miałem żal do wszystkich mieszkańców tego domu, którzy otrzymują listy; nienawidziłem ich twarzy w chwili, gdy z rąk listonosza odbierali swoje listy. Wydawało mi się, iż słowa zawarte w tych listach odebrano mnie, że należą one do mnie, ja powinienem je czytać - płakać nad nimi lub śmiać się - i że tylko przez jakiś niezrozumiały dla mnie przypadek listy te trafiają do obcych rąk, podczas gdy naprawdę każdy z nich należy do mnie. Przypomniałem sobie wszystkich ludzi, jakich znałem w życiu; odżywały we mnie dawne przyjaźnie, krótkie chwile spotkań z tymi, których twarzy nie mogę sobie dziś już przypomnieć. Długo myślałem o pewnej kobiecie, którą darzyłem ogromną miłością w wieku lat dwudziestu. Przez wiele dni umysł mój zaprzatał wizerunek pewnego człowieka, z którym przyjaźniłem się kiedyś gorąco, i wydawało mi się, że człowiek ten napisze do mnie. Osiągnąłem nawet swego rodzaju cudowną pewność, iż lada dzień otrzymam list od tego człowieka; odżywały we mnie wszystkie dobre i złe chwile, jakie z nim przeżyłem: kłótnie, spacer, nocne rozmowy, dyskusje i wyznania; wywoływałem z oddali jego gesty, słowa i uśmiechy. I wiedziałem, że to on, tylko on napisze do mnie list. Tak było przez wiele dni; potem uprzytomniłem sobie, że człowiek ten umarł wiele lat temu, a ja sam rzuciłem pierwszą garść ziemi na jego grób.

O, tak! Te listy, które przynoszono tutaj, kradziono mnie; czułem

to. Jestem starym człowiekiem; każdego dnia ze zdziwieniem witam słońce na niebie; wiem przecież, że blisko mi już do śmierci; wiem, że gdybym dostał w końcu list - nie umierałbym samotnie.

Nienawidziłem ludzi dostających listy: było to uczucie człowieka, który czuje szczęście innych, a sam nie potrafi się do nich przytulić; jest to dręczące uczucie miłości i nienawiści.

"Cóż oni robią z tymi listami? - myślałem. - I na cóż im w ogóle listy? Oni mają domy, dzieci; wokół nich kręci się wielu ludzi - ja czekam tylko na list".

Wiedziałem już, kto i od kogo w kamienicy otrzymuje listy.

Wiedziałem, że pewna ruda dziewczyna, która tak chętnie przesiaduje z książką na balkonie, otrzymuje listy od narzeczonego. Przebywa on w dużym, dalekim mieście; listy jego przychodzą w błękitnych kopertach; na każdym arkuszu listu rysuje on kółko tam, gdzie pocałował papier; dziewczyna podnosi te listy do ust i uśmiecha się. Zadzierzasty starszy pan - jest z zawodu księgowym, mieszka na pierwszym piętrze i całe niedziele chodzi w kalesonach po mieszkaniu - otrzymuje listy od swego brata, który jest również księgowym; piszą oni do siebie wyłącznie o sprawach zawodowych. Schludna jak myszka staruszka dostaje listy od syna z wojska; niedowidzi ona już i to ja jej odczytuję te listy; staruszka chlipie i zawsze pokazuje mi fotografie swego syna. Jest to duży i ładny chłopiec; staruszcze jest bardzo przykro, że obcięto mu w wojsku włosy, a ona ich nie ma; od dzieciństwa przechowywała jego włosy.

A do mnie nikt nie pisał listów. Pytałem:

- Czy przyszło dziś coś dla mnie?

- Nie - odpowiadał listonosz. - Dziś nie było nic, może jutro będzie coś dla pana. Musi pan czekać.

W końcu zauważyłem, że listonosz unika mnie; unika mnie, nie patrzy mi w oczy, szybko się żegna i opryskliwie odpowiada na moje pytania. Nie wiedziałem dlaczego; byłem przerażony; listonosz był przecież jedynym człowiekiem, który mógłby pewnego dnia przynieść mi nadzieję. Nie wiedziałem dlaczego i bałem się spojrzeć w twarz temu człowiekowi; zrozumiałem to dopiero wówczas, kiedy przypadkowo usłyszałem rozmowę, jaką prowadził on z pewną kobietą. Listonosz mówił:

- Ja nie mogę jeździć do tego człowieka. On tak czeka na ten list. Ja mu nie przynoszę nadziei. Czy pani wie, co to jest nie przynieść człowiekowi nadziei? To gorzej, niż go oślepić i zabić. Ja wiem, że on czeka na tę nadzieję, i to ode mnie. Ja nie mogę z nim rozmawiać; ja czuję, że sam nie powinienem żyć. Cóż jest warte własne życie, jeśli się innym nie przynosi nadziei?

Za parę dni listonosz przywiózł mi list. Jechał tego dnia bardzo szybko po krzywym bruku naszej ulicy; wołał mnie już z daleka; niecierpliwie odepchnął innych i wręczył mi list. Potem wyjął z torby butelkę wina, podał mi ją i rzekł:

- Trzymaj pan butelkę! To wino kupiłem i powiedziałem sobie, że wypijemy je z panem wtedy, kiedy dostanie pan ten swój list. Po robocie zajdę do pana i wypijemy je. To będzie dobre wino; to jest stare wino. Ale czegoż pan płacze?

- Do diabła! - rzekłem. - Do diabła! Czy nie wie pan tego, że zawsze czeka się na jakiś list?

Odpieczętowałem go. Długo patrzyłem na rzadki liter skaczące mi przed oczami, nim to wszystko ułożyło się w jakiś sens. "Nie przerywaj łańcuszka szczęścia - czytałem. - Przepisz ten list w dziesięciu egzemplarzach i poślij go swoim znajomym. Do każdej

koperty włóż dwa złote. Nie przerywaj łańcucha szczęścia!..."
Opuściłem rękę i osłupiałym wzrokiem patrzyłem na listonosza.
- Grunt, że się pan doczekał - rzekł. - To najważniejsze. Przyjdę do pana po robocie.
Wsiadł na rower i odjechał.

1955

Pętla

*Z dobrą kobietą - nie boli życie,
od dobrego jada - nie boli brzuch,
od dobrego trunku - nie boli głowa...
Jedno z przysłów. które są mądrością narodu*

Obudził się o ósmej rano. Czuł jeszcze pewną ociężałość, lecz nie było to już owo dławiące, straszne uczucie, którego doznawał tak często - nie był to katzenjammer. Wstał i podszedł do okna. Dzień był szary, pełen zimnych i lepkich mgieł; późna jesień odarła miasto z kolorów i wdzięku. Oparty ręką o framugę okna, patrzył na mokre dachy domów; przypomniało mu się miasto, z którego pochodził, dzieciństwo, szkoła, pierwsza dziewczyna; posiadał ją w taki właśnie dzień, a przedtem długie dni chodził pod jej oknem - znał każdą szczelinę w asfalcie koło tego domu, gatunek tytoniu, który palił stróż, każdą cerę na brudnych firankach wiszących w oknie mieszkania na pierwszym piętrze.
- Dawno - powiedział cicho do siebie. - Boże, jak strasznie dawno...
W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. "Punktualna" - pomyślał. Podniósł słuchawkę i zapytał:
- To ty, Krystyno?
- Nie poznajesz?
- Nic przecież nie powiedziałaś - rzekł.
- Więc o szóstej?
- Tak - powiedział cicho. - Będę czekać w domu. Teraz jest dopiero wpół do dziewiątej. Strach mnie ogarnia, jak pomyślę, że to jeszcze tyle czasu. Siedzę tutaj sam... Boję się, że będą dzwonić...
Chciałbym, żeby już było po wszystkim.
- Musisz siedzieć w domu - powiedziała kobiecie głos. - Musisz siedzieć i czekać na mnie. Nie wolno ci zrobić nic z tego, co chcesz, rozumiesz?
- Rozumiem - rzekł. - Będę czekać w domu. Tylko chciałbym, żeby już była szósta.
- Kuba - powiedziała kobiecie głos bardzo miękko i cicho. - Przecież ty wiesz, że cię kocham. Nie mogę myśleć o tym, co się z tobą dzieje. Mam ochotę zrobić z sobą coś złego, kiedy mi ludzie powtarzają o tobie rozmaite rzeczy.
- To się skończy.
- To się musi skończyć, Kuba. O szóstej przyjdę po ciebie i pójdziemy tam razem. Ale przedtem chcę ci coś jeszcze powiedzieć.
- Słucham.
- Jeśli mi zrobisz jakiś kawał, to naprawdę koniec z nami, Kuba. Tak

już nie można dłużej. Przynajmniej ja nie mogę, doszłam do jakiegoś kresu, musisz to zrozumieć.

- Po co to mówisz?

- Chcę, żebyś o tym wiedział. Teraz do widzenia. Czekać na mnie o szóstej. Do widzenia, Kuba.

- Do widzenia - powiedział i odłożył słuchawkę. Znow podszedł do okna i oparł głowę o chłodne szkło. Ulicą, kuląc się z zimna, przemykali ludzie. Stąd, z wysokości szóstego piętra, wyglądali tak smutno i przykro, że nie można było na nich dłużej patrzeć - nieuchronnie przywodzili na myśl krzątające się owady. Zabolała go ta myśl; usiadł na fotelu i wyciągnawszy wygodnie nogi, marzył, aby nadeszła już godzina szósta.

Zadzwoił telefon. Drgnął; na twarzy jego odbiło się przerażenie. Stał chwilę bez ruchu i szeptał do siebie:

"Przecież wczoraj nie piłem. Nigdzie się nie szwendałem, nigdzie nie piłem, nikt mnie nie widział..." Telefon zadzwonił po raz drugi, potem po raz trzeci. Wtedy zdecydował się nagle. Podszedł szybko i podniósł słuchawkę.

- Tak - powiedział; skurcze serca czuł w gardle.

- To ty, Kuba? - zaskrzeczał głos w słuchawce. - Serwus, tu Janek. Poznajesz mnie?

- Jasne.

- Cholerna pogoda dzisiaj - skrzeczał głos w słuchawce. - Zdaje się, że będzie lało. W nocy pewnie padało, co?

- Nie wiem - rzekł. - W nocy nie wychodziłem z domu.

- Nie wychodziłeś?

- Nie.

- A gdzie byłeś?

- W domu.

- W domu?

- Tak. W domu.

- To niemożliwe.

- Jednak.

Chwilę trwała cisza. Potem głos w słuchawce zaskrzeczał:

- Nie piłeś wczoraj?

- Nie.

- Nie wygłupiaj się!

- Daję ci słowo - powiedział. - Nie będę już więcej pić.

Postanowiłem jeszcze raz spróbować. Albo się uda, albo nie. Jeśli nie, to też będę wiedział, co ze sobą zrobić. - Zaczął mówić coraz szybciej: - Już nie mogę tak dłużej. Pójdę na kurację. Albo pomoże, albo nie. Powinno pomóc, co?

- Niektórym pomaga.

- To mnie też pomoże. Będę brał pastylki; po takiej pastylce nie wolno pić, bo człowieka może szlag trafić. Straszne rzeczy dzieją się z człowiekiem po takiej pastylce. Jeśli nie będę pił, to przez rok ludzie zapomną o mnie, co?

- Nie trzeba roku, aby zapomnieli o tobie.

- Ja też tak myślę - powiedział. - To dobrze. O szóstej przyjdzie po mnie Krystyna. Pójdziemy razem do tej przychodni. Ona tam weźmie dla mnie te pastylki. Mnie by samemu nie dali, rozumiesz? Baliby się, że nie będę ich połykał, że będę je wyrzucał. A tak ona weźmie i będzie mi je dawać. Przystanę pić; nie będę pił przez rok, a potem nie będę już czuł pragnienia. Ludzie zapomną, że byłem pijakiem. Tak?

- Tak - odpowiedział skrzeczący głos. - Życzę CI wszystkiego najlepszego. Do widzenia.

- Do widzenia - powiedział i odłożył słuchawkę. Przeszedł do kuchni; całe ciało wypełniało mu mocne, męskie szczęście. Patrzył w niebieski, wymykający się spod czajnika płomyk gazu i myślał o dniu, w którym na zawsze złamie się przeklęty krąg upokorzeń i wstydu, o dniu, w którym nigdy już nie poczuje pragnienia, nikt już nie nazwie go pijakiem, nikt nie odwróci się od niego na ulicy, nikt nie okaże mu współczucia, którego nienawidził, troski, którą się brzydził, i żalu, że jest zdolny, młody, zdrowy i pije. W tym momencie telefon zadzwonił po raz trzeci. Wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę. Nie zdążył jednak powiedzieć słowa, gdyż głos człowieka z drugiej strony przewodu rozległ się szybciej, niż przypuszczał.

- To ty, Kuba - terkotała słuchawka. - Tu Wiśniewski, dzień dobry, złotko! Kochany, nie masz pojęcia, jak się diabelnie cieszę! Mój drogi, no, naprawdę! Nie wiesz, ile ja się gryzłem z tego powodu! Ach, mój Boże, jak to wspaniale!...

- Cóż się stało? - zapytał korzystając z krótkiej przerwy; widocznie człowiekowi z tamtej strony zabrakło tchu.

- Dzwonił do mnie Janek - skrzeczał głos z szybkością kulomiotu. - Mówił, że przestajesz pić. Czy to prawda?

- Prawda - rzekł. - Nie będę już pić od dzisiaj. Mam dosyć tego wszystkiego. Ty wiesz, jak mi się życie strasznie pokręciło przez wódkę. Nie mam bliskich ani przyjaciół; wszyscy się ode mnie odwrócili. Zacznę żyć inaczej. Musi mi się udać.

- Idziesz z Krystyną o szóstej po te pastylki, tak?

- Tak - odpowiedział. - Tak żeśmy właśnie z nią postanowili.

- Krystyna to wspaniała kobieta - terkotał głos. - I ona cię tak kocha. Tyle razy odchodziła od ciebie i zawsze wracała. Nie każda kobieta potrafiłaby to wszystko wytrzymać, Kuba. Mój Boże, jak dobrze, że zrozumiałeś to w końcu. Czy ona będzie brać dla ciebie te pastylki?

- Oczywiście - powiedział. - Mnie by przecież nie dali. Ktoś musi ze mną pójść, komu lekarze uwierzą. Przeważnie chodzą kobiety. Masz rację, że Krystyna mnie kocha. Nie każda kobieta by tam poszła. To nie musi być dla niej przyjemne, co?

- Oczywiście - potwierdziła słuchawka. - Ale Krystyna to dzielna kobieta. No, ja ci nie będę zawracał głowy. Powodzenia, słyszysz?

- Dziękuję.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

- Aha, słuchaj, jak się nazywają te pastylki?

- Jakie? - zapytał zdumiony, nie rozumiawszy w pierwszej chwili.

- Te, które mają ci dawać.

- Antabus.

- Antabus? - powtórzył bezmyślnie głos w słuchawce. - Antabus...

Antabus, autobus... Muszę sobie zapamiętać. No, to cześć!

- Cześć - powiedział.

Odłożył słuchawkę i przeszedł do kuchni. Nalał sobie herbaty i pijąc ją, myślał o wszystkim, co zniszczyła w jego życiu wódka.

Przypomniał sobie kobiety, które porzuciły go, gdyż brzydziły się jego pijaństwem; przyjaciół, którzy odchodzili od niego, gdyż brakło im sił do perswazji; szanse, których nigdy już nie powtarzało życie; posady, które tracił; ukłony, na które nie odpowiadali ludzie - i nagle zimny strach zdławił jego mózg. Pomyślał: "Nigdy nie przestanę pić, jeśli będę wspominać tamte sprawy. Muszę o nich zapomnieć, nie wolno mi o tamtym wszystkim pamiętać. Wspomnienia przygniotą mnie; jeśli pozwolę, aby wracały, nie obronię się przed nimi. Nie wolno mi

mieć tych wspomnień. W moim życiu musi być pusty plac, na który nie powinienem wracać..." Wypił duszkiem resztę herbaty i począł nalewać sobie następną szklankę. I wtedy zobaczył, że drżą mu ręce. "Nie wolno mi się denerwować - pomyślał. - Wszystko te złe myśli. Od dziś musi się to zmienić..." Tok jego rozmyślań przerwał ostry, natarczywy dzwonek telefonu.

Podszedł, podniósł słuchawkę i powiedział zmienionym głosem:

- Słucham.

- Jak się masz, Kuba! Dzień dobry, tu Ryszard. Wyobraź sobie, leżę jeszcze w łóżku, a tu dzwoni Malinowski. "Słyszałeś?" - pyta. "Niby co miałem słyszeć?" - ja mówię. A Malinowski mi mówi: "Wiesz, kto do mnie dzwonił? Wyobraź sobie, Wiśniewski. Znasz przecież Wiśniewskiego. Bracie, pojęcia nie masz, co on mi powiedział.

Myślałem, że skonam!" "No, mów wreszcie -wołam w słuchawkę. - Co się stało. u diabła?" Malinowski chwilę milczał, potem mówi do mnie: "On - przestał pić. Tak mówił dzisiaj rano Wiśniewski; podobno dzwonił do niego. Ale chyba nie wytrzyma, co ?" "E, tam -mówię. - Dlaczego ma nie wytrzymać?" I proszę ciebie, zamknąłem mu twarz. Ale co, wytrzymasz?

- Wytrzymam.

- O to chodzi - zaryczała słuchawka. - Najgorsze te pierwsze dni. Ale potem już fraszka. Cha, cha, cha! Pamiętasz, jak się rozrabiało w "Kameralnej"? Tam był wtedy taki barman, pan Edzio. Niski, szczupły, jednym sztosem nalewał do sześciu kieliszków... Mój Boże, ale się piło! Pamiętam, jak pewnego razu obraziłeś żonę Miedzińskiego. Ona z tobą chciała poflirtować, a ty do niej: "Zamknij mordę, ty stara, ruda idiotko!" I potem skandal. Miedziński do ciebie, a ty go w pysk. Cha, cha, cha! A potem nas wszystkich zaprowadzili na komisariat, tam gdzieś na Bednarską. Straszna rozróża! Słuchaj, to po tym cię wywalili z partii?

- Tak. To było właśnie po tym...

- Ejże - powiedział z niedowierzaniem głos w słuchawce. - Czy to możliwe? Mnie się zdaje, że cię wtedy wywalili, ale z pracy, tam gdzie poprzednio pracowałeś. A z partii to wtedy, jak przyszło wezwanie do sądu; pobiliś jakiegoś majora w mundurze kiedyś, tak? Cha, cha, cha! Mów, wtedy czy nie wtedy?

- Nie pamiętam - począł mówić śpiesznie, gorączkowo; czuł, iż wszystka ziemia ucieka mu spod nóg. -Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać... -Nagle zawył: - Nie chcę, rozumiesz? O szóstej przyjdzie Krystyna i to się wszystko skończy.

- Czego krzyczysz? Ja do ciebie jak do człowieka, a ty jak do wroga... No, do widzenia! Wszystkiego najlepszego. Pozdrów ode mnie Krystynę. Swoją drogą to ona ma z tobą krzyż pański. Moja żona to czasem mówi: "Żeby

on jej tylko życia nie zmarnował przez to swoje picie. Dziewczyna niknie w oczach". No, do widzenia... do widzenia... Cha, cha, cha! Antabus, autobus... Cześć! Kuba odłożył słuchawkę i podszedł do lustra. Na czole miał grube krople potu, oczy lśniły mu dziko. Patrzył na swoją pobladłą twarz i nagle - objawszy rękami ramę lustra - przytulił czoło do chłodnej tafli szkła. Serce trzepotało mu się bezładnie. "Żeby już była szósta" -pomyślał. Wypełniony nagle tym dręczącym pragnieniem, powtórzył raz jeszcze: "Szósta, szósta..."

Podszedł do biurka, wziął stamtąd fotografię dziewczyny i patrząc na nią, począł przemawiać do siebie takim głosem, jakim się mówi do małego dziecka, które wyjadło konfitury.

- Nie mogę tego zrobić - mówił. - Nie mogę zrobić tego, co bym chciał. O szóstej przyjdiesz i pójdziemy tam. A przedtem nie wolno mi niczego wypić. Nawet piwa; nawet gdybym wypił piwo, to po zażyciu tych pastylek mogłoby się to dla mnie źle skończyć. O szóstej przyjdiesz po mnie i pójdziemy tam razem. Poproszę ciebie i ty im powiesz, żeby o nic mnie nie wypytywali, żebym nie musiał odpowiadać na te wszystkie pytania, na które już tyle razy odpowiadałem. Może się nawet uda tak zrobić, abym nie wchodził do środka? Na rogu tej ulicy jest taka mała kawiarenka i tam mógłbym na ciebie poczekać. Ty tylko przyjdiesz i wezmiesz te pastylki. Potem mi dasz i ja je zażyję; będę je zażywać co dzień i przestanę w końcu mówić, że jestem pijakiem. Tylko nie wolno mi tego zrobić, muszę poczekać do szóstej... Kiedy znowu zadzwonił telefon, począł cicho płakać. Nie wypuszczając z rąk fotografii, podszedł do aparatu i stanął nad nim. Patrzył z nienawiścią na czarną lśniącą skrzynkę. Wyciągnął rękę, lecz cofnął ją z powrotem. Znowu odezwał się dzwonek. Kuba czuł, że pot spływa mu już nie po czole, lecz po całym ciele - po piersiach, ramionach i nogach. Trząsł nim zimny strach; raz za razem wyciągał rękę w kierunku słuchawki i cofał ją. "Przestań - prosił w myślach nieznanego rozmówcę. - Proszę cię, przestań. Odłóż słuchawkę, nie dzwoń. Odłóżcie słuchawki i zapomnijcie o mnie. O szóstej przyjdzie Krystyna i pójdziemy razem. Proszę cię, przestań..." Lecz telefon był nieubłagany; dzwonek powtarzał się raz po raz. Kuba patrzył na czarną skrzynkę aż do kłującego bólu w oczach: potem małym, nagłym ruchem porwał słuchawkę i wykrzyknął:

- Pomyłka, to nie ten numer...

Rzucił ją na widełki; nie mógł wyłączyć aparatu, gdyż sznur był wmontowany w małe ebonitowe pudełeczko na ścianie. Poszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Począł szybko namydlać twarz, wycisnąwszy na nią nieco kremu z tuby, lecz gdy usiłował osadzić żyletkę w maszynce, nie był w stanie, tak drżały mu ręce. Starł mydło z twarzy i zaczął ubierać się pośpiesznie. "Pójdę do fryzjera - myślał. - Ogolę się tam, może nawet każę umyć sobie głowę. Potem wrócę i nie ruszę się aż do szóstej, aż do chwili, kiedy przyjdzie Krystyna..." Wiaząc krawat, przyjrzał się swojej twarzy i nagle zobaczył, iż nie zachodzi żadna potrzeba golenia jej - zarost miał jasny, niemocny, jak to zwykle bywa u blondynów; wystarczyło, że golił się co drugi dzień. Przypomniał sobie także, że nie ma potrzeby mycia głowy; ostatni raz głowę mył przed trzema dniami - była zupełnie czysta. Lecz na dzień jego wszystkich myśli wylegać się poczęło pragnienie, którego nie chciał sobie uświadomić zupełnie jasno, w całej ostrości - myśl o tym, co mogłoby się stać, ścięła mu oddech w gardle. Resztką woli postanowił, że nie wyjdzie z domu i tu czekać będzie na Krystynę. Lecz wtedy znowu w ciszy pustego mieszkania rozległ się brzęk telefonu. "Szósta" - pomyślał rozpaczliwie. Chwilę stał nieruchomo. Potem - podcięty nowym dzwonkiem - rzucił się do drzwi.

II

Na ulicy, przed domem, stał dozorca. Był to młody człowiek o dobrodusznej, tęgiej twarzy. Przypominał południowca - miał podłużne, gorące oczy, niebieski zarost, śniadą cerę i wspaniałe zęby. Kochały się w nim wszystkie ekspedientki okolicznych sklepów. Dozorca wkręcał żarówkę do trójkątnej lampy wiszącej nad emaliowanym

sztyldzikiem z numerem domu. Kiedy zobaczył wychodzącego Kubę, wypluł niedopałek, który trzymał mu się cudem w kąciku pulchnych ust, i powiedział:

- Szanowanie. Ale pogódka, co?

- Jesień.

- W tym roku będzie cholerna zima - rzekł dozorca i zmrużył oczy; były one jednak tak wspaniałe, iż powieki nie zdołały przesłonić blasku. - Tak podobnie zapowiadali przez radio. Ale oni się zawsze mylą... Nie można im wierzyć. Do roboty pan leci?

- Nie - powiedział Kuba. - Zrobiłem sobie dzisiaj urlop. Mam do załatwienia ważną sprawę.

Dozorca roześmiał się; odsłoniwszy w uśmiechu zęby, mrużył jednocześnie oczy - za to go właśnie tak kochały; miał w sobie bez troskę i wdzięk Cygana.

- Do kogo ta pieśń? - rzekł. - Ja też wczoraj trochę pochlałem i wstałem dzisiaj późno. Przyszedł do mnie szwagier; on butelkę, ja butelkę, on flaszkę, ja flaszkę i już gotowi... Warszawa w kwiatkach, a my w rynsztoku. Pan zna Kostka, mojego szwagierskiego?

- Chyba nie... Nie przypominam sobie.

- On pana zna - powiedział piękny dozorca i uczynił uspokajający ruch ręką. - Nie bój się pan nic! On zawsze mówi do mnie: "Zenek, a co się dzieje z tym twoim lokatorem z szóstego piętra"? To inteligentny człowiek. Wiozłem go raz z "Kamery" i obrzygał mi wózek. Ale dał stówę, honorowo, inteligentnie..," Szwagier pana lubi. Jeździ na wózkach, pan wie. Swój chłopak, mówię panu. Życiowy, przejściowy, podejściowy. Jak pan chce, to możemy kiedy do niego podskoczyć na flaszkę.

- Teraz chyba nie - powiedział usiłując się cwaniacko uśmiechnąć. - Nie będę miał czasu, panie Zenku.

- jak pan będzie miał czas - rzekł dozorca - to wpadnij pan do nas. Pan wie, jak to jest; trunkowy człowiek z trunkowym człowiekiem musi trzymać blat. Co pan taki cholernie blady? Może mi się zdaje? Ale nie, blady pan jesteś...

- Źle się czuję.

- Napij się pan kwaśnego mleka - poradził dozorca. - Najlepsze po chlaniu jest kwaśne mleczko. Potem zaprawka, zjeść na gorąco i można abarotno. Kwas z ogórków też dobrze robi... Poczekaj pan; skoczę do domu, może będzie jeszcze trochę.

- Nie - rzekł. - Dziękuję panu. Bardzo się śpieszę, załatwię to na mieście. Cześć!

Odszedł prztykawszy palcem w kapelusz. Szedł wolno; wirowało mu w głowie, dusiło go powietrze. "Szósta! -myślał. - Aby tylko do szóstej..." Zacisnął ręce aż do bólu paznokci. Musiał być istotnie bardzo blady, gdyż usłyszał za sobą rozmowę, którą prowadziło dwóch mężczyzn.

- Z samego rana gotów - mówił jeden.

- Ja go znam - rzekł drugi. - Mieszka w tym samym domu, gdzie krawiec. Kawał ochlapusa.

- Życie Romana na tle chryzantemy - uzupełnił pierwszy. - A dlaczego my trzeźwe jesteśmy Janek?

- Tak to bywa w życiu Warszawy - skomentował drugi.

Przystanął i odwrócił się. Jeden z mężczyzn był starszym człowiekiem w mundurze tramwajarza; drugi nie mógł mieć ponad dwadzieścia lat, blondynek z perkatym nosem.

- Czego chcecie, do cholery? - wykrztusił Kuba. - Przecież jestem trzeźwy...

Tramwajarz popatrzył na niego uważnie i powiedział: - No, no! Pijaczek! Przejdź pan dalej!

- I nie zaczepiaj pan nieznanym - dodał blondynek; zadarty nos skurczył mu się ze złości. - Trzeba mieć trochę inteligencji. Na takich chuliganów, to ja kładę i dalej jadę...

Odsunęli go szorstko i przeszli. Patrzył za nimi z nienawiścią; gdyby miał władzę i mógł mordować, ci dwaj zostaliby przez niego zdeptani. Przymknął oczy i zobaczył ich zmasakrowane twarze z pustymi oczodołami. Pragnął przekazać im swoją nienawiść; pragnął, aby choć na chwilę odwrócili się. Tamci zniknęli za rogiem, a jemu zdawało się, że słyszy ich szyderczy śmiech. Machinalnie ruszył naprzód. Przechodzący obok niego mężczyzna rzekł do swej towarzyszki:

- Chodźmy szybciej. Już po dziesiątej...

Kuba przesunął ręką po czole i począł przemawiać do siebie w myślach: "Już dziesiąta. Muszę wytrzymać jeszcze osiem godzin. Nie mogę iść teraz wcześniej, bo musiałbym iść bez niej; musiałbym odpowiadać na wszystkie te pytania, które będą mi zadawać, musiałbym mówić o sobie wszystko... Kiedy zacząłem pić, dlaczego piję, ile piję, jak wiele muszę wypić, aby być pijanym... Nie pójdę sam. To tylko osiem godzin. Potem pójdziemy tam i nie będę już potrzebował bać się czasu. Dadzą mi ten proszeczek i koniec. Nie będzie mi już wolno więcej tego robić. Nawet, kiedy obudzę się w nocy i nie będę mógł zasnąć. Kiedy nie będę miał apetytu. Kiedy będzie mi się śnił pusty plac, pełen dołów z wapnem. Wtedy tak łatwo się napić. Ale ja już nie będę mógł. Ta pastylka będzie mnie trzymać; ja sam nie będę potrzebował nic robić, ona tego wszystkiego dokona za mnie. Będę musiał jej być posłuszny, gdyż inaczej zaczna dziać się ze mną straszne rzeczy. Szoki, zapaście, a przecież mam słabe serce, mogę nawet wykitować. - Ta myśl ucieszyła go szczególnie i powtórzył: - Mogę przecież wykitować przez to cholerne serce. A ja mam bardzo niedobre serce, lekarze mi to niejedyn raz mówili. Może mnie naprawdę szlag trafić, jeśli po niej wypiję. Ona będzie mnie trzymać..."

Rozpogodziło się nieco. Wiatr osuszył chodnik, rozgonił mgły i oczyścił niebo. Nad miastem ukazało się słońce; przechodnie unosili twarze i rozpinali kołnierze palt. Kuba szedł z rękami w kieszeniach i patrząc w kamienie chodnika, myślał: "Potem będzie już zupełnie inaczej. Jeśli w ogóle do czegokolwiek można wrócić, wrócę do życia. Nie wiem, czy będę szczęśliwy, ale może nie będzie mi najgorzej. Będę razem z ludźmi; to już dużo. Nie jako pijaczek. Jako normalny człowiek. Ci, którzy nie są chorzy, nie są pijakami, nie wiedzą, ile to naprawdę warte -być normalnym człowiekiem. Takim, który odpowiadać musi za każdy swój czyn, za każde swoje słowo i gest. Takim, któremu wolno tylko tyle, co każdemu. Którego nie usprawiedliwia żadna wyjątkowość, żadne przeszłe życie, żaden nałóg i choroba. Ludzie tego nie rozumieją. Ale ja będę takim człowiekiem..."

Na skrzyżowaniu ulic przystanął. Stał razem z grupką ludzi, lecz tak bez reszty pochłonięty własnymi myślami, że nie rozumiał nic z tego, co się dzieje dookoła. W pewnym momencie podniósł wzrok i zobaczył, że czerwone światło pali się tak jak i przed kilkoma chwilami. Ktoś stojący za nim mruknął:

- Czego nie przepuszczają?

I ktoś drugi natychmiast odpowiedział:

- Nie widzi pan? Wypadek...

Kuba zobaczył, że na jezdni tłoczy się grupka ludzi. Nie dojrzał niczego więcej, gdyż gęsto zbite plecy ludzkie przesłaniały wszystko. Odwrócił się i zapytał człowieka z tyłu: - Co się właściwie stało?

Przyjemnie wyglądający oficer w mundurze lotnika odpowiedział mu:

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Chodźmy, podejźmy tam...

Przeszli przez jezdnię i podeszli do tłumu. Oficer zapytał któregoś ze stojących ludzi:

- Wypadek?

- Wjechał jeden na drugiego - odpowiedziała jakaś kobiecina patrząc zalotnie na oficera. - Ci kierowcy tak nieostrożnie jeżdżą, że aż strach przechodzić czasem przez jezdnię...

- Był zalany - uzupełnił twardo jakiś pan w cyklistówce. - Zalany?

- Ma się rozumieć. Kierowcy naród trunkowy.

- Kary na łobuzów nie ma...

Kuba stał w milczeniu. Wyrzeszczał oczy na ludzi i nie widział ich. Nagle szarpnął oficera za rękaw.

- Pijany był? - zapytał prawie szeptem.

- Skądże ja mogę wiedzieć - odparł zdumiony oficer, delikatnie uwalniając rękaw. - Jestem przechodniem tak jak i pan.

- Wszyscy jesteśmy przechodniami - powiedział Kuba. - Ale myślałem, że pan coś wie.

Oficer spojrział na niego uważnie i mruknawszy coś odszedł. Do Kuby zbliżył się jakiś pan o wyglądzie starego ziemianina i powiedział:

- Z tymi wypadkami samochodowymi to, melduję panu, już niemożliwe.

Co dzień jakiś wypadek. Czytał pan ten artykuł w "Trybunie Ludu"? Melduję panu, proszę pana, że dziennie zdarza się kilka wypadków z powodu pijaństwa kierowców.

Dreptał koło Kuby i wymachując ogromnymi rękami, ryczał donośnym basem:

- Pijaństwo, melduję panu, to straszna rzecz. A najgorsze, że właśnie piją kierowcy. Pijany kierowca ma zmniejszony refleks i to z tego właśnie wszystko. Wie pan co? Ja napiszę otwarty list do "Trybuny Ludu"

z propozycją, aby wprowadzono karę śmierci dla kierowców, którzy po pijanemu zabijają człowieka. Inaczej, melduję panu, nie damy rady. Co dzień wypadki; przedwczoraj na Targówku pijany szofer wjechał przez płotek do jakiegoś ogródka i zabił dziecko leżące w kołysce. Tak! Albo wie pan co? Jesteśmy, melduję panu, obywatelami i zadziałamy w dobrej sprawie. Jest pan na pewno człowiekiem inteligentnym; napiszemy ten list wspólnie! Zacznijemy od słów: "Na ulicach miast codziennie giną niewinni ludzie..." Albo nie, inaczej: "Miasto pije. Co dzień widzimy tarzających się w zwierzęcym stanie ludzi..." I dalej w tym sensie! A postulat ostateczny: kara śmierci dla kierowcy, który po pijanemu zabije człowieka! Ot co, melduję panu! Stary ziemianin wyglądał na człowieka uszczęśliwionego. Lecz nagle uśmiech zgasł na jego dobroduszej twarzy. Zobaczył tuż przed sobą białe, nieprzytomne ze wściekłości oczy Kuby.

- Ścierwo! - zasyczał Kuba. - Odejź, bo zabiję!.. Odszedł i znów odezwało się w nim owo pragnienie, przed którym musiał się rozpaczliwie bronić jeszcze przez kilka godzin. Każdy człowiek idący naprzeciwko niego ulicą mrużył - zdawało się - oko i mówił: "No, nie wygłupiaj się, wypij sobie kielicha. Wszystko przestanie cię dręczyć, będzie inaczej. Pójdiesz tam jutro. Zdażysz. Zdażysz. Zaczynaj od jutra. Od jutra. Zdażysz. No, powiedz: zdażysz czy nie zdażysz? Wypijesz i skończą się twoje złe sny. Ten wypadek wyda ci

się zabawny. Twój stróż- po prostu głupi. Twoi znajomi, którzy w koszmar zamienili ci poranek, wydadzą ci się godni politowania ze swoją głupią troską. Pójdiesz tam jutro. Zmarnowałeś już tak wiele dni, cóż ci pomoże ten jeden? No powiedz? Pomoże ci ten jeden dzień? Życia nie uda ci się odkupić tym jednym dniem, mój drogi! Temu kierowcy też się nie uda. Życie to wiele dni. Wiele dni ci jeszcze pozostało. Zdażysz; nie możesz tam pójść w takim stanie. Jesteś przecież zupełnie wykończony nerwowo..." Odpowiadał im:

"Przechodźcie dalej. Muszę wytrzymać do szóstej. O szóstej ona przyjdzie. Gdyby była w mieście, poszedłbym teraz do niej. Ale ona wróci dopiero po piątej; jest teraz za miastem, jej pociąg przychodzi piąta siedem. Dlaczego mnie namawiacie? Przecież wiecie, że ona pojechała za miasto, że pojechała tam załatwić mieszkanie dla nas. Tam będziemy mieszkać - ona i ja. Będę z daleka od miasta. Od knajp. Od was. Będę tam razem z nią. Ona będzie się mną opiekować. Ona - i te pastylki. Wszystko to zacznie się od szóstej. Przechodźcie dalej, przechodźcie dalej..."

Ulica rozjątrzyła go, dygotał. Każda napotkana twarz budziła w nim pomieszane uczucie wściekłości i przerażenia. "Uciekać!" - pomyślał. Rozejrzał się nieprzytomnym spojrzeniem i zobaczył, że znajduje się w pobliżu kawiarni; o tej porze powinno być tam przyjemnie i cicho. "Kawa - pomyślał z ulgą. Oczywiście, kawa!" Wszedł i usiadł przy stoliku; pachniało dymem, kawą, pluszami -wszystkie te zapachy łączyły się w jeden dziwny, słodki i tak trudny do określenia zapach kawiarni.

- Duża - powiedział do kelnerki, młodej dziewczyny w jasnym fartuszk.

Duża powtórzyła. Uśmiechnęła się przyjemnie i odeszła.

Po chwili wróciła stawiając przed nim filiżankę dymiącego płynu.

- Tak szybko? -- powiedział zdziwiony.

Podjęłyśmy zobowiązanie -- oświadczyła. - Goście skarżyli się na nas. Teraz jest trochę lepiej .. - Uśmiechnęła się figlarnie i dodała: - Nasza praca świadczy o nas.

- Co takiego?~ - rzekł rozbawiony Kuba. Nagle wrócił mu dobry humor. Zmrużył oko i powiedział do dziewczyny: Powinna pani nosić na szyi taką maleńką tabliczkę. Mogę pani przynieść srebrny łańcuszek.. Jaka tabliczkę?

-- Wie pani, taką, jakie co krok wiszą na mieście.

- U nas też wisi - rzekła.

-- Gdzie??

Nad bufetem. Niech pan popatrzy.

Kuba odwrócił głowę i spojrzał. Rzeczywiście, nad bufetem wisiało kilka tabliczek: "Nasza praca świadczy o nas", ".Picie wódki nie zakupionej w lokalu wzbronione", "Osobom w stanie nietrzeźwym wstęp wzbroniony". "Psów do lokalu wprowadzać nie wolno".

- Dziękuję pani powiedział. - Śliczne tabliczki.

Ryła jeszcze jedna - rzekła kelnerka i znów uśmiechnęła się figlarnie do Kuby. - Widzi pan przecież, ta o psach jest inna od pozostałych. Dopiero wczoraj ją zmienili. Parę dni temu przyszedł ten pijak, malarz Lewandowski. i stłukł ją laską, bo powiedział. że zaraz po pierwszym kupi sobie kaganiec, ale do tego czasu pić kawę, więc żeby mu nie robić trudności. Mówię panu, kino było. Pan zna chyba pana Lewandowskiego, Pan wie, ~jaki on ma głos: jak zaczął krzyczeć, to goście nie pouciekali...

Niech pani stąd ucieka -- powiedział brutalnie, zrzucając jej rękę ze stolika. - Proszę się wynosić do swoich tabliczek. Ale już!

Dziewczyna popatrzyła na niego chwilę i odeszła; plecy jej lekko drżały. Spojrzał za nią i uczył coś w rodzaju satysfakcji; w myślach powtarzał najgorsze słowa pod jej adresem. Przymknął oczy i zobaczył tę dziewczynę oddającą się siedmiu mężczyznom naraz; i to ona była oczywiście pijana. Jak każdy pijak Kuba miał plugawe wizje erotyczne; nawet kiedy leżał z kobietą, wystarczyło przymknąć oczy, a natychmiast wszystko wydawało mu się ohydne.

Wreszcie uspokoił się jako tako. Wyciągnął rękę po filiżankę z kawą, lecz cofnął ją zaraz - tak drżała, iż bał się, że rozleje wszystek płyn. "Spokój - mówił do siebie - spokój... Nic się nie stało. Głupi przypadek, ot i wszystko. Ta mała też niczemu niewinna. Muszę ją przeprosić. Zrobię to zaraz, jak się tylko trochę uspokoję. Kupię jej jakieś kwiatki, koniecznie kwiatki. Powiem jej, że byłem zdenerwowany. - Natychmiast w głowie jego powstał plan kłamstwa. - Powiem jej - myślał - że matka mi umarła albo coś takiego. Albo że mnie wywalili z pracy. Nie, lepiej matka... - Przymknął oczy i zobaczył siebie idącego w pochmurny jesienny dzień za trumną matki: nikogo oczywiście nie ma, tylko on sam; ma bladą twarz i podsinione oczy. - A może dziecko? - pomyślał. - ~Mała, trzyletnia córeczka? Nie, jednak lepiej matka..." Nagle rozczulony uspokoił się. Wziął do ręki filiżankę i pił parząc sobie wargi.

Do kawiarni weszła jakaś kobieta. Stała w drzwiach; mrużąc oczy, rozglądała się po sali. Nagle spotkali się wzrokiem; na twarzy jej odbiła się radość i zdumienie. Szybko podeszła do stolika, przy którym siedział.

- To ty? - powiedziała nie dowierzając sobie jakby. - ~Boże, co za spotkanie. ~Można~?

- Siadaj, oczywiście - wybełkotał unosząc się z krzesła. Był zdziwiony i uradowany jak i ona.

Kobieta usiadła. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, z owym szczególnym wyrazem zdziwienia i niedowierzania, jaki mają na twarzach ludzie spotykający się niespodziewanie po latach. Potem Kuba rzekł:

- Jesteś taka ładna jak i wtedy.

- Jesteś taki miły jak zawsze.

- Skąd wiesz? Nie widziałas mnie tyle czasu.

- Są ludzie - powiedziała kobieta z uśmiechem -którzy potrafią oprzeć się temu wszystkiemu, co z innych czyni zgorzkniałców.

- Naturalnie - bezmyślnie powiedział Kuba.

Znów zapadło kłopotliwe milczenie. Potem kobieta rzekła:

- Cieszę się, że cię spotkałam. - Położyła dłoń na jego ręce i powiedziała raz jeszcze: - Naprawdę, nawet pojęcia nie masz, jak się cieszę.

Uśmiechnął się. I nagle powróciło wszystko dobre, co przeżył kiedyś, będąc w tym samym mieście co i ona. Spojrzał na nią roziskrzonymi oczyma.

- Ja także diabelnie się cieszę - powiedział serdecznie i prawdziwie; wszystko, co przeżył dzisiejszego ranka, wydało mu się nikłe i nieważne. - Kiedy widzieliśmy się ostatni raz?

- Dawno - powiedziała. - Jakies siedem lat temu. Potem wyjechałeś.

- Musiałem - rzekł ze smutkiem. - Nie mogłem wytrzymać w tej dziurze... Ty tam ciągle mieszkasz?

- Mieszkam. Ale tam się wiele zmieniło. Odbudowali stare miasto, jest kupa świeżych ludzi. Nie miałbyś ochoty wrócić?

- Trudno mi powiedzieć - odparł niezdecydowanie. - Miałem tam dobre chwile. Ale nie chciałbym wracać

tylko po to, aby się przekonać, że żadna z nich nie wróci... Czy ten stary kościół za rynkiem odbudowali?

- Częściowo - powiedziała zamyślonym głosem. - To był bardzo piękny kościół, trudno go doprowadzić do poprzedniego stanu. Powiedz, co u ciebie?

- Nie zadawaj takich zdawkowych pytań.

- Chciałabym się dowiedzieć.

- Pracuję. Mieszkam. Wszystko na ogół dobrze.

- Pamiętasz jeszcze coś z tamtych czasów?

- Wszystko.

- Mnie?

- Także.

- To dobrze - rzekła. - Chciałam, abys o mnie pamiętał. Kobiecie jest to potrzebne. Ale wątpię, czy pamiętasz wszystko...

- Na pewno. Możesz mnie zapytać, o co chcesz. Chwileczkę milczała.

Potem rzekła:

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy mnie odprowadzałeś do domu po kinie?

- Wiele było takich wieczorów.

- Ale tamten był tylko jeden.

- Więc już wiem, który.

- Na jakim filmie byliśmy wtedy?

- Nie uda ci się. Mam dobrą pamięć. "Niepotrzebni mogą odejść".

Pamiętam do dziś twarz tego aktora.

- James Mason.

- To genialny aktor. Nie widziałem już potem nic tak wielkiego.

- Ja też. A pamiętasz, którądy ześmy szli wtedy do mnie?

- Nad Odrą. Było cicho i ciepło, skrzeczały żaby, rybacy już odchodzili. Miałaś jasną sukienkę bez rękawów. Miasto było jeszcze wtedy w proszku. Księżyc Pętał się nad ruinami.

- Dlaczego tak się czepiasz tamtych czasów?

- Kochałam wtedy.

- Milczałaś wtedy. Gdybyś powiedziała choć jedno słowo, wszystko byłoby inaczej .

- Bałam się - rzekła. - Bałam się tego, co mówią ludzie. Nie miałam odwagi. Teraz żałuję. Może rzeczywiście wszystko byłoby inaczej. Ale wtedy byłam tchórzem. Ludzie ostrzegali mnie i straszili. Teraz dopiero widzę, że to było niesłuszne. Teraz żałuję. Tak zawsze bywa, jeśli pomiędzy dwoje ludzi wtrącają się życzliwi; życzliwi odchodzą, zostaje żal. Ale nie mówmy już o tym. Wypijemy tę kawę i pożegnamy się.

- Przed czym cię ostrzegali?

- Przed tobą.

- Jestem taki straszny czy co, do diabła?

- Przed wódką - powiedziała wolno, nie patrząc na niego. - Mówili, że za dużo pijesz, że możesz zostać pijakiem. Tego się bałam. Mój ojciec zmarnował mojej matce życie. Ciągle czekała na niego, ciągle obiecywał poprawę. Potem przychodził pijany. Nie mam dobrych wspomnień z dzieciństwa, Kuba. Wszystko, czym żyję, to tamte dni z tobą... - Zawahała się na moment, potem mówiła dalej: - Pamiętam, jak miałam dziesięć lat, pewnego wieczoru ojciec przyszedł pijany i stłukł matkę. Nie mogłam zasnąć. W środku nocy wstałam, podeszłam do niego i rąbnęłam go nożem. Byłam zbyt słaba, aby mu co zrobić; skończyło się na pogotowiu i wrzaskach. Ale ja tej nocy nie mogę zapomnieć do dziś. Tego się bałam Kuba; bałam się, że możesz przychodzić pijany i przypominać mi tamtą noc... Zresztą po co ja to wszystko mówię? Chciałam tylko, żebyś wiedział, że cię wtedy

kochałam. I że ogromnie żałuję, że nie jestem z tobą. Możesz zresztą nie pamiętać tego. Jak ci będzie wygodniej.

Odpowiedział po chwili:

- Zapomnij o tym wszystkim i nie żałuj niczego.

- Sama sobie zgnoiłam życie - rzekła cicho; twarz miała gorzką i starą. Mówiła nie patrząc na Kubę: -Rzygać mi się chce, kiedy mój mąż zbliża się do mnie. Zdradzam tego durnia co drugą niedzielę. Żeby się chociaż domyślał. Ponure, potulne bydlę. Nie wiem, po co żyję, jeśli nie kocham nikogo...

- Śliczna historia - powiedział Kuba. Uśmiechnął się ponuro: - Mnóstwo takich słyszałem w życiu. Kochali się, kiedy byli młodzi; noce, słowiki i tak dalej. A kiedy spotkali się po latach, ona była dziewczką, a on złodziejem. Nic mnie to nie obchodzi... - Nagle zrozumiał, że kłamie w sposób najohydniejszy, i począł mówić jeszcze śpieszniej: - Nie chcę żadnych wspomnień. Myślałem, że chociaż wtedy było coś dobrego, ale okazało się to tak samo wstrętne jak wszystko.

- Pomyślał, że jeśli tego, co mu powiedziała, natychmiast nie zniszczy, stanie się z nim coś złego; znów będzie miał w życiu poza sobą jedną świętą sprawę bez powrotu. Uśmiechnął się szyderczo i mówił: - Jestem truposzem. Chcę wszystko zniszczyć, mam to wszystko gdzieś. Jestem truposzem. Nie chcę niczego żałować ani zostawiać poza sobą. - I nagle, 'ł zdawszy sobie jasno sprawę z tego, co zrobił, umilkł.

- Kuba - powiedziała rozpaczliwie kobieta. - Kuba... Mówiła jeszcze coś, lecz on nie rozumiał tego. Patrzył na poruszenia jej ust, lecz słowa uchodziły jego uwagi. Nagle wstał i bez pożegnania ruszył do wyjścia. Zegar umieszczony nad bufetem, między tabliczkami, wydzwonił godzinę pierwszą.

III

Na ulicy zatrzymał się. Przeszedł parę kroków, lecz znów osadził go w miejscu okropny ból pod czaszką. Nie mógł zrozumieć, skąd wyszedł i dokąd idzie. Ludzie przechodzący patrzyli na niego z uśmiechem; był trupio blady, miał przekrzywiony krawat, kapelusz zsunął mu się na tył głowy. Ktoś powiedział: "Nie stój pan na środku. Kiliński, cholera..." Usłuchał i przesunął się machinalnie pod ścianę; oparł się o nią i natychmiast odniósł wrażenie, że cała ściana wypełniona jest biciem jego serca. Stał w miejscu i bał się postąpić kroku. Wiedział, że musi stać w miejscu i że nie wolno mu się ruszyć; jeśli ruszy się w tej chwili z miejsca, pójdzie pić i nie spotka o szóstej Krystyny.

Nagle któryś z przechodniów zajrzał mu w twarz.

- Chory? - zapytał go. Kuba nie zdążył odpowiedzieć, gdy tamten nagle roześmiał się szyderczo. - Mietek -powiedział do swojego towarzysza - to ten sam gnojacz, który nas rano zaczepiał, poznajesz?

Tramwajarz podszedł i spojrział na stojącego.

- Dojrzał - rzekł krótko.

Młodszy, z perkatym nosem, wsadził ręce do kieszeni i odsunął się o krok. Potem powiedział nienawistnie:

- To człowiek zasuwa po piętnaście godzin na dobę, a taka idiota chodzi od knajpy do knajpy. Ja cegłę, on flaszkę; ja wagon, on kawkę. Człowiek nie może kawałka wyciągnąć, a taki gnojacz przepija tysiące. I skąd on na to ma?

Tramwajarz powiedział:

- Czort z nim. Chodź.

- Czekaj! - krzyknął młodszy z furją. - Ja jemu powiem, co o nim myślę. Moja kobieta nie może sobie na palto uzbierać, a ten... - Podszedł do Kuby i złapał go za krawat. Podniósł jego głowę do góry i uderzając nią lekko o mur, mówił: - Ty wszarzu głupi! Czego ci brakuje? Żyć nie masz co, chodzić nie masz w czym? Żebyś był takim łazarzem jak ja, tobyś się nauczył życia...

Kuba oderwał się od ściany i uderzył go w twarz. Skłębili się i potoczyli na ziemię. Nie minęło sekundy, jak kolega tramwajarza chwycił Kubę za gardło i huknął jego głową o kamienie.

- Na kogo ty się rzucasz, łachudro? - powiedział. - Na chłopaka z Muranowskiej? Patrz, co ja z tobą zrobię... Lecz nie zdołał uczynić już nic; nadspodziewanie szybko zjawił się milicjant i rozdzielił ich.

- Od rana, łobuzeria? - zapytał starając się nadać swej znudzonej twarzy wyraz zgrozy.

Młodszy popatrzył na niego nieprzytomnymi oczyma i nagle zaryczał:

- A zabierz mnie! Weź mnie! Mnie na życiu nie zależy. Czy ja mam chociaż pół tego co on? Wiążcie mnie! Wiążcie mnie!

Tramwajarz szarpnął go za ramię.

- Janek, nie wygłupiaj się! - krzyknął. Odwrócił się do milicjanta i powiedział: - Wszystko przez tego pijaka. Zaczepił kolegę publicznym słowem. Skarz mnie jedyny Bóg, że tak było! - uderzył się ręką w piersi.

Milicjant przytrzymał młodszego, który znów szarpnął się do Kuby.

- Bez cudów - powiedział ostro. - Pójdziemy się przejść. Pan też...

- Nigdzie nie idę - wycharczał Kuba. Bezradnie, ruchem ślepcy ocierał z twarzy błoto pomieszane z krwią. Popatrzył na milicjanta i krzyknął histerycznie: - Nigdzie nie idę! Nie zmusicie mnie!

- Eee - powiedział przeciągle milicjant. Poprawił pas na sobie. - Może się założymy? Nie będzie pan dla mnie taki Paramonow. Już, zbieraj się pan!

Kuba podniósł się z ziemi i poszedł za nimi. Pierwszy szedł tramwajarz starając się patrzeć w ziemię, potem Kuba z Jankiem, na końcu milicjant; milicjant gwizdał fałszywie melodię "O, mój papo". Zaraz za rogiem ulicy przyłączył się drugi milicjant.

- Trzech Jurków masz? - zapytał wesoło. Miał delikatną dziewczęcą twarz, pokrytą puszką. Oczy jego były piwne; patrzył na Kubę z zuchwałą ciekawością.

Za nimi postępowali gapie. Jakiś głos kobiecy powiedział:

- Rozdarł mu jesionkę...

- Taki materiał to od cholery pieniędzy kosztuje - rzekł ktoś niskim basem.

- Wełniany...

- To bandyci? - zapiszczał jakiś chłopiec.

- Pryskaj do domu, szczeniaku...

- To te, co okradli sklep na Grochowie?

- Panie, co ja jestem informator? Zapytaj się pan milicjantów...

- Kto nie pyta, nie siedzi...

Minęli kilka ulic i znaleźli się pod komisariatem. Młodszy milicjant powiedział szyderczo:

- Witamy panów w naszym skromnym uzdrowisku. Panowie będą łaskawi...

Tramwajarz warknął:

- Po co pan pajacujesz? Z łobuzerią masz pan do czynienia czy co?

Milicjant się roześmiał:

- Za niewinność pan siedzisz, nie?

Tramwajarz spojrział pogardliwie na milicjanta; przeżuł bezgłośnie jakieś przekleństwo, lecz nic nie odpowiedział. Zgarbił się nagle i zamilkł. Jego młodszy towarzysz spluwał co chwila. Kuba milczał; w głowie miał szumiącą pustkę. Weszli do dyżurki. Siedzący za stołem sierżant podniósł wzrok znad jakichś papierów; potem - nie rzekłszy słowa - powrócił do swej roboty. Milicjanci zapalili papierosy. Kuba, tramwajarz i Janek stali oparci o barierę. Sierżant spojrział na nich piwnymi oczyma i rzekł krótko:

- Nie opierać się. Nie latarnia. Dowody.
- Ja... - począł mówić Janek, lecz sierżant nie spojrzawszy nawet na niego, przerwał:
- Dowody. Potem się wyszczególnicie, obywatelu.

Poczęli wykladać na stół swoje papiery. Sierżant wziął do ręki dowód Kuby; przeczytał go rubryka po rubryce, potem zapytał:

- Imię?

Kuba milczał przez chwilę. Ciężkim wzrokiem patrzył na portrety dostojników wiszące na ścianie. Potem roześmiał się i rzekł:

- Pijak.
- Aha - powiedział sierżant.

Obrzucił Kubę krótkim spojrzeniem i zapytał ostro:

- Nazwisko?
- Pijak.
- Zawód? Też pijak?
- Też.
- Ładnie - rzekł sierżant; w jego oczach pojawiło się zainteresowanie. - Przykro mi, ale w dowodzie nazywa " się pan Kowalski.
- Nieprawda - powiedział Kuba. - Nieprawda... Nazywałem się Kowalski. To było dawno i niczego nie dowodzi. W tym kraju są tysiące Kowalskich. Może czasem nazywają się Kwiatkowscy, może Piotrowscy, może jeszcze inaczej... To nieważne...
- Nie siedział pan jeszcze nigdy, co?
- Nie - skłamał Kuba.
- Nie szkodzi - pogodnie stwierdził sierżant. - Posiedzi pan teraz.
- Tłukli się na ulicy - powiedział jeden z milicjantów.
- Akurat miałem obchód; patrzeć, a tu się leją. Kiedy podszedłem do nich, tarzali się po całym chodniku. Kto to słyszał, robić awantury w biały dzień?
- Daj im spokój - powiedział młodszy milicjant i dowcipnie zmrużył oko. - Oni udawali, że się bawią w berka. A ty do nich tak całkiem nie jak człowiek... Nagle rozległ się idiotyczny śmiech. Do dyżurki wkroczył nowy milicjant taszcząc przed sobą malutkiego człowieczka w zielonym kapeluszu. Człowieczek wyrwał się na środek izby; zatoczywszy się gwałtownie, spojrział na sierżanta i krzyknął tryumfalnie:
- Trójeczka, tak?
- Zgadza się - powiedział sierżant.
- Dawna jedynka, tak?
- Zgadza się.
- Ulica Bednarska dwadzieścia trzy, tak?
- Wszystko gra - powiedział sierżant. - Jak zwykle, obywatelu Rybicki. A teraz rozbierajcie się.

Człowieczek znów zachichotał, potem rzekł:

- Sierżancie, wiedziałem, że tak będzie. Na trójkę zawsze trafię. Cóż ja zrobię? - krzyknął zwracając się z błazeńskim gestem do Kuby.

- Żona mi umarła. Mogę być pijany czy nie?

- Uspokójcie się, Rybicki - powiedział sierżant. -W zeszłym tygodniu obchodziliście śmierć ukochanej córki, tak?

- Zeszłego pierwszego - powiedział milicjant, który przyprowadził człowieczka - też miał stypę po żonie. Nawet mi fotografię pokazywał, tylko coś mu się pokręciło, bo tam był łyсы facet z wąsami. Pamiętam, że jeszcze trzy miesiące temu też opłakiwał śmierć ukochanych bliźniaków...

- Widocznie ma wyjątkowo zły rok - powiedział sierżant. - No, Rybicki! Rozbierajcie się!

Człowieczek począł się rozbierać bez protestu. Wyciągnął wszystkie dowody; potem wyszczerbiony grzebyk, chusteczkę, tandetny szczyryk, lusterko; wszystko to poukładał skrupulatnie przed sierżantem i zapytał:

- Paseczek też?

- Oczywiście - powiedział sierżant. - Oczywiście... Przecież wy wiecie, Rybicki, że tu jest stara, kochana trójka, gdzie na dechy idzie się bez paseczka. Paseczek to rzecz niebezpieczna w tym stanie; można sobie ukręcić pętelkę, a co by wtedy zrobiły te wszystkie groby waszych żon? Kto by koło nich chodził? No, Rybicki, powiedzcie...

- Zgubiło mnie szczęście do kobiet - powiedział człeczyna. - Sznurówadełka też?

- Sznurówadełka nie.

Człowieczek zaśmiał się krótko.

- Nie zginę na trójce, co sierżancie? - zapytał.

- Nigdy.

Odprowadzono go do celi. W drzwiach zasalutował sprężyscie. Potem rozległ się trzask zamka i zaraz potem śpiew. Człowieczek śpiewał: "Nocą nad brzegiem rzeki siedziałem z gitarą..." Głos miał zdarty i brzęczący. Sierżant powiedział:

- Śpiewa "Andaluzję". Tak jak zwykle. Zaraz będzie miał atak. Założyliście amerykanki?

- Tak - powiedział milicjant. - Ręce i nogi. Żeby sobie tylko łba nie rozwalił... Może zadzwonić po pogotowie?

- Nie przyjadą - zmęczonym głosem powiedział sierżant i stuknął papierosem o stół. - Gdyby chcieli jeździć do każdego deliryka w mieście, toby była dopiero ładna historia... - Wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Na dworze było już szaro; brudny zmierzch kłębił się w ulicach. - Cholera - powiedział sierżant zapalając papierosa. - Amerykanki, komisariaty, mandaty... Co to wszystko da? Więcej nadziei, więcej radości miastu. Niech to diabli wezmą. Odwrócił się od okna i podszedł do bariery. Był wysoki; twarz miał złą i zmęczoną. Stał przed Kubą i patrząc na niego z niesłychaną pogardą, powiedział:

- Kiedy byłem w partyzantce, myślałem, że jak skończy się ta cała zabawa, będziecie inaczej żyli. Na myśl mi nie przyszło, że zostanę sierżantem milicji i że będę musiał odbierać wam paski. Niech was wszyscy diabli porwą...

Wtedy rozległ się straszny, zwierzęcy ryk. " Yyyy... - wył człowiek za ścianą. - Yyyy..." Głos jego przeszedł w ton tak wysoki, że wszystkim mróz przebiegł po plecach. Tramwajarz poblądł; jego młodszy kolega mrugał bezradnie oczami jak człowiek nagle oślepiiony światłem.

- Zaczęło się - powiedział sierżant. - Boże, żeby można mu było zamknąć mordę. - Popatrzył na Kubę przekrwionymi z bezsenności

oczyma i zapytał: - Gdzieście się upili?

- Nie jestem wcale pijany - powiedział tramwajarz i wzruszył ramionami.

- Nikt nie jest pijany - z trudem powiedział Kuba. Drżały pod nim nogi. - To moja wina. Ja uderzyłem tego człowieka - wskazał ręką na kolegę tramwajarza.

- O co wam poszło?

- O nic.

- Więc dlaczego pan go uderzył?

- Zdenerwowałem się.

- Słuchajcie, obywatelu - z gniewem powiedział sierżant. - Mógłbym was wszystkich potrzymać, aż byście się nie nauczyli chodzić po ulicy. Zapłacicie mandat i pójdziecie do domu. Ale nie chcę was tu widzieć dzisiaj; teraz pewnie pójdziecie się pogodzić, tak to już bywa. Rozumiecie, obywatele?

Nie zdążyli odpowiedzieć. Drzwi dyżurki otworzyły się gwałtownie. Do środka, szamocząc się z pijanym mężczyzną, wkroczyło dwóch milicjantów. Mężczyzna wyrwał się gwałtownie, szarpiąc i odpychając. Oczy miał szalone, nabiegłe krwią.

- Łapki - syknął jeden z milicjantów.

Podsłoczyło ku niemu dwóch jeszcze i z trudem nałożyli kajdanki. Pijany charczał i pluł. Czoło miał potłuczone, usta - rozcięte. Rozdarta koszula ukazywała spoconą, zarosniętą pierś.

- To Polska Ludowa tak robi? - krzyknął patrząc na wszystkich z nienawiścią. - Przeklinam!... - Podniósł głowę do góry; długo patrzył na zegar i nagle powiedział: - Chamy mnie związali dziś o trzeciej. Staśka Kołaczewskiego z Woli...

- Jesteście wolni - powiedział sierżant. Wyglądał na człowieka bardzo zmęczonego; powieki mu opadały na oczy, garbił się. - Jesteście wolni - powtórzył i odwrócił się.

" Yyyyyy" - dobiegło zza ściany; krzyk przeszedł w jazgot, potem rozległo się ciężkie uderzenie i zapadła cisza. Kuba, tramwajarz i Janek odebrali swoje dokumenty i wyszli przed komisariat. Paliły się już latarnie. Ulica była

~ pusta. Od Wisły ciągnął lodowaty wiatr. Janek powiedział:

- Nie miej pan żalu.

- Nie mam żalu - powiedział Kuba i wzruszył ramionami.

Tramwajarz rzekł:

- Teraz jest dziesięć po trzeciej. Na piątą idę do roboty. Możemy się napić. - Uśmiechnął się do Kuby

i dodał: - U mnie jesteś pan charakterny chłopak...

- Dziękuję - powiedział Kuba. - Niestety, nie mam czasu.

- My idziemy w tamtą stronę - powiedział młodszy nie patrząc na Kubę. - Niech to wszystko szlag trafi.

- Tak - potwierdził Kuba. - Niech to wszystko szlag trafi. Do widzenia.

Odszedł zaszalowany i prawie biegiem parł przed siebie. Był wypełniony jedną, jak ściśnięta żyła pulsującą myślą, że natychmiast - dopóki wszystko, co przeżył, jest jeszcze dostatecznie silne i usprawiedliwiające, dręczące i straszne, dopóki nie ochłonie, nie opamięta się, nie zastanowi - musi napić się wódki. W tej chwili czuł wielką wdzięczność do świata, do dzisiejszego dnia i do ludzi, którzy wpełnili go w to; w jego sumieniu otworzyła się furтка, przez którą mógł wyrzucić wszystko, co było mu w tej chwili nieprzydatne, wszystko, co przeszkodziłoby mu się napić. Czuł wielkie, aż rozsadzające piersi, bolesne szczęście; owo dziwne

szczęście upokorzenia samego siebie, jakiego doznaje tylko pijak. Począł padać deszcz. Ludzie kulili się z zimna; podnosili kołnierze palt i przemykali pod murami. Ciemność nadciągała nad miasto; wysoko, za brudnymi chmurami, umierało światło dnia. Zapalały się pierwsze okna; wiatr kołysał latarnie i zamiatał ich światłem kałuże. "Udręka -pomyślał Kuba przymknawszy oczy - Udręka..." Zaczepił jakiegoś chłopca i zapytał:

- Gdzie tu jest knajpa?

- Tu pełno tego - powiedział chłopiec. - Najbliższa za rogiem. "Pod Orłem", tak?

- Może być - powiedział Kuba. - Gdzie to jest?

- Zaraz za rogiem - rzekł chłopiec i wskazał ręką.

Po chwili Kuba wszedł do środka. Pachniało piwem, starymi zakąskami i zjełczalym tłuszczem; na suficie od lata kołysały się lepy pełne zeschniętych much. Nad bufetem rozpostarł szeroko skrzydła wypchany orzeł; obok, z afisza o ohydnych barwach, strzelały wielkie litery. "Alkohol to twój wróg" - odczytał Kuba. "Zostań górnikiem" - namawiał drugi afisz. "Nawet dowcipne!" - pomyślał i uśmiechnął się. Stanął przy ladzie i pstryknął w palce. Bufetowa podeszła.

- Jedna duża - powiedział Kuba; zsunął kapelusz na tył głowy.

Bufetowa przyjrzała się jego potłuczonej twarzy i powiedziała:

- Wypadek przy pracy?

- Po pracy.

- Co się stało?

- Jedna duża - powiedział z udręką w głosie Kuba.

- Zakąskę pan życzy?

- Może być.

- Śledzik?

- Może być.

- Piwo?

- Może być.

- Ale tylko porter - rzekła rozkładając ręce; była równie brzydka jak afisze, pomiędzy którymi stała. -Innego piwa na razie nie ma.

Przywożą nam o piątej. Teraz jest... - Odsunęła rękaw kitla i spojrzała na zegarek. - O, jeszcze wcześniej! Wpół do czwartej.

- Niech pani da porter - wymamrotał Kuba. - Szybciej, proszę...

- Przecież się nie pali - powiedziała odsłaniając

w uśmiechu końskie zęby. - W cienkie szkło nalać czy

w grube?

- Wszystko jedno. Wódka to jest wódka. Nie jestem pijakiem.

- Ale klienci mają różne wymagania - rzekła. - Czasem trafia się taki, co nie wypije z grubego szkła, żeby tam nie wiem co. Czy pan jeszcze co życzy?

- Nie - powiedział Kuba i energicznie potrząsnął głową. - Nie będę więcej pić. Tylko ta setka i do domu. Koniec. Albo wie pani co? Jeszcze jedną, od razu...

Wypił i postawił kieliszek na ladzie. Odetchnął. Potem wypił jeszcze jedną wódkę. "Źle robię - mówił do siebie. - Przecież wiem, że źle robię, że nie mogę zrobić już nic gorszego. Przed chwilą też to wiedziałem; wiedziałem, że wódka to najgorsza rzecz, jaka mogła mnie dzisiaj spotkać. Jeszcze mógłbym się w tej chwili opamiętać..." I nagle zimna łapa strachu zdławiła mu mózg.

- Jeszcze jedną - powiedział szybko.

Wypił i myślał dalej: "Wiedziałem i - nie opamiętałem się. Jestem

pijakiem. Wiem, że wódka to moja śmierć. Wiem czy nie wiem? Wiem. A mimo to napiłem się. Krystyna nie ma już po co przychodzić o szóstej. Nic z tego dziś nie będzie. Zacznę od jutra... - Nagle roześmiał się cicho. - Od jutra? - powtórzył w myślach. - Od jutra... Największym nieszczęściem każdego pijaka jest to, że zaczyna od jutra, a nie od dziś. Ja przecież jasno wiem, co zrobiłem..."

- Zapomina pani o mnie - powiedział głośno. Bufetowa zbliżyła się ku niemu z butelką.

- To już czwarta - rzekła.

- Sam znam tabliczkę mnożenia.

Wypił; odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Ręce miał zwinne i mocne, nie trzęsły się już tak jak rano. Patrzył na nie z przyjemnością. Koło niego ktoś powiedział z uznaniem:

- Zdrowo pan ciągnie.

- Napije się pan ze mną? - zapytał; tamten był niskim, tęgim, łysiejącym mężczyzną o porowatej cerze.

- Chętnie - powiedział grubym głosem porowaty. - Ale ja jestem pusty.

- Ja pana zapraszam.

- Nie znamy się.

- Ja pana znam.

- Mnie? - zdumiał się porowaty.

- Tak. Pan się nazywa Kowalski.

- To pomyłka - powiedział porowaty. - Nazywam się... - Ach, do diabła - znużonym głosem przerwał Kuba. - Czy to nie wszystko jedno? Jak pan się nazywa, jak ja się nazywam? ... I tak nas wszyscy znają.

- Ludźmi jesteście - powiedział porowaty.

- To szlachetne z naszej strony. Szefowa, dwie wódki. Bufetowa znów podeszła z butelką. Nalała i rzekła:

- To będzie razem sześć.

- Zgadza się - powiedział Kuba. - Jestem już zabryzgotony.

Odeszła. Przez chwilę milczeli patrząc na siebie; porowaty - z zakłopotaniem, Kuba - z satysfakcją. Ulicą turkoczac przejechał ciągnik. Potem porowaty podniósł kieliszek.

- Najlepszego.

- Najlepszego - rzekł Kuba.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Kubę ogarnęło ciepło; szczęśliwe, bolesne, wypełniające każdy kawałeczek ciała ciepło. Nie był już szmata; był młody, silny i zdrowy. Bufetowa stała się nagle podobna do Lollobrigidy, porowaty wydawał się wcale sympatycznym człowiekiem, bar - przyzwoitym, ciepłym, mądrym miejscem na ziemi.

- Jeszcze raz - powiedział Kuba.

Bufetowa nalała.

- Jeśli pani powie "osiem" - rzekł Kuba - to dziś odbiorę sobie życie.

Uśmiechnęła się figlarnie i rzekła:

- Osiem.

IV

Odeszła w głąb baru, kołysząc szerokimi biodrami. W kuchni ktoś krzyknął wściekle: "Schabowy dwa razy".

Na ladzie syczał niklowany ekspres; odbijały się w nim zdeformowane twarze siedzących. Górnik z afisza uśmiechał się wyrozumiale; orzeł podrywał do lotu swoje twarde, wspaniałe skrzydła. Kuba bezmyślnym

ruchem poprawił krawat i wznosząc kieliszek, rzekł:

- Napijemy się.

- Pod co? - zapytał porowaty. Miał oczy uszczęśliwione. - Pod orła. Pasuje?

- Pasuje - odparł tamten. - Pod tego ptaszka przepiłem już mnóstwo forsy. Odjazd.

- Cześć - powiedział Kuba gromkim głosem. Znow spójrz na górnika i orła i zmrużył do nich oko. Potem spójrz na porowatego, który już wypił i wachał chleb z twarzą strasznie wykrzywioną. Na skroniach miał resztki kędzierzawych włosów; nos jego był krótki i tępy. " Wyłysiałeś, biedaku" - pomyślał patrząc na niego Kuba. I nagle ogarnęła go fala rozrzewnienia. - Wie pan co - powiedział serdecznie, kładąc dłoń na jego ramieniu - wypijmy brudzia. Ja jestem swój, zwyczajny, prosty chłopak. Mam kiepskie życie, niech mi pan wierzy... Lubię takich jak pan. Zgoda ?

- Zgoda.

- Na imię mi Kuba, a tobie?

- Mnie Władek.

- Władek, Władek... - powtórzył Kuba; wydało mu się, że całe piękno świata zawarte jest w tym imieniu. Znow popatrzył na niego wzrokiem najczulszej kochanki. - Władek - powiedział kładąc dłoń na jego ręce

- zamów wódkę. Ja stawiam.

- Szefowa - zawołał Władek głosem zza grobu. - Dwie wódki. Tylko szybko, bo nam się do szkoły śpieszy...

Kuba zachichotał uszczęśliwiony i klepnął Władka w plecy. Bufetowa nalała; tym razem odeszła bez słowa, notując sobie coś na kartce.

- Pij - powiedział Kuba wręczając Władkowi kieliszek. - Jak Bóg da i partia pozwoli, to spotkamy się jeszcze kiedy, nie?

- Obowiązkowo.

Wypili. W kącie grający od dłuższego czasu harmonista zaśpiewał pękniętym głosem:

Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień. Zepsuty zlew, za oknem mgła.

Krople deszczu o brudne biją szyby.

Sąsiad podle na pianinie gra...

- Niech to wszystko diabli wezmą! - powiedział Władek.

- Słuchaj - rzekł Kuba. - Ja lubię takie piosenki... Harmonista śpiewał:

Powiedz, miła, dlaczego ciebie nie ma.

Czemu serce tęsknota żre jak rdza?

Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień.

Tylko wódka zapomnienie da...

Przejechał z rozmachem palcami po klawiszach i skończył. Odpiął pasy i położył harmonię na krześle. Potem wstał i podszedł do bufetu.

Oparł się o ladę tuż obok Kuby; oczy miał wielkie, ciemne, lecz bez światła; w jego zmiętej twarzy robiły dziwne, niepokojące wrażenie.

"Boże - pomyślał Kuba - cóż za piękne oczy. Skąd takie oczy?" I nagle uczuł dręczącą potrzebę powiedzenia czegoś dobrego temu człowiekowi.

- Ładnie pan gra - rzekł przełknąwszy ślinę. - Bardzo lubię takie piosenki.

Harmonista spójrz na niego; uniósł powieki i wtedy Kuba zobaczył,

że oczy tego człowieka są puste jak

wyszła studnia. Kiepska marynareczka wisiała na nim jak łachman; nie czuło się w tym człowieku mięśni i ciała. Chuda szyję okręcona miał bawełnianym szalikiem.

- Zagrać panu "Francois",? - zapytał Kubę.

- Nie. Nienawidzę walców.

- A "Tamarę"?

- Też nie. Co pan jeszcze potrafi?

- Potrafię tłumaczyć sny - ze złością powiedział harmonista. - Kiedyś miałem gabinet na Wspólnej. Ale wszystko się skończyło.

- Władek - powiedział z zachwytem Kuba wykonując pełen rozmachu gest. - Władek, on potrafi tłumaczyć sny... - Zwrócił się do harmonisty: - Czy pan potrafi tłumaczyć wszystkie sny?

- Wszystkie - powiedział apatycznie harmonista. Patrzył w kałużę na ladzie. - Dobre i złe.

Kuba poprawił kapelusz. Oparł się wygodnie o bufet; ciężkim wzrokiem patrzył na Władka i harmonistę; byli oddaleni o tysiące kilometrów, o mgłę; byli przyjacielscy, kochani, dobrzy i czuli; oni jedni mogli mu w czymś pomóc - nikt inny na ziemi. Ogarnęła go nagle dzika, niepohamowana chęć zgrywy; owo uczucie nie dające się porównać z żadnym innym ludzkim uczuciem. Szczęście, jakiego doznaje pijak w momencie zgrywy, jest szczęściem najpełniejszym na ziemi. Za ów moment, kiedy patrzy w czyjąś twarz oczekując na niej wstrętu, litości czy przerażenia - pijak odda wszystko, chociaż wie, że przyjdzie chwila, kiedy kurczyć się będzie na owo wspomnienie.

- Miałem dziwny sen - powiedział w zamyśleniu, patrząc bacznie w ich twarze. - Gdyby pan mógł mi ten sen wytłumaczyć... Taki sen zdarza się chyba tylko raz w życiu. Niedobry sen. Boję się pomyśleć o nim, tak mnie zmęczył... - Mów - rzekł bełkotliwie Władek. Bawił się chusteczką do nosa, zawiązując na niej supły. - Mów. Harmonista ci wszystko wytłumaczy. Artyści znają się na takich rzeczach.

Harmonista wpatrywał się w kałużę na ladzie. Kuba przesunął ręką po czole; było zimne i lepkie od potu.

- Miałem dziwny sen - powtórzył wolno. - Śniło mi się, że jestem pijakiem. Że jestem dobrym inżynierem, że nazywam się Kowalski, że mam dobre mieszkanie, że w mieszkaniu moim jest telefon...

Rozumiecie to? I śniło mi się, że chcę zapomnieć o swoim pijaństwie, zapomnieć za wszelką cenę. Odejść od tego, od ludzi, z którymi piłem, od knajp, od wspomnień... Tak czasem bywa we śnie, prawda? We śnie nie można od niczego uciec; i to jest najgorsze w snach. Śniło mi się, że każdy człowiek, którego spotykam na ulicy, mówi do mnie: "Dzień dobry, pijak". Śniło mi się, że bez przerwy dzwonią do mnie ludzie, pytając: "No, jak tam, masz kaca? No, jak tam, chlałeś w nocy? No, jak tam było wczoraj? Czy pamiętasz, jak wtedy po pijanemu rozbiłeś lustro? Czy pamiętasz, jak wtedy po pijanemu pobiłeś milicjanta? Czy pamiętasz, jak cię porzuciła narzeczona?.." Tak pytają. A ja o wszystkim pamiętam. Czasem widzę te wszystkie pijane twarze, które widziałem w życiu. Ustawiają się przede mną, patrzą na mnie, wyciągają się do mnie... Pokazują mi palcami i mówią: "Ty jesteś pijak, ty jesteś alkoholik, ty pijesz, pijesz, pijesz..." Nie mogę uciec przed nimi. Zasłaniam oczy ręką i widzę je wszystkie jeszcze bliżej. Zasłaniam uszy i wtedy, zamiast ich krzyku, słyszę szept: "Pijak, pijak, pijak..." - Głos Kuby przeszedł w bełkot; uniósł do góry ręce, jakby chciał nimi zmiażdżyć Władka i harmonistę. - 000! - bełkotał. - Strasznie męczy taki sen, pojęcia

nie macie. A śniło mi się jeszcze wiele takich rzeczy. .. Kraj, dziwny, ciężki, trudny kraj. Kraj, w którym tyle trzeba robić, tyle trzeba pracować, tyle trzeba mieć nadziei i serca... I to jest mój najgorszy sen; śni mi się, że jestem zupełnie sam w tym kraju. Że nigdy już nikt nie będzie miał do mnie zaufania. Że w ankietach, w każdej rubryce, mam napisane: "Pijak". Że nie mam wspomnień. Że nazywam się pijak. Każde moje wspomnienie zaczyna się od wódki i kończy się na kacu. Śniło mi się, że moja matka przeze mnie rozchorowała się na serce i umarła. Że jedna z kobiet, z którymi żyłem, nie chciała mieć dziecka z pijakiem; popsuła się i umarła. Że nie mam przyjaciół. Wszyscy ode mnie odeszli. Oszukuję dziewczynę... Okropny sen -szepnął. Wpatrzył się w twarz harmonisty i powiedział: -Ale to sen, co? W życiu to chyba niemożliwe? Mimo wszystko życie nie jest tak okrutne, prawda?

- Nie warto mieć złych snów - powiedział harmonista. - Co zrobić, żeby dało się zapomnieć?

- Niech pan się napije wódki - powiedział harmonista. W dalszym ciągu patrzył w kałużę. - Przejdzie. Wszystko przechodzi. Nie ma gorszego snu jak życie. I też przechodzi. Przepraszam, muszę iść grać, goście czekają...

Odszedł, dziwacznie stawiając długie nogi. Bar był już pełen ludzi; powietrze stało się mętne od dymu, twarze siedzących przy stolikach - rozmazane. W kącie pod oknem pijane towarzystwo śpiewało kujawiaka: "Zawalił się sracz". Raz po raz brzęczał dzwonek umieszczony nad drzwiami; ludzie wchodzili i wychodzili. Z okienka do kuchni co chwila wychylała się tłusta twarz kucharza; dwie tandetnie umalowane kelnerki szybko odbierały talerze i roznosiły do stolików. Nagle w drzwiach powstał rumor; otworzyły się gwałtownie i stanął w nich gruby, barczysty mężczyzna w gumowym fartuchu. Trzymał przed sobą beczkę, równie pękata jak i on sam.

- Piwo! - zaryczał nadludzkiem głosem. - Miejsce! Raz, dwa, szefowa, bo nie ma czasu.

I potoczył się z beczką w stronę bufetu; w jego ogromnych, czerwonych rękach sprawiała wrażenie dziecinnej lalki.

- Piąta - powiedział w zamyśleniu Kuba patrząc na beczkę. Wzdrygnęło nim. Starał się co prędzej pomyśleć o czymś innym.

- Niedobrze ci? - zapytał Władek. Twarz miał rozmazaną, wzrok Kuby ślizgał się po niej bezradnie nie znajdując punktu oparcia. - Słabo ci? - powtórzył.

- Skądże - zaprzeczył gorąco Kuba. - Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak teraz. Władek!

- No?

- Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

- Wracają do domu - powiedział z namysłem Władek; potarł przy tym kędzierzawe skronie. - Pracują, czytają, bawią się z dziećmi...

- Głupstwo - przerwał niecierpliwie Kuba. - Władek, morda złota, posłuchaj mnie! Ja pytam, pytam, pytam. Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

Wpatrzył się straszonymi oczyma w twarz Władka; wykonał przy tym gest, jakby chciał go złapać za gardło. Władek spojrział na jego rozcapierzoną dłoń, przełknął ślinę i powiedział szybko:

- Porządni ludzie o godzinie piątej wieczorem piją czystą wódkę z czerwoną kartką w barze "Pod Orłem".

- "Pod Orłem" - powtórzył Kuba. Rozpogodził się natychmiast; przytulił Władka do siebie i pocałował go w skroń. Odwrócił się i krzyknął do bufetowej: - Lalka, dwie wódki dla nas !

Podeszła; w ręku trzymała jakiś zwinięty plakat.

- Jedną chwilę - rzekła. - Muszę to przybić na ścianie. Przysłali dzisiaj z centrali. Muszę przybić, bo przyjdzie jeszcze inspektor, zobaczy, że nie wisi, i będę miała przykrości...

Podsunała sobie krzesło i weszła na nie. Młotek włożyła pod brodę, lecz wymykał jej się.

- Ja pani pomogę - rzekł Kuba. Stał na krześle za nią. Całym ciałem przytulił się do jej pleców. Szybko wbił cztery gwoździe. Potem zszedł. Odsunął się o dwa kroki i przeczytał: "Walka z alkoholizmem to twój obowiązek społeczny" .

- Kiedyś - powiedział w zamyśleniu Władek patrząc na Kubę - w tym samym miejscu wisiał plakat: "Śpij spokojnie - ORMO czuwa". Nie pamiętam już, co było wyrysowane.

- Niech pani naleje dwie wódki - powiedział Kuba bezbarwnym głosem; w uszach narastał mu szum. Odwrócił się do Władka. - Skąd wiesz? - zapytał.

- Piję tu wiele lat - rzekł Władek. - Widziałem mnóstwo ludzi w tym lokalu, nie masz pojęcia, ilu. Tak czy nie, pani szefowa? - zwrócił się do bufetowej.

- Oj, panie Władziu - rzekła napełniając kieliszki. -I co dobrego z tego wynikło?

Kuba wzruszył ramionami.

- Nie ze wszystkiego muszą wynikać dobre rzeczy -rzekł gładząc rękę bufetowej. - Byłoby to w końcu nudne. Tak czy nie?

- Mężczyźni, mężczyźni - powiedziała.

Uśmiechnęła się; był to najpiękniejszy uśmiech, jaki Kuba otrzymał w swoim życiu od kobiety. Zapisała sobie coś na swoich karteczkach i odeszła; Kuba patrzył za nią z bezmierną wdzięcznością. Władek zapytał tępo:

- Kto ty jesteś?

- Polak mały.

- Nie wygłupiaj się. Powiedz kim jesteś.

- Kim byłem?

- Jesteś zalany - powiedział Władek. - Chociaż nawet nie wyglądasz. Dlaczego nie chcesz gadać?

- To nieważne - rzekł Kuba. - Naprawdę nieważne. Jestem twoim kochanym znajomym z baru "Pod Orłem". Starczy.

- Dlaczego pijesz?

- To również nieważne - powiedział Kuba. Bawił się od niechcienia fajansową popielniczką. Nagle twarz jego wykrzywił zły grymas. Postawił z trzaskiem popielniczkę i pochylił się ku Władkowi. - Nieważne - powiedział trzeźwym, przeraźliwie ostrym głosem. - My, którzy pijemy, wiemy przecież, że to nieważne, dlaczego... Może jestem samotny? Może mnie nikt nie kocha? Może odeszli ode mnie wszyscy? Może zdradziła mnie dziwka, bez której nie mogę oddychać? To nieważne... Nie ma takiego nieszczęścia, samotności, klęski, kobiety, która warta byłaby wódki. Ale o tym wiedzą tylko ci, którzy wszystko przepili i którzy muszą pić. Nigdy nie uwierzą w to ci, którzy dopiero zaczynają. Zawsze mnie śmiesz, kiedy słyszę, jak ktoś kogoś powstrzymuje. Wódka jest prawdą, którą rozumie się zawsze zbyt późno. Pijak rozumie swoje życie dopiero wtedy, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte. - Oczy Kuby stały się nagle czujne. - Miałem zły dzień - powiedział. - Miałem dzisiaj zły dzień w tym mieście. Przepiłem go. Ale to już koniec. Mam jeszcze jedną nadzieję, której się trzymam. Jeśli to nie pomoże... - przerwał. Znów począł bawić się szkaradną popielniczką. Potem roześmiał się sztucznie i rzekł: -

Do diabła z tym wszystkim. Nie lubię zwierzeń. Napijmy się, Władek...

Wypili; bufetowa podeszła i napełniła bez słowa. W drugim końcu bufetu jakiś chłopak w wutowanej kurtce krzyczał trzymając swego kolegę za ramię:

- Ja nie mogę bez niej żyć. Ja zrobię z sobą coś straszego. A jeszcze przedtem z nią... - Zwrócił się do harmonisty i krzyknął: - Panie Poldku! Graj pan "Dzień dla dnia..."

Harmonista pochylił głowę i zaśpiewał:

A przecież kiedyś była jesień.

Wiatr jesienny szczęście nam gnał.

Byliśmy tacy zakochani.

A co teraz? Teraz

Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień.

Zepsuty zlew, za oknem mgła.. .

- Tak - powiedział Władek. Był zupełnie trzeźwy, tylko jego smutna twarz zrobiła się nagle małpjo przykra. - To dobrze, że masz nadzieję - rzekł cicho. - Ja jej nie mam. Nie wierzę, żeby w tym piekle była jakaś furтка.

- Głupstwo - mruknął Kuba; kręcił w palcach kulkę chleba.

- Zaczynałem tak samo jak tamten chłopak - powiedział Władek. -

Miłość, zdrada i takie różne gówna... -Roześmiał się. - Byłem kiedyś najlepszym saksofonistą w tym kraju.

- Saksofonistą? - powtórzył bezmyślnie Kuba. - Saksofonistą... To dziwne. - Spojrzał na Władka. - Nie wyglądasz na saksofonistę, bracie.

- Byłem nim - z uporem powtórzył Władek. Splótł dłonie i zacisnął palce; stały się nagle białe. - Nikt nie grał tutaj tak jak ja.

- Co z tego?

- Nic.

- Co potem ?

- Też nic.

- Więc po czorta mi to opowiadasz?

- Wcale ci nie opowiadam. Mówię.

- Mów dalej. Jaki koniec? Ważny jest koniec, pointa. Tak, tak, pointa jest najważniejsza.

- Nie jestem już najlepszym saksofonistą.

- Starczy - powiedział Kuba. - Żeby ludzie potrafili tak krótko opowiadać o swoim głupim życiu, byłoby o wiele lepiej. Nienawidzę facetów, którzy skamla. Ja jestem inny. Lubię twardych. Ale jeśli chcesz mi opowiedzieć swoją historię, proszę bardzo. Bardzo lubię życiowe, pouczające historie.

- Moja jest krótka. Kochałem się.

- Należy ci zazdrościć świeżości uczuć. I co dalej?

- Rzuciła mnie.

Kuba ze smutkiem pokiwał głową.

- Czyli tak zwana mgła - powiedział. - Powinieneś wyjechać do Puszczy Kampinoskiej, aby tam wśród szumiących drzew dokończyć życia jako staruszek leśniczy. Mógłbyś hodować pszczoły i zbierać moczopędne ziółka. Co dalej?

- Nie jestem już najlepszym saksofonistą w tym mieście.

- W tym mieście nie ma ani jednego dobrego saksofonisty. Wszyscy grają podle.

Władek zmilczał; na jego łysinie tańczyło światło lampy. Pochylony,

rozmażywał w esyfloresy wódkę rozlaną na cynowej ladzie. Harmonista przestał śpiewać; znów odłożył harmonię i chwiejnie podszedł do bufetu. Oczy miał mętne, bez źrenic; był już dobrze podpity, szczęki drgały mu nerwowo. " Właściwie powinienem mu dać w mordę" - leniwie pomyślał Kuba. Towarzystwo pijące pod oknem śpiewało teraz "Górala". Bufetowa krążyła w milczeniu; nalewała operując butelkami i kieliszkami w sposób niezrozumiale zręczny. Komuś zrobiło się niedobrze; marszowym krokiem przemierzał salę ku wyjściu; jedną ręką trzymał się rozpaczliwie za usta, drugą - roztrącał stojących na drodze; człowieczek ten miał oczy przerażonej krowy. Władek ocknął się i powiedział:

- Zaraz puści pawia.

- Ee - mruknął Kuba.

Spoglądał przed siebie tępym wzrokiem, usiłując dopatrzeć się ładu w kakofonii twarzy, gestów i bełkotów. Chłopakowi w watowanej kurtce włosy opadły na czoło. Ścisnął skronie dłońmi i powtarzał dyszącym głosem:

- Ja ją muszę... Ja ją muszę...

- Młody - powiedział ktoś łagodnie i trzepnął chłopaka w plecy. - Młody, pluń na to. Chcesz się raz napić piwa, to nie kupuj browaru. Wszystko minie jak zły sen. Młody, pluj na to...

Nagle chłopak podniósł głowę; w oczach jego zapaliło się szaleństwo. Błyskawicznym ruchem stracił z lady wszystkie kieliszki, kufle i butelki, potem rzucił się ku wyjściu ze zręcznością żbika. Trzasnęły drzwi. Kilku ochotników pobiegło za nim.

- Jeśli nawet będzie miał tę swoją dziewczynę - powiedział Władek oblizując wargi - to szczęście szybko się skończy, jeśli amant nie przestanie chlać. Biedna, głupia mała... Będzie za nim chodzić, wyciągać go z knajp, od kolegów, prosić, tłumaczyć, płakać.

- Skąd wiesz, że tak będzie? - zapytał Kuba.

- Tak zawsze jest, jeśli kobieta zacznie się opiekować pijakiem, którego kocha. Taka miłość jest złą miłością. Wiem, czym to się kończy. . . - Począł mówić bardzo szybko, jakby w obawie, że Kuba będzie chciał mu przerwać. - Sam miałem kiedyś taką, która mnie kochała. Chodziła za mną, tłumaczyła mi, mówiła, płakała, wrywała mi butelkę, kontrolowała mnie. Co drugi dzień stawiała mi ultimatum: albo wódka, albo ona; albo przestanę pić, albo się rozchodzimy. Zrywała ze mną, odchodziła, nienawidziłem jej, potem wracała, gdyż bała się, że zrobię sobie coś złego. Potem znów odchodziła, ludzie ją namawiali, żeby zerwała ze mną...

Umilkł. Znów pochylił się nad ladą. Mięśnie jego szczęk dygotały.

- I co? - zapytał Kuba. Serce poczęło mu cierpnąć jakimś mdlącym, dziwnym uczuciem. - I co?

- Szpital - powiedział Władek. - Poszedłem tam, bo ona tak...

- Co z nią? - zaczął Kuba, z całej siły ściskając go za ramię.

- Odejdź... - szarpnął się Władek. - Poszła sobie. Kiedyś w końcu wyniosła się do wszystkich diabłów i na szczęście nie wróciła. Nie można się jej dziwić... Która kobieta żyje dla przyjemności z pijakiem? Pijak nie jest mężczyzną. Sam wiesz, co potrafi pijak w łóżku. Spać i rzygać. Śmierdzieć w kacu. To była dobra kobieta. Nie zważała na to. Do czasu... Chodziła ze mną do tych przychodni, do lekarzy... Na nic.

- Jak to na nic?

- Kto pije - powiedział Władek i uśmiechnął się ~ z mściwą satysfakcją - będzie pił. To zabawa bez mety. Teraz antabusy, witaminy, pogaduszki z lekarzami, którzy potrafią leczyć tylko

nosaciznę u koni; potem Drewnica, Kościan, Tworki... - Oczy jego stały się przezroczyście; mówił: - Domy bez klamek. Biały pokój, z którego nie wolno ci wyjść. Cztery ściany i ty. Twoje wspomnienia, twoje kace. Możesz płakać, bić głową, modlić się, przeklinać, krzyczeć, ale klamki nie dostaniesz. Czasem wyjdiesz na podwórko, przejdiesz się w towarzystwie pielęgniarzy, popatrzysz sobie... Żółte, odrapane domy. Trochę nieba. Mury. Białe fartuchy. Piętnaście minut. Potem znów ten biały pokój. I wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia. Dzień. Noc. Czasem będziesz się gubił, co jest dniem, a co nocą. W nocy przychodzą do ciebie czasem rozmaici ludzie. Ale kiedy wyciągniesz do nich rękę, natrafisz na pustkę. Jesteś sam ze swoimi wspomnieniami. Czasem ktoś ci przyśle list, ale ty czytając go, nie uwierzysz, żeby to pisał człowiek. I znów jesteś sam. Zaczynasz się modlić, żeby nocą przyszli tamci, żebyś mógł z nimi pogadać. Kiedy przychodzą lekarze, błagasz ich, żeby cię wypuścili. Klękasz przed nimi, całujesz ich po rękach, chcesz im wyrwać klamkę i uciec, ale jesteś słaby, cholernie słaby jak każdy pijak, byle pchnięcie ręką wali cię na ziemię. Błagasz ich...

- Przestań - powiedział Kuba osłaniając twarz ręką jak przed uderzeniem. - Przestań.

- Błagasz ich - ciągnął Władek nie zważając na słowa Kuby - ale możesz ich długo błagać. Możesz im mówić, że jesteś już innym człowiekiem. Możesz ich zaklinać. Grozić samobójstwem. Urządzać głodówki. Krzyczeć dzień i noc, noc i dzień. Możesz przysięgać na kolanach, że jesteś już inny i masz silny charakter. Możesz rzucać się na nich z pięściami. Zbadają ci puls i odejdą.

- Przecież wychodzą stamtąd ludzie - powiedział obcym głosem Kuba.

- Tak - potwierdził Władek; łyzy ciekły mu po twarzy. - Ale tylko po to, żeby tam z powrotem wrócić.

- Kłamiesz - wolno powiedział Kuba.

- Byłem tam. I będę tam. Znów będą białe pokoje bez klamek. Aż w końcu nadejdzie dzień, w którym już niczego nie będę rozumiał i czuł. Będę kuPą głupiego, gnijącego mięsa i powędruję na pawilon, z którego wychodzi się tylko popychać obłoczki. Ale do tego czasu minie jeszcze wiele, wiele...

Umilkł; począł niezdarnie cofać się do tyłu. Oczy wyszły mu z orbit. Ku niemu szedł Kuba wyciągnawszy sztywno obie ręce, na wysokość gardła. Oczy miał jedne

go koloru - jak kulki odlane z metalu. Czoło jego lśniło od potu, usta były otwarte, twarz sina, jakby uległa zmiażdżeniu.

- Ty... ty... - wybełkotał Władek. Twarz skurczyła mu się i była śmiesznie maleńka. Postąpił jeszcze krok do tyłu i uderzył głową o ścianę.

- Aaayyy - zawył Kuba głosem tak przeraźliwym, że nagle zapadła zupełna cisza, wszyscy popodnosili głowy, a harmonista urwał w pół tonu - Aaayyyy...

Małpim, piekielnie zwinnym ruchem złapał Władka za gardło i ścisnął tak silnie, że tamtemu natychmiast krew trysnęła z nosa i poczęła ściekać na dłonie Kuby. Nie czuł, że ludzie, którzy podbiegli, szarpia go za palto i biją po głowie. Jego siła, jego rozum, jego serce, jego życie -wszystko to było zawarte w dłoniach, w dziesięciu palcach jego rąk. Ścisnął nimi coraz mocniej, nie czując ani ludzkich rąków, ani ciepłej śliny i krwi spływającej mu po dłoniach.

- Boże! - krzyknął. - Boże...

I dopiero w tej chwili czyjś potężny cios rzucił nim o ziemię, osłaniając go ciemnością - gęstą i dręczącą.

Ocknął się na ulicy. Wyciągając przed siebie ręce, nieustannie potracany przez ludzi, szedł wzdłuż murów. Padał deszcz pomieszany ze śniegiem, było bardzo ślisko; światła rozpląwały się jak robaczki świętojańskie. Włosy Kuby były mokre; zgubił kapelusz, palto miał rozpięte, bez jednego guzika; szalik zwisał mu z kieszeni i szargał się końcem po błocie, pod czaszką czuł nieznośny, piłujący ból, jednego oka nie był w stanie odemknąć. Drogę przeleciał mu kot i Kuba pomyślał drętwo: "Wszystko przez tego kota..." Szedł dalej, nie rozumiejąc, kim jest i dokąd podąża; odzyskiwał na sekunde świadomość, lecz po chwili znów gubił się w ciemności pełnej kolorowych plam. Ktoś potrząsnął nim silnie i przytrzymał w miejscu. - Tramwaj. Nie widzi pan, że tramwaj idzie...

Odrzucił go z całej siły i skręcił w boczną ulicę. Posuwał się jak ślepiec, szukając rękami w powietrzu oparcia dla swego ciała. Na końcu ulicy zobaczył światło. "To tam właśnie - pomyślał. - To tam muszę iść..." Mijał sklepy, domy, bramy; zataczając się brnął przez kałuże - była to świeżo wybudowana, pełna nowych bloków ulica. Przechodził koło jakiegoś sklepu; potrafił oparte o ścianę deski do zastawiania wystawy; upadły z hukiem; jedna uderzyła go boleśnie metalowym okuciem w twarz. Jęknął i upadł szeroko rozkładając ręce; ulica była pusta, nikt nie przyszedł mu z pomocą. Leżał w kałuży, przeniknięty dławiającym zimnem. Uniósł się na łokciach, chcąc wstać, lecz brakło mu sił i runął znów twarzą w krawężnik. "Nie boli - pomyślał - nic nie boli..." Ze sklepu, przy którym stały deski, wyleciała ekspedientka w białym fartuchu. " Teraz" - pomyślał Kuba i ruchem małego chłop-ca ukrył głowę w ramionach. Kobieta rozejrzała się i głośno powiedziała w pustkę ulicy: "Łobuz..." Poczęła z powrotem ustawiać deski. Ustawwszy je, wróciła do sklepu, głośno trzaskając drzwiami. Rozchlapując kałuże, szybko przejechał samochód. Z okna na parterze wrzeszczało radio.

Kuba uniósł głowę ważącą setki ton. Otworzył oko i znów świat począł wirować niezrozumiale. Trwało to chwilę; potem już tylko jedno światło na końcu ulicy kołysało się uparcie. " To tam - pomyślał Kuba. - To tam właśnie... Co tam? Tam właśnie idę..." Ukląkł; na kolanach począł czołgać się do muru. Długo drapał rękami chropowatą ścianę, obrywając sobie paznokcie i krwawiąc dłonie, nim natrafił na gzyms. Dźwignął się wreszcie. Nogi miał słabe jak nogi niemowlęcia; drżały i łamały się. Począł iść bardzo wolno, trzymając się muru; płakał. Dwóch uliczników obejrzało się za nim. Jeden powiedział: "Przez łzy do szczęścia. Płyn pan dalej..." Kuba przeszedł w ten sposób parę kroków; w pewnym momencie natrafił na pustkę bramy i upadł. Leżał dysząc. Trwało to bardzo długo. Począł zasypiać, gdy uczył liźnięcie na twarzy, otworzył oko i zobaczył małego psa; pies stał nad nim i patrząc uważnie, machał kusym ogonem. "Przez ciebie - pomyślał Kuba i natychmiast odzyskał siły. - Wszystko przez ciebie". Chwycił go za gardło; nie czuł nawet, jak pies przekrzywił łebek i wgryzł mu się w rękę. Cisnął nim w kąt i z trudem wstał. Wiatr ocucił go trochę. Szedł wolno i ostrożnie; kiedy wymacał ręką czeluść następnej bramy, zachichotał z zadowoleniem. "Nic z tego - wybełkotał radośnie. - Nic z tego..." Ukląkł i począł pełzać na czworakach. Nie słyszał nawet, że ktoś do niego mówi: "Co, do Częstochowy pan idziesz w taką pogodę? ..." Namacawszy ręką mur, wstał. Znowu począł iść trzymając się ręką muru. Rozpychał co chwila

powietrze rękami, jakby natrafiając na przeszkody. Światło na końcu ulicy, ku któremu szedł, zwiększało się. I kiedy Kuba był już blisko, z oświetlonego domu wyszedł tłum ludzi. Szli ku niemu - czarne niewyraźne postacie bez twarzy i konturów. Wtedy przypomniało mu się wszystko; zrozumiał, że jest już tam; przypomniała mu się rozmowa, którą miał kiedyś niesłychanie dawno - z pewnym człowiekiem w jakiejś knajpie; tamten przepowiedział mu, że znajdzie się kiedyś w pokoju o białych ścianach, zamkniętym na drzwi bez klamki; i że będą do niego przychodzić rozmaici ludzie, dziwne zwierzęta i pokraki.

Zrozumiawszy, że dzień ten nadszedł, Kuba zatrząsał się ze strachu i wściekłości. Oparł się o mur i patrzył przed siebie rozszerzonymi oczyma. Rzeczywiście, niektórzy z idących nie mieli głów, inni mieli po dwie; niektórzy nie mieli nóg, płynęli w powietrzu jak okrutne w swej kalekiej brzydocie, niezrozumiałe ohydne ptaki. Szedł ku niemu człowiek-strzyga, człowiek-nietoperz, człowiek o jednym, przeraźliwie krwawym oku, które wypełniało mu całą twarz; czuł się człowiek-waż. Kuba spojrział na jego śliski łuskowaty tułów pełzający po błocie i zasłonił oczy rękami. "Was przecież nie ma - powtarzał w myśli - was przecież naprawdę nie ma. Otworzę za chwilę oczy i was nie będzie. Otworzę oczy i wyniesiecie się z mojego pokoju. Tak, tak, tak..." otworzył oczy i zobaczył, że są i idą ku niemu; na przedzie kroczy człowiek z głową małego pieska; idzie wyciągając ku niemu silne, owłosione ręce - wyciągając ręce do jego gardła. Kuba cofnął się.

- Was przecież nie ma! - krzyknął piskliwie i rzucił się w tłum. - Was przecież nie ma...

Potracony, upadł osłoniwszy głowę rękami. Słyszał ich kroki twardo dzwoniące koło jego uszu. "Przechodzą, przechodzą" - myślał. Ktoś podkutym butem nadepnał na jego dłoń; Kuba zaskowyczał cichutko: przytulił twarz do zimnych kamieni. Potem wszystko umilkło, kroki oddaliły się. Leżał dalej, bojąc się wykręcić głowy. Teraz jednak ktoś pochylił się nad nim i uniósł go. Był to jakiś krępy człowiek w skórzanej kurtce.

- Odejdź! - rozpaczliwie krzyknął Kuba.

- Panie Kubuś - powiedział nieznajomy potrząsając nim. - Panie Kubuś, nie poznajesz mnie pan? To ja, Kostek. Nie poznajesz mnie pan?

- Głowa - wybełkotał Kuba. - Gdzie twoja głowa? Nieznajomy roześmiał się.

- Za dużo lakieru było - powiedział tonem znawcy.

Wyciągnął papierosa i wetknął go Kubie w usta. - Sztachnij się pan - powiedział łagodnie. - Pomoże... Kuba zaciągnął się posłusznie. Z trudem stał na chwiejnych starczych nogach, podtrzymywany przez tamtego.

- Gdzie oni? - zapytał.

- Kto?

- Tamci.

- Te ludzie?

- Ludzie... - wybełkotał ze zdumieniem Kuba. Wyprostował się nagle i wyciągnął rękę w ulicę. - To nie ludzie. Nie mają głów ani oczu. To potwory, potwory... Gdzie oni są?

- Przeszli.

- Dokąd?

- Swoją drogą.

- Ja pana znam - powiedział Kuba patrząc z wysiłkiem w twarz tamtego

człowieka. Zachichotał: - Ja pana znam. Pan jest Kostek, szwagierski mojego ciecia. Kiedyś wiózł mnie pan z "Kameralnej", tak? Pan jest szoferem, tak?

- O to właśnie chodzi - powiedział Kostek. - Chodź pan, podrzucę pana...

Wepchnął Kubę do taksówki stojącej przy chodniku; Kuba zwałił się jak bezwładny wór.

- Ta nafta - powiedział dobrotliwie Kostek. - Oj, ta nafta... - Nacisnął rozrusznik i ze zgrzytem włączył bieg; samochód ruszył. - Otworzę okno - powiedział. - Na naftę nie ma to jak świeży luft... Pokręcił korbką i zapytał: - Dobrze teraz?

- Dziękuję - mruknął Kuba. Świadomość jego wracała i odpływała mdlącymi falami. Podniósł do oczu swoje pokiereszowane ręce i obejrzał je dokładnie; były okrwawione, brudne i opuchnięte; prawie wszystkie paznokcie miał połamane. Zasyczał. Skrzeczącym głosem zapytał: -Gdzie mnie pan znalazł?

- Stałem akurat przed kinem - wyjaśnił Kostek; zaklął, gdyż ktoś źle przeszedł mu drogę. - Stałem akurat przed kinem - powtórzył - i myślałem, że kogoś podłapię, bo to godzina, kiedy publika wychodzi. Siedzę w wózku, palę papierosa; patrzeć, a tu pan wychodzi z bramy. Od razu widzę, że na dużym flicie. Patrzę i czekam, co będzie dalej. Pan stoi, stoi, a potem do nich. "No - myślę sobie - człowiek znajomy, trzeba pomóc". Ktoś pana potracił i poleciał pan mordą w tretuary... Nic się panu nie stało?

- Nic - powiedział Kuba. Patrzył w niewyraźną linię chodnika. Nagle zapytał z ożywieniem: - A światło?

- Jakie światło?

- Tam - powiedział z trudem Kuba. Zamknął oczy, gdyż umykające chodniki przyprawiały go o zawrót głowy. - Światło - powtórzył. - Na końcu ulicy. Duże światło...

Kostek wzruszył ramionami.

- Tam nie było żadnego światła - powiedział. - To taka ciemna ulica. Po pijaku to czasem rozmaicie się wydaje, mówię panu. Gdyby się nie wydawało, to każdy by lachę położył na naftę. A jak człowiek podejdzie bliżej do takiego światła, nie ma nic. Aaa - klepnął się ręką w czoło - może to ten neon ?

- Neon?

- Tak. Nad kinem.

- Po co ja szedłem do tego światła? - szepnął w zamyśleniu Kuba.

- Po pijaku - powiedział Kostek - chodzi się w różne strony. Wiem dobrze, co to znaczy, bo sam też lubię dać sobie w gardło. Takie to i życie człowieka...

- Dziękuję panu - mruknął Kuba.

- Klops by był z panem - z przechwałką powiedział Kostek. - Jakby pana harcerzyki drapnęli, to klops. Znów dwadzieścia cztery godzin. Złe czasy idą na trunkowych, panie Kubuś...

Zahamował. Kuba wygramolił się z trudem. Zapłacił. Kostek powiedział:

- Teraz najlepiej w kimę. A rano coś na gorąco... -Machnął Kubie ręką i odjechał.

W bramie stał dozorca; patrzył przed siebie smętnym, pełnym melancholii spojrzeniem.

- Widzi pan, co za świnią ten Kostek - powiedział zagradzając Kubie drogę. - Pokłóciłem się z nim. Miał postawić flaszkę... - Przerwał

nagle i popatrzył na Kubę. W jego aksamitnych oczach pojawiło się pełne zazdrości zainteresowanie. - Gdzie się pan tak doprawił? - zapytał.

Kuba odsunął go i począł iść schodami na górę. Słyszał, jak dozorca mruczy: "Naród - bez wychowania..." Jęczał; każda kość, każdy kawałek ciała napełniony był ciężkim, żelaznym bólem. Przystawał co chwila i dyszał chrapliwie, opierając głowę o poręcz. Na drugim piętrze przysiadł; odpocząwszy ruszył dalej. Doszedł wreszcie. Stał na korytarzu i szukał klucza; przeszkadzało mu palto, szalik, ubranie - wszystko. Znalazłszy klucze, podszedł do zamka. Wtedy dopiero zauważył, że przed drzwiami jego mieszkania, na ziemi, siedzi kobieta.

- To ty, Krystyno? - powiedział i cofnął się o krok. Patrzył w ciemność z czujnością nocnego ptaka.

- Chodź - powiedziała cicho.

Potrząsnął odmownie głową.

- Nie - rzekł.

- Chodź, Kuba - powiedziała łagodnie. - Bardzo długo czekam.

Potrząsnął głową. Zacisnął aż do bólu powieki, a kiedy rozwarł je z powrotem, zobaczył ją. Odetchnął z ulgą.

- Wyciągnij rękę, jeśli to naprawdę ty - powiedział. Wyciągnęła ku niemu obie ręce.

- Tak- szepnął. - Do diabła, do diabła...

- Daj klucze - poprosiła.

Wzięła klucze; otworzywszy drzwi, weszła do mieszkania i zapaliła światło. Spojrzała na twarz Kubę i oczy jej zrobiły się ogromne. Nie mówiąc ani słowa zdjęła z niego palto i obejrzawszy je, powiesiła na wieszaku.

- Idź do pokoju - rzekła.

Kuba posłusznie wszedł do pokoju i położył się na tapczanie.

Krystyna weszła za nim. Zapaliła lampkę na nocnym stoliku.

- Zaraz przyjdę - rzekła.

- Przyjdź - szepnął Kuba.

Patrzył w sufit; z jednego kąta, po niteczce, schodził mały pajaczek. "Skąd on tutaj?" - pomyślał Kuba i zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, gdy Krystyna poczęła twarz jego ocierać mokrym ręcznikiem.

- Piłem - powiedział słabym głosem.

Milczała. Twarz jej była blisko, ukryta w cieniu lampy; oczy miała zamknięte, usta boleśnie przygryzione.

- Piłem - powtórzył Kuba.

- Obetrę ci ręce - rzekła.

- Piłem! - zawył Kuba z całej siły i odtracił ją. Chciał dźwignąć się, lecz ułożyła go z powrotem; jej ręce okazały się nadspodziewanie silne.

- Poczekaj - rzekła. - Zrobię ci kawy.

Odeszła. "Piłem" - raz jeszcze pomyślał Kuba i roześmiał się wzgardliwie. Pajak był już w połowie drogi do ziemi; unosił się wprost nad jego głową. W pewnej chwili Kuba ujrzał, że pajak ten ma porowatą ludzką twarzyczkę i smutne oczy. Wtedy przypomniał sobie wszystko -knajpę, Władka, harmonistę tłumaczącego sny, barmankę zonglującą naczyniami z niepojętą zręcznością, plakaty nad bufetem, pochód upiórów na ulicy, " Was nie ma -pomyślał z satysfakcją. - Nigdy was nie było naprawdę..." Zasnął.

Obudziła go Krystyna; stała nad nim z filiżanką kawy.

- Długo spałem?

- Nie, parę minut. Pij, póki gorąca.
Dźwignął się na łóżku; pił gorący płyn, parząc wargi. Krystyna przytrzymała mu filiżankę. Kiedy skończył, odstawiła ją na stolik. Kuba zapytał:
- Chcesz wiedzieć, jak to było?
Potrząsnęła głową; oczy jej były uważne.
- Nie - rzekła.
- Dzwonili tutaj... od rana. Musiałem wyjść z domu... - Nagle machnął ręką; zrozumiał, że nigdy nie potrafi jej opowiedzieć, jak było naprawdę.
- Pójdę już - powiedziała Krystyna.
- Odchodzisz?
- Idę. Przyjdę jutro rano. Pójdziemy tam rano, z samego rana.
- O której?
- O ósmej.
- I co?

- Będziesz się leczyć.
- Krystyna.
- No?
- Ja tam nie pójdę nigdy.
- Dlaczego?
- To nic nie pomoże.
- Będziemy próbować.
- Dokąd?
- Do końca.
- Do jakiego końca ?
- Dopóki nie przestaniesz pić.
- Nic z tego nie będzie. Idź stąd. Wracaj między żywych. Jeszcze czas.
- Żywi są ci, których się kocha.
- I tak kiedyś odejdziesz. Litość to marne uczucie. Będziemy się męczyć i szarpać. Udręka. Niewiele da się zbudować na litości.
- Kuba.
- Tak.
- Słuchaj mnie uważnie! Ja przyjdę jutro rano. Jutro rano o ósmej. Będę dzwonić trzy razy. Wtedy mi otworzysz. Tylko wtedy. Jeśliby tu kogoś diabli przynieśli, nie otwieraj nikomu.
- Kiedy przyszłaś po raz pierwszy do tego domu wyglądałaś inaczej, Krystyna... Inaczej mówiłaś. Tak już nigdy nie będzie?
- Nie otwieraj nikomu. Kuba. I pamiętaj, trzy razy.
- Zostań ze mną dzisiaj. Boję się.
- Mam w domu chorą matkę, Kuba. Cały dzień mnie nie było. Beze mnie nie da sobie rady. Muszę jej wszystko podać i przygotować. Więc jutro. Do widzenia.
- Dlaczego nie chcesz, żebym ci wszystko opowiedział, jak było? Nie chcesz tego słuchać?
Przystanęła w drzwiach. Nie widział jej; była ogarnięta mrokiem. Za oknem, w ciemnościach, głucho szumiało miasto.
- Kobiety - powiedziała Krystyna - i tak wszystkiego muszą się zawsze domyślać, przede wszystkim domyślać. Śpij dobrze, Kuba. Wyszła; cicho trzasnęły drzwi. Kuba leżał chwilę bez ruchu. Potem zgasił światło; po suficie pełzały cienie, deszcz bębnił drażniąco. "Pająk - pomyślał Kuba. -Gdzie ten pająk?" I wszystko odpłynęło od niego - nagle i krótko. Jak pływak skaczący z wysoka, tak on pogrążył się w sen - ciemny i dławiący jak woda.

VI

Obudził się w nocy, w ciszy zupełnej i strasznej. Długą chwilę leżał bez ruchu; nasłuchiwał bicia własnego serca i oddechu. Potem poruszył się. Jęknął; był mokry od potu, głowę rozsadzał mu ból, jakiego dawno już nie zaznał; całe ciało jego napełnione było pragnieniem wody. "Pić - myślał - pić..." Serce trzepotało mu się między żebrami, gdzieś bardzo nisko - głośno i nierówno; dokuczał smak i zapach alkoholu. Wyciągnął rękę i począł błądzić nią w ciemności, szukając kontaktu nocnej lampki; lecz działał tylko tyle, że wyrzucił lampkę razem z popielniczką; upadły na podłogę z hałasem i Kuba skulił się przerażony. Znów leżał bez ruchu w ciemności i ciszy zadręczającej i nieprawdziwej. W rogu okna fosforycznym, zimnym blaskiem świecił okrągły, duży księżyc. Biurko, stół, szafa - wszystko błyszczało nieprzyjemnym, ostrym blaskiem. Pokój wypełniony był rozrzedzoną stałą.

Po wielu minutach Kuba wstał. Zataczając się po pokoju, podszedł do drzwi; trzymając się kurczowo jedną ręką framugi, drugą szukał kontaktu. Zapalił wreszcie światło, zrzucając przy tym obrazek wiszący na ścianie; oślepiiony jęknął i złapał się rękami za głowę, powoli odmykając oczy. Potem schylił się po obrazek; musiał klęknąć na kolana i bardzo długo wstawać. Szkło pękło; był to tani obrazek przedstawiający kolumnę Zygmunta, lecz Kuba, wbrew zdrowemu rozsądkowi i smakowi, lubił go bardzo. Chwilę stał trzymając obrazek w rękę i kiwał ze smutkiem głową. Potem powiesił go na swoim miejscu i poszedł do kuchni.

W garnuszku stojącym na gazowej maszynie było jeszcze nieco kawy. Pochwycił go rozdygotanymi rękami i nie grzejąc płynu, wypił. Lecz było to o wiele za mało, aby ugasić pragnienie drażące jego rozpalony organizm. Otworzył kran i nadstawiwszy usta, pił długo i chciwie, aż poczuł chłód. Odetchnął; usiadłszy na krześle, zapalił papierosa. Usiłował zebrać myśli i przypomnieć sobie wszystko, lecz przeraził się własnych wspomnień i co prędzej począł myśleć o czymś innym; rozrachunek z sobą zawsze zostawiał do następnego dnia. Znów odezwało się w nim pragnienie. "Cytryna - pomyślał - kawałek cytryny..." Podszedł do kredensu i począł szukać; przewracał spodki, talerze i filiżanki. I wtedy, ukrytą za dużą fajansową wazą, zobaczył butelkę wódki; była nie ruszona, jej łebek świecił czerwonym lakiem. Wziął ją do ręki i patrzył uważnie.

- Jesteś? - powiedział. - Jesteś, ty kurwo? Dzień dobry pani. Uderzeniem dłoni wybił korek i zbliżył się z butelką do zlewu. Przechylił szyjkę i przymrużywszy oczy, patrzył, jak płyn bulgocąc spływa w ściek. Wtedy zadzwonił telefon. Zatrzymał rękę; stał nasłuchując uważnie i nie wierząc sobie. Dzwonek powtarzał się. "Pewnie Krystyna - pomyślał. - Coś jej musiało wypaść. Któraż to godzina?" Podniósł rękę do oczu, lecz przypomniał sobie, że to wczoraj zastawił zegarek w barze "Pod Orłem " ; była straszna awantura, a potem bufetowa z kelnerem zdarli mu zegarek z ręki. Kelner był niski, z kartoflanym nosem; potrzásając Kubą, mówił: "Jak nie masz za co pić, to chodź do kościoła łachudro..." Kuba uśmiechnął się.

" Tak, to Krystyna - pomyślał. - Już teraz jest rano. Coś jej widocznie wypadło". Machinalnie unosząc z sobą butelkę wódki, przeszedł do pokoju. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham.

- Kuba? - zapytał niski męski głos.

- Tak- powiedział bardzo spokojnie. Postawił butelkę wódki na stoliku obok telefonu i zacisnął na niej palce; szkło było zimne i gładkie.

- Kuba - powiedział niski głos z wyrzutem. - Kuba! To tak, to tak? A przecież wczoraj rano rozmawialiśmy z sobą i sam powiedziałeś, koniec. I my wszyscy, wszyscy twoi przyjaciele, myśleliśmy, że rzeczywiście to już koniec, że nie będziesz pił. Wszyscyśmy się cieszyli, że nareszcie skończyłeś z tym świństwem. A wieczorem dowiaduję się, że widziano cię pijanego, jak się tarzałeś po ulicach. Żona wychodziła z kina i widziała, jak się awanturowałeś ze swoimi kolegami...

- Byłem sam.

- Nie kłam, Kuba - powiedział łagodnie niski głos. -Jestem twoim przyjacielem i wiesz dobrze, że kogo, jak kogo, ale mnie nie potrzebujesz okłamywać. My chcemy ci pomóc, Kuba. My wszyscy bardzo chcemy ci pomóc. My, twoi przyjaciele. Chcemy ocalić cię od zguby, chcemy uratować twój talent, twoją miłość. I sam wiesz, że robimy wszystko w tym kierunku. I wszyscy już myśleliśmy, że od dziś będzie dobrze. A ty pijesz w "Kameralnej".

- Nie byłem w żadnej "Kameralnej" - powiedział Kuba; żyły na skroniach poczęły mu pulsować.

- Widzieli cię, Kuba, niestety - łagodnie przemawiał głos. - Widzieli cię, jak piłeś. Trudno, Kuba. Tobie nie można wierzyć. Ty jesteś pijak. Pijakom się nie wierzy. Nie gniewaj się, że ja tak mówię, ale wiesz, że jestem twoim przyjacielem, a kto ma ci mówić prawdę? Lala Makowska do mnie dzwoni i mówi: "Czy wiesz, że Kuba znowu pije? Dzidka widziała go, jak się tarzał w "Kameralnej". Co z tym typem zrobić?" I w tym sensie. Lala Makowska, Kuba, taka stara idiotka. I żeby to ona sobie tobą wycierała twarz. No nie, Kuba! A ja już byłem taki spokojny o ciebie. Ten stary dureń Sękowski mówi do mnie wczoraj: " Ty wierzysz, że on przestanie pić? Prędzej mi kaktus wyrośnie na łysinie". I pac się w czoło. Ty zresztą znasz kawały Sękowskiego. A ja do niego mówię: "Nie mieszaj się w nie swoje sprawy, psiakrew. Nie lubię strasznie, jak się wsadza twarz w nie swoje sprawy. Kuba to mądry chłop i sam wie, czym dla niego jest wódka. Nie czepiaj się Kuby..." I tak od słowa do słowa, poprztykałem się z Sękowskim. I jak ja teraz wyglądam, Kuba? Jak wyglądam? Jak wyglądam? ...

Mówił jeszcze długo i gorąco, lecz Kuba nie słyszał już nic i nic nie rozumiał; odłożył słuchawkę i nie wypuszczając z rąk butelki, usiadł na tapczanie.

- I jak ja teraz wyglądam? - powiedział głośno, patrząc w róg pokoju. - I jak ja teraz wyglądam?

Szybszym od myśli ruchem przysunął filiżankę po kawie i nalawszy sobie pełno, wypił jednym haustem.

- Jak ja teraz wyglądam? - wybełkotał.

Nalał sobie i wypił po raz drugi, potem - trzeci. Odetchnął; znów był starym, mądrym, cwany i cynicznym Kubą.

Wciąż nie wypuszczając z rąk butelki, podszedł do stołu, gdzie leżała paczka papierosów. Usiadł i zapalił; ręce miał sprawne jak najbardziej precyzyjne narzędzia. Zaciągnął się głęboko; dym smakował mu teraz bardzo, ciało miał ciepłe i mocne, serce - niby dzwon.

- Szkoda tylko, że obrazek się zepsuł - powiedział głośno. I wydało mu się to bardzo zabawne. Powtórzył: - Szkoda, że się zepsuł... -

Znów nalał sobie i wypił. - Piję - wyznał szczerym głosem. - Znowu piję. Piję, no, i co? No, i nic. - Począł przedrzeźniać swego rozmówcę sprzed pięciu minut: „,1 jak ja teraz wyglądam? I jak ja teraz wyglądam?” - Roześmiał się i krzyknął: - Wyglądacie wszyscy jak małpy w kruchcie! O, tak.

Machnął z zapalem ręką i wtedy przewrócił butelkę. Płyn rozlał się momentalnie, tworząc na politurowanej powierzchni stołu świetlistą kałużę. Kuba długo siedział osłupiały; patrzył to na kałużę, to na pustą butelkę, wreszcie cisnął ją w kąt. Szkło rozsypało się z ostrym brzękiem. Siedział z zamkniętymi oczami i palił papierosa; kiedy niedopałek począł parzyć mu palce, odemknął oczy i westchnął. Wtedy zobaczył, że z rozlanej kałuży patrzy na niego twarz Krystyny. Roześmiał się.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział.

Ona także się uśmiechnęła. Pokiwał głową.

- A jednak zjawiałaś się ze swoją zaszraną litością - powiedział. - Zawsze przychodzisz wtedy, kiedy chciał-bym przestać myśleć o tobie. A ja znowu piję, Krystyno. Widzisz?

Kiwnęła głową.

- Głupie, co ?

Nie odpowiedziała. Pochylił się nad nią i zobaczył, że twarz jej pełna jest napięcia.

- Teraz mnie nie oszukasz swoją litością - powiedział. - Nie oszukasz mnie tym zaszranstwem, które mi dajesz zamiast miłości. Już długo nie śpimy ze sobą. To coś znaczy, to coś jest. Nie chcesz już ze mną gadać, ale wiem, co myślisz. A teraz powiem ci jedną rzecz: ludzie sami nie zmieniają się nigdy. Ludzi zmienia życie. Dobre czy złe, dobrego czy złego człowieka, ale zawsze życie. A ja jestem nicpoń, Krystyno. Ty chyba o tym wiesz, co.

Kiwnęła głową.

- Wszystko wiesz - powiedział Kuba z nienawiścią. - Ja wiem, że ty wszystko wiesz. Ty jesteś tak zwana mądra kobieta, o ile takie w ogóle istnieją. To znaczy najbardziej nieszczęśliwa. Dlatego że jesteś mądra. Że wszystko rozumiesz, że wszystko wybaczasz, że wszystko potrafisz mądrze ustawiać. Za mądrość płaci się cierpieniem, Krystyno. Biedne nieszczęśliwe, mądre kobiety. Żal mi was, bo prawie zawsze giniecie przez głupców. Jesteś mądra, Krystyno. Jesteś piekielnie mądra, ty idiotko, ale nie wiesz jednej rzeczy: nie wiesz, czym jest wódka. Nie wiesz, nie wiesz, nie wiesz. Patrzyła na niego z niesłychanym napięciem i z twarzy jej Kuba widział, iż pragnie, aby mówił dalej.

- Kto wie? - powiedział w zamyśleniu i potarł policzek. - Kto wie? Może i wiesz? - Nagle roześmiał się wzgardliwie: - Powinnaś przecież wiedzieć. Mogę ci przypomnieć, chcesz?

Znów kiwnęła głową. Uśmiechała się mądrze i tajemniczo.

- Czy pamiętasz - począł mówić Kuba - jak byliśmy zeszłego roku w Zakopanem? Pojechaliśmy tam, abym ja odpoczął. Łaziliśmy po górach, to było w tym czasie, kiedy w Zakopanem jest na ogół mało ludzi, i dlatego wybraliśmy tę porę. Tak, Krystyno? Przypominasz sobie? I rzeczywiście, przez trzy dni było wszystko dobrze. Wodziliśmy się jak dwie nierozłączki. Pilnowałaś mnie. Nie odchodziłaś ode mnie ani na krok. Byłaś szczęśliwa. Kiedy spotykaliśmy na Krupówkach jakąś znajomą gębę, przeciągałaś mnie na drugą stronę ulicy. Chodziliśmy tylko tymi szlakami i tylko do tych kawiarni, gdzie nie ma ani kieliszka wódki. To dlatego, żeby mnie nie drażnić niepotrzebnie. I co z tego, Krystyno? Przez trzy dni było wszystko jak w bajce, ale

czwartego nie przyszedłem na spotkanie z tobą. Nie przyszedłem również piątego i szóstego. Szukałaś, dzwoniłaś, latałaś po całym mieście, zaczepiałaś nieznanymi ludźmi, patrzyłaś na nich obłąkanymi oczyma i pytałaś: "Czy nie widzieliście Kuby? Czy nie widzieliście takiego wysokiego blondyna?" A ludzie pukali palcami w czoło i szli sobie dalej. Zaalarmowałaś nawet pogotowie, gdyż przyszło ci na myśl, że wybrałem się na samotną wycieczkę w góry i skręciłem kark... A ja, Krystyno? A ja chlałem z Cyganami przez ten czas. Kiedy wreszcie znalazłaś mnie, byłem już bez forsy, bez zegarka, bez niczego. I wyjechaliśmy następnego dnia do Warszawy. Żeby się odzwyczaić od wódki. A mam ci przypomnieć pobyt w Międzyzdrojach; te wszystkie awantury w knajpach, to wydzieranie mnie z komisariatów. ... Zapalił nowego papierosa i, zaciągając się chciwie dymem, patrzył w jej twarz. Krystyna spoglądała na niego teraz surowo, czoło jej przecinała pionowa zmarszczka.

- Śliczna jesteś - powiedział Kuba. - Wyglądasz jak Madonna ze starego obrazu. Masz w twarzy tyle słodyczy i tyle bólu... Dlaczego jesteś taka ładna? No, powiedz?

Milczała. W jej brązowych oczach płonęło łagodne światło; wyglądała już zupełnie inaczej niż przed sekundą.

- Widzisz, Krystyno - powiedział Kuba. - I ty chcesz ze mną zostać? Czy wiesz, co by to było? Twoje życie stałoby się wiecznym oczekiwaniem. Nigdy byś mi nie wierzyła. Gdybym się spóźnił na obiad pół godziny z powodu tramwaju czy jakiegoś innego głupstwa, przeżywałabyś męki takie, jak kobieta rodząca. Codziennie byś musiała na nowo rodzić swoje cierpienie. Przymykałabyś oczy i widziała mnie pijącego w jakimś barze. Byłabyś podejrzliwa i nieufna, kazałabyś mi chuchać, pytałabyś mnie o wszystko, nie wierząc ani jednemu mojemu słowu, za wszelką cenę starałabyś się mnie zaskoczyć i złapać na kłamstwie; to weszłoby potem w nałóg zeszcpecający każdą chwilę twojego życia... Żyłem już z kobietami, które chciały mnie wyciągnąć z pijaństwa, Krystyno. A ludzie? Czy pomyślałaś o ludziach? O tych wszystkich ludziach, którzy dawaliby ci dobre rady, jak ze mną postępować? O tych wszystkich idiotkach, które opowiadałyby ci, w jaki sposób wyciągnęły swoich mężów z nałogu? Czy pomyślałaś o tym? Czy zdajesz sobie sprawę, że naraz cały świat począłby cię obdarzać litością; wstrętną, wścibską litością, która z człowieka robi słabą, plugawą, nic niewartą dla samego siebie istotkę. Wchodziłabyś do kawiarni i od razu ludzie zaczęliby szeptać: "Patrz, to Krystyna, żona tego pijaka Kuby. Ona poświęciła się dla niego. Wyjątkowa kobieta, co za charakter, co ona musi przeżywać z tym draniem..." Szłybyś ulicą, Krystyno, a ludzie by mówili: "To idzie Krystyna, żona tego alkoholika, Kuby. Dziwię jej się, taka młoda, ładna kobieta i żyje z takim pijakiem, życie sobie przez niego marnuje. Zresztą na pewno ma kogoś na boku; ten pijak rozkłada się przecież za życia, jakże ona może spać z takim?" Zaczepialiby cię i pytali: "No, jakże, droga pani Krystyno? Czy on pije?". Ty byś zaprzeczała, a oni by się uśmiechali. Wtedy ty byś myślała sobie: "Oni coś wiedzą. Oni go gdzieś widzieli, jak pił". Życie twoje stałoby się pomału piekłem; pomału zaczęłabyś nienawidzić tych uśmiechów, tych dobrych rad, tej życzliwości; potem zaczęłabyś nienawidzić ludzi, omijać ich, unikać ich, kłamać przed nimi. I wtedy, Krystyno, nadszedłby taki dzień, kiedy zrozumiałabyś, że tylko my dwoje jesteśmy na świecie: ty, Krystyno, i ja, pijak, który zmarnował ci życie i odebrał wszystko. Czy pomyślałaś o tym

Krystyno?

Pochylił się nad nią. Milczała; twarz jej była pełna cienia.

- Widzę, że cię to nie przekonało - powiedział Kuba z goryczą. - Mogę mówić dalej. Czy pamiętasz, jak byliśmy kiedyś na meczu piłkarskim? Był piekielny tłok; siedzieliśmy na trybunie, ściśnięci między ludźmi jak śledzie, i po którymś tam golu zauważyłaś, że zginął ci

zegarek. To był taki śliczny, mały "Tissot" z kwadratowym szkieletem. Wstaliśmy z miejsc i szukaliśmy tego zegarka. Ale nie znaleźliśmy go. I nic dziwnego: był w mojej kieszeni, Krystyno. A czy pamiętasz, jak kiedyś, w twoim domu, zginęła ci taka śliczna broszka ręcznej roboty, którą dostałaś od swojej babki? I pamiętasz chyba, że to ja poradziłem ci, żebyś zwolniła tę starą, biedną kobietę, która przychodziła ci sprzątać. Ty jesteś delikatna, Krystyno, i prosiłaś mnie, żebym to ja załatwił tę przykrą sprawę. I ja wziąłem tę staruszkę na rozmowę i powiedziałem jej: "Kto inny by panią podał do sądu, ale moja narzeczona prosi tylko, żeby pani do niej więcej nie przychodziła na posługi..." A potem powiedziałem do ciebie: "Kocham twoją szlachetność, Krystyno. Ja nie wiem, czy sam tak bym postąpił na twoim miejscu: złodziejstwo trzeba karać jak najsurowiej". I czy ty wiesz, że ta biedna starowina przez rok potem przychodziła tu, do mnie, i spłacała mi ten dług za broszkę, bo bała się, że mimo wszystko podamy ją do sądu, a jak każdy prosty człowiek, bała się tej instytucji śmiertelnie? Pamiętasz? Kiwnęła głową; patrzyła na niego z zimną, zjadliwą pogardą. Roześmiał się.

- Dostyc już tego - powiedział. - Sama wiesz, że tak się musi stać. Cieszę się tylko, że jesteś przy mnie w tej chwili. Bałem się umierać samotnie, choć wiedziałem, że musi nadejść ta chwila, kiedy ja sam sobie będę musiał powiedzieć: "No, Kuba, dostyc, dostyc tych głupstw". I ty chyba sama wiesz, że to już dość. Tak? Tak czy nie? Kiwnęła głową; patrzyła na niego poważnie i ze smutkiem pełnym zrozumienia.

- Widzisz - powiedział. - Teraz ja to zrobię, a potem ty pójdziesz. Co mam ci powiedzieć na pożegnanie? Boję się słów, Krystyno, tyle słów już powiedziałem... Powinienem ci powiedzieć, że nikogo nie kochałem tak jak ciebie czy COŚ w tym rodzaju, prawda? Wiem, wiem. Wy, kobiety, jeśli odchodzicie do innego, o którym wiecie, że będzie wam z nim dobrze, wtedy mówicie do nas: "Zawsze będę o tobie pamiętać. Zawsze będę cię kochać i myśleć o tobie; będziesz najpiękniejszym snem mojego życia, które od dzisiaj stanie się puste i bez treści. Przeżyliśmy więcej niż inni ludzie. Moje życie będzie ustawiczną tęsknotą za tobą..." I tak dalej. Powiedzcie ci coś takiego?

Milczała.

- Dobrze twardo powiedział Kuba i pochylił się tuż do jej twarzy. - Powiem ci wobec tego prawdę. Będą to pierwsze słowa prawdy, jakie usłyszałaś ode mnie. To zaboli, ale jak chcesz... Nienawidzę jednego tylko człowieka. Ty nim jesteś. Nienawidziłem cię przez cały czas, od chwili kiedy pierwszy raz przyprowadziłaś mnie tu zalanego z miasta i przez litość położyłaś się koło mnie. Nienawidziłem twojej litości, twojej dobroci, wyrozumiałości, twoich dobrych słów... Wiedziałaś dobrze, że pewnego dnia polecę na łeb, na szyję. Wyciągałaś mnie do światła, którego nigdy nie zobaczę. Wskazywałaś mi nadzieję, która nigdy nie mogła stać się rzeczywistością. Stale wkraczałaś w moje piekło, z którego nie miałem ucieczki, i stale

wpychałaś mnie w to wszystko z powrotem. Ty biedna, głupia dziewczko. Czy nie rozumiałaś tego nigdy; nie czułaś tego nigdy, jak strasznie cię nienawidzę?

Wstał i kopnął krzesło. Dzień nadchodził; prostokąt okna jaśniał już mdłym światłem. Kuba podszedł do okna i oparł się o parapet. Ulicami pędzili już przechodnie, zgrzytały tramwaje; piszcząc oponami po mokrym asfalcie, przemykały samochody. Niebo było ciężkie i pełne zimnych mgieł; znów padał deszcz ze śniegiem. Na wieży pobliskiego kościoła począł bić zegar; Kuba liczył uderzenia.

- Osiem - powiedział głośno, kiedy umilkły żelazne dźwięki. - No, Kuba, Kuba...

Rozejrzał się po pokoju. Uważnie oglądał każdy sprzęt, każdy kawałek ściany; nagle jego padł na aparat telefoniczny. Chciał się uśmiechnąć, spojrział nagle w lustro i zobaczył na swojej twarzy przerażający grymas. Wtedy podszedł do ściany i jednym szarpnięciem wyrwał sznur z małego pudełeczka; osypało się nieco tynku. Potem począł szarpać czarną skrzynkę; obtarłszy sobie wewnętrzną powierzchnię dłoni, wyrwał wreszcie sznur. Na jednym jego końcu zacisnął pętlę. Szybko przeszedł z nią do przedpokoju i znów patrzył uważnym wzrokiem, oglądając sufit i ściany. Nareszcie dostrzegł rurę gazową; licznik zainstalowany był w przedpokoju. Wskoczył na krzesło i koniec sznura przywiązał do rury. Narzucił sobie pętlę na szyję i chwilę stał oszołomiony szybkością i precyzją swych poczynań. Nagle zobaczył, że z ciemności patrzą na niego oczy Krystyny. Wyciągała ku niemu ręce i mówiła coś poruszając bezgłośnie wargami.

- Mów głośniej - powiedział drżącym głosem. - Mów głośniej, nie słyszę cię... - Patrzył na nią w skupieniu, a po chwili roześmiał się. - Jeszcze raz? Jeszcze raz od początku? Nienawidzę cię, ścierwo! - krzyknął.

Zdjął pętlę i zeskoczył; podbiegł do stołu i przystawiając usta do jego krawędzi, wychłęptał rozlaną kałużę. Był znowu silny, bardzo silny i nagle poczuł, że będzie mógł raz jeszcze walczyć ze światem - miażdżyć przeszkody, pracować, kochać i żyć czystym życiem człowieka.

Wtedy usłyszał trzy dzwonki. Zadrżał jak porażony prądem; twarz jego skurczyła się żałością. Znów zabrzmiały trzy dzwonki. Hysterycznie załkał i zasłonił oczy rękami. Dzwonek nie przestawał jęczeć.

- Znów dzwonią, Krystyno - wybełkotał zbielełymi wargami. - Znów dzwonią, najdroższa...

Szybko wybiegł do korytarza. Wskoczył na krzesło i założył pętlę na szyję. Raptem dzwonek umilkł. Kuba odetchnął; nagle uczył szczęście, tak ogromne szczęście, jakiego nigdy w życiu nie zaznał i nie przeczuwał. Już chciał zejść, lecz ciszę korytarza przecięły trzy krótkie, jakby umówione dzwonki. Wtedy przysłonił oczy i z całej siły odepchnął krzesło nogami.

1956

Miesiąc Matki Boskiej

Było ich czterech i nie mieli w sumie osiemdziesięciu lat. Weszli do bramy domu, przeszli przez podwórze potracając ludzi klęczących na ziemi i śpiewających litanię do Matki Boskiej Loretańskiej i weszli na schody oficyny; najpierw trzech, a potem czwarty, który szedł na ostatku i zdażył jeszcze zerwać gałązkę bzu z zakurzonego drzewa, a teraz wachlował nią swoją spoconą twarz. Szli powoli zerkając na nazwiska lokatorów, a na półpiętrze jeden z nich powiedział do chłopca z gałązką bzu:

- Ty zostaniesz tutaj.

- Tak - powiedział.

- Będiesz uważać. Widzisz stąd całe podwórze. Jakby się coś przypętało, to wiesz, co masz robić.

- Dobrze - powiedział. W jego głosie słychać było wyraźną ulgę, chociaż starał się to ukryć. Stał przy oknie, oparł nogę na parapecie i patrzył na podwórze, na gipsową figurę Matki Boskiej i na głowy klęczących ludzi. Gałązkę rozgryzał teraz i czuł cierpką, gorzką zieleń; a potem odrzucił ją w dół i otarł spocone ręce o spodnie. Tamci trzej weszli na piętro, przystanęli przed drzwiami i jeden z nich zapukał. Stali teraz nieruchomo z rewolwerami w rękach i oddychali głośno, a potem stara kobieta otworzyła im drzwi. Ręce miała oplecione różańcem.

- Jest kto w domu? - zapytał jeden z nich.

- Nie - powiedziała.

- Niech pani wejdzie z powrotem. Poszli za nią i zamknęli drzwi. Przeszli przez korytarz otworzywszy drzwi do kuchni i do łazienki i weszli do pokoju.

- Gdzie jest pani córka? - zapytał jeden z nich. Nie mógł mieć więcej jak osiemnaście lat, nie musiał się często golić; twarz jego była miękka i gładka.

- Zeszła na dół do sklepu - powiedziała. - Przyjdzie niedługo. Poszła tylko po chleb.

- Ładnie pani wychowała swoją córkę - powiedział.

- Nikt nie wychowuje swoich dzieci - powiedziała. - Przekona się pan o tym, kiedy pan je będzie mieć.

- Ostrzegaliśmy ją już raz - powiedział. - A teraz doczekała się. Wiedziała chyba, co ją czeka, nie?

- Tak - powiedziała. Patrzyła na chłopaka, na butelkę, którą wyjął z kieszeni i postawił na stole; a potem odsunął ją od siebie, jakby mu nagle przeszkadzała. Przeszła powoli przez pokój i podeszła do okna,

a wtedy jeden z nich skoczył i szarpnął ją za ramię.

- Żadnych cudów - powiedział. - Tylko bez cudów. Pokazała mu ręce oplecione różańcem.

- Pańska matka też się chyba modli w maju - powiedziała.

- Niech pani nie mówi o mojej matce - powiedział. - Mój brat zginął w trzydziestym dziewiątym roku, a moja siostra nie pierdoli się z gestapowcami. Niech pani nie mówi o mojej matce. I proszę odejść od okna.

- Daj jej się modlić - powiedział jeden z siedzących przy stole; siedzieli przy ciemnym, ciężkim stole nakrytym czystą, białą serwetą i wyglądali na chłopców, których rodzice znajomej dziewczyny zaprosili na herbatę i biszkopty. Rewolwer i pistolet leżące na stole nie przydawały im ani grozy, ani powagi. - Daj jej się modlić - powtórzył. - Proszę, niech się pani modli.

- To okno wychodzi na podwórze - powiedział ten, który stał przy niej. - Lepiej niech sobie usiądzie przy stole. Cholera ich tam wie.

- Niech pani klęknie przy oknie - powiedział chłopiec siedzący przy stole. - Tak będzie najlepiej. I nikt pani nie będzie przeszkadzać w modlitwie. Kobieta uklękła i modliła się teraz bezgłośnie poruszając ustami. Patrzyli na ziarna różańca przesypujące się pomiędzy jej palcami i tak samo brązowe jak jej stare ręce.

- Musimy to zrobić? - zapytał szeptem jeden z nich; był rudy, piegowaty i wyglądał na starszego od tamtych dwóch; był bardzo mizerny i ubrany jak biedak.

- Jak długo jesteś w konspiracji?

- Półtora roku.

- To za długo, żeby zadawać takie pytania.

- Nie - powiedział. - Nie zrozumiałeś mnie. Można ją po prostu rąbnąć. Można by powiedzieć, że stawiała opór i to było konieczne.

- Szkoda kuli dla tej kurwy.

- To nie wchodzi w zakres walki zbrojnej.

- Ale taki jest rozkaz.

- Mimo to mam wątpliwości - powiedział rudy chłopiec.

- Czy mówisz do mnie jak do dowódcy, czy jak do przyjaciela?

- Dlaczego pytasz o to?

- Czy mam zameldować o twoich wątpliwościach przy wykonywaniu rozkazu?

- Nie - powiedział. - Nie mów o tym. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła dziewczyna. Wtedy ten stojący przy drzwiach wepchnął ją na środek i zatrzasnął drzwi. Siedzący przy stole podnieśli się; obaj byli szczupli, wątli i ich stare, ciasne marynarki czyniły ich jeszcze bardziej młodzieńczymi.

- Proszę położyć torebkę na stole - powiedział jeden z nich. - Tak. Dobrze. - Otworzył torebkę i wyrzucił zawartość na stół. Wziął do ręki jej dokument. - Anna Hauswedell - powiedział. - Czy jest pani Volksdeutschem?

- Nie.

- Ma pani niemieckie nazwisko.

- To przypadek.

- Weźcie jej matkę do drugiego pokoju.

- Nie ma drugiego pokoju.

- Do kuchni. I zostań tam z nią.

- Nie potrzeba - powiedziała stara. - Jest klucz. W kuchni nie ma okna. Możecie mnie zamknąć. Przeszła przez pokój i przystanęła obok córki na chwilę. - Więc teraz widzisz, że istnieje jednak sprawiedliwość - powiedziała. - To nie sprawiedliwość - powiedziała dziewczyna. - To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami. Więc nie możecie tego zrozumieć. Nie jesteście jeszcze nawet podobni do mężczyzn. - Oparła się ciężko o stół, a wtedy butelka przewróciła się i rudy chłopiec złapał ją w ostatniej chwili. - Mamo - powiedziała dziewczyna. - Pocałuj mnie.

- Nie - powiedziała stara.

- Przecież widzisz, co oni ze mną robią. Pocałuj mnie.

- Nie - powtórzyła stara. Stojący przy drzwiach wepchnął ją do kuchni i przekreślił klucz.

- Chcę się pomodlić - powiedziała dziewczyna.

- Nie potrzebujesz się modlić. Nie zabijemy cię. Będiesz mogła się później modlić, ile tylko chcesz.

- Co chcecie zrobić? - zapytała i teraz po raz pierwszy usłyszeli w jej głosie strach.

- Zgolili ci głowę przed czterema miesiącami, prawda? I ostrzegano cię. Powiedzieli ci, żebyś z nim skończyła - powiedział chłopiec bez zarostu. Podeszedł do niej i zerwał z jej głowy chustkę; włosy jej były jasne, krótkie; wyglądała teraz bardziej na chłopca i jeszcze młodziej.

- Dlaczego nie skończyłaś z nim? - zapytał.

- Nie mogłam z nim skończyć - powiedziała. Znów oparła się o stół. - Kocham go.

- Niemca?

- No i co z tego? Czy brałam od niego pieniądze? Czy dał mi kiedy cokolwiek? Czy zaszkoziłam komu? Dlaczego nie zabijacie ludzi, którzy handlują z Niemcami? Choćby tych, którzy sprzedają im papierosy czy wódkę.

- I nie przeszkadzało ci, że ten człowiek jest Niemcem? Nie pomyślałaś o tym, że tacy jak on zabijają codziennie takich jak my?

- Nie brałam nic od tego człowieka - powtórzyła. - I nie powiedziałam nigdy nic złego na nikogo. Nie mogę na to nic poradzić, że zakochałam się akurat w Niemcu.

- Każdy człowiek może wybierać.

- Nie - powiedziała. - Na szczęście jest inaczej.

- Nie róbmy tego - powiedział rudy chłopiec. - Skończmy z nią inaczej.

Podszedł do okna; ludzie klęczący na podwórzu śpiewali teraz: "Wieżo z Kości Słoniowej..." Patrzył na gipsowy posąg Matki Zbawiciela i na aureolę z drutu okalającą Jej głowę; drut był szerniały, deszcze zmyły z niego złotą farbę. Potem spojrział na ścianę, na kalendarz i zerwał z niego kartkę z datą siódmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Odwrócił się.

- Pospieszcie się - powiedział. - Ta litania zaraz się skończy. Będzie słycać jej wrzask.

- Co chcecie zrobić? - powtórzyła dziewczyna.

- Zastrzel ją po prostu - powiedział rudy chłopiec. - Na litość Boską, zabij ją albo ja to zrobię.

- Ja jestem dowódcą grupy - powiedział chłopiec o gładkiej twarzy, a jego policzki poróżwiały nagle. - Ja jestem odpowiedzialny za wykonanie rozkazu. Jeśli będę potrzebował twojej rady - poproszę o nią.

- To pospieszcie się, do cholery - powiedział rudy chłopiec. - Róbcie to teraz, kiedy oni jeszcze śpiewają.

Znów podszedł do okna i zamknął je; słyszeli teraz ich błagalny śpiew wznoszący się ku nim jak fala, jak woda. Widział w oknie odbicie; był brzydki, zagłodzony; krótkie rękawy marynarki nie kryły jego grubych, czerwonych przegubów.

- Rozbieraj się - powiedział do dziewczyny ten, który był dowódcą. - Do naga.

- To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami powiedziała. - To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie.

Ściągnęła z siebie rzeczy i ciskała je na ziemię, a oni patrzyli na jej brązowe, twarde ciało i na ciemny trójkąt włosów. - To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie i że nawet nie wiecie, jak to jest, kiedy kocha się mężczyznę, i wtedy ważne jest tylko to, że on jest mężczyzną, tylko mężczyzną. I nie mundur, który on nosi. Ale wy jesteście tylko dziećmi, którym dano się pobawić bronią, zanim zginą. I nie możecie wiedzieć o tym, że teraz, w czasie wojny miłość jest więcej warta niż kiedy indziej. Każda miłość.

- Kładź się.

Położyła się na łóżku, a wtedy usiedli na niej okrakiem; jeden na piersiach, a drugi rozkraczył jej nogi i patrzył na jej śniady, twarde brzuch pokrywany się kroplami potu i unoszony drgającymi mięśniami. Ten, który stał nad nią z pistoletem, podał mu butelkę ze stołu, a wtedy rudy chłopiec wbił ją między nogi dziewczyny; nie mógł tego zrobić od pierwszego razu - jej młody, twarde brzuch stawiał opór, a jego ręce były mokre od potu. Ukląkł między jej nogami i wbił butelkę kolanem, a potem rozbił ją lufą rewolweru. Wstał; otarł o kołdrę swoje ręce lepkie od krwi i potu.

- Teraz już nie będziesz więcej chcieć niemieckich mężczyzn - powiedział. Popatrzył na jej twarz; była zalana krwią. - To się podobno zdarza z dziewczynami - powiedział. - Krew z nosa. Mój brat mi to mówił.

- Nie martw się o nią. Ta nie była dziewczyną.

Wyszli do korytarza. Otworzyli drzwi od kuchni i cofnęli się gwałtownie. Matka dziewczyny wisiała na rurze gazowej; musiało stać się to przed chwilą, gdyż różaniec, którym oplecione były jej ręce, kołysał się jeszcze.

- Trzeba by zawołać lekarza - powiedział ten, który był dowódcą. - A tego nie możemy zrobić.

Wyszli na schody zamknawszy cicho drzwi. Czekający przy oknie klatki schodowej odwrócił się i podał im teczkę. Włożyli do niej broń.

- Ty pójdziesz pierwszy.

- Tak - powiedział.

Zeszli w dół; na podwórku zdjęli czapki i wolno przeszli między klęczącymi. Rudy chłopiec odwrócił się raz jeszcze; spojrzął na gipsową, słodką twarz Matki Zbawiciela i na wiązkę zwiędłych kwiatów leżących u Jej stóp - białych prawie tak jak i płaszcz Jej chwały, z którego schodziła już farba. Ludzie znów śpiewali: "Oređowniczo Nasza, Wieżo z Kości Słoniowej, zmiłuj się nad nami".

- Ciekawe, czy po wojnie ludzie będą też się tak modlić - powiedział.

- Maj zawsze w Polsce był miesiącem Matki Boskiej.

- Ja wiem - powiedział. - Ale ciekaw jestem, czy po wojnie też będą się tak modlić. Kiedy nie będzie już strachu i nieszczęścia.

- Ci, którzy przeżyją wojnę, zobaczą. Idziemy. Ty wyjdiesz pierwszy, potem ja, potem ty. Cześć!

Raz jeszcze się odwrócił i raz jeszcze spojrzął na słodką, bolesną twarz Matki Boskiej. Było mu gorąco: musiał rozpiąć koszulę i marynarkę. Myślał o dziewczynie; o jej twardym, ciemnym ciele; o jej krótkich włosach, które czyniły ją podobną do chłopca, i myślał o tym, że nie wydała ani jednego jęku, i jeszcze o tym, że dojrzał w jej twarzy coś, co widział przedtem tylko na gipsowych, pozłacanych posągach Matki Zbawiciela.

- Nie chcę przeżyć tej wojny - powiedział głośno do siebie. - Bo zawsze, kiedy będę się modlić, będę myśleć o tamtej. I one zawsze będą dla mnie wyglądać jednakowo.

Najświętsze słowa naszego życia

Obudzili się o świcie tak mocno przytuleni do siebie, iż pierwszym uczuciem, jakiego doznali, było zdziwienie, że całą noc spali twardym i zdrowym snem, w którym nie przeszkadzała im bliskość. Chłopak poruszył się i podniósł na łokciu; patrzył przez chwilę na dziewczynę gorącymi oczyma, potem rzekł:

- Powiedz coś głośno, jeśli to wszystko naprawdę.

Dziewczyna roześmiała się. Objęła jego głowę nagimi ramionami i przytuliła go do siebie; była ciepła jak chleb. Przez chwilę słuchał twardego bicia jej serca, potem ona rzekła bardzo cicho:

-Myślisz, że to sen.

-Nic nie wiem - rzekł. - Ty nie wiesz, ile razy przez całą noc byłaś ze mną, mówiłaś do mnie, śmiałaś się do mnie; wyznawałaś mi takie rzeczy, o których marzyłem, a kiedy przychodziło rano i budziłem się, widziałem obok siebie puste miejsce. - Dotknął ręką jej twarzy i powiedział: - Kto wie?

- Ciągle myślisz, że to sen?

- Mówię ci: kto wie?

Popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma. Wiedział, że chce mu coś powiedzieć i waha się. W nagłym strachu ścisnął jej rękę. Wtedy odezwała się:

- Więc wiesz, co zrobić? Wstań i podejdź do lustra.

- Po co?

-Wstań, mówię ci.

Chłopak wstał. Podeszedł do okna i odsunął firankę; dzień był jasny i czysty, dachy lśniły rosą; godzina była wczesna - zgrzytały dopiero pierwsze tramwaje. Chwilę patrzył w pustą ulicę, potem rzekł:

- Trochę się boję.

Wyskoczyła z łóżka; wzięła go za rękę i pociągnęła do lustra.

- Wierzysz teraz? - zapytała. - Sny gryzą duszę, ale nie szyję, mój drogi.

- Nie żałujesz tego?

- Czego?

- Nocy.

- Gdybym żałowała, nie wyglądałbyś tak, jak wyglądasz. Czy myślisz, że można kogoś tak kochać, jeśli się go nie pragnie?

- Myślałaś o mnie przedtem?

- Często.

- Chciałaś tego?

- Na pewno tak samo jak ty.

Uśmiechnął się gorzko.

- Skąd wiesz - rzekł - jak ja ciebie pragnałem?

- O, wiem. Ja też muszę jakoś owinąć szyję, żeby ludzie nie zobaczyli.

Ogarnęło go straszne, żalosne wzruszenie - prawie żal.

- Tyle czasu - wybełkotał - czekałem na to wszystko, marzyłem... Aż strach pomyśleć, że to wszystko już się stało.

Podeszedł do okna i znów spojrział w ulicę. Nie chciał mówić, bał się słów. Z domów wychodzili do pracy pierwsi ludzie; znał ich wszystkich, była to mała piaszczysta uliczka - na takiej ulicy ludzie do dziś wzajemnie znają swoje sny. Wypełniony dziwnym, ciężkim uczuciem szczęścia, w które nie mógł jeszcze do tej chwili uwierzyć, milczał. Odwrócił się dopiero na dźwięk jej głosu. Stała za nim i dotykając twarzą jego pleców, mówiła:

- Pachniesz mlekiem jak mały piesek, tak śmiesznie. I oczy masz dziwne... - Wzięła w ręce jego twarz i powiedziała: - Naprawdę jesteś małym pieskiem. Żeby tak mogło zostać na zawsze. Z żadnym mężczyzną nie byłam tak szczęśliwa. Z nikim nie było mi tak dobrze

jak z tobą. Przysięgam ci, nie śniło mi się nawet, że będę kiedyś taka szczęśliwa.

- Było ci dobrze? - zapytał czując, że serce z przerażenia podeszło mu aż do gardła.

- Och, nie pytaj - powiedziała. - Teraz mnie się zaczyna zdawać, że to wszystko jest po prostu złym snem.

- Złym?

- Bo żal tylko dobrych snów, kiedy one się kończą.

- Powiem ci, co masz zrobić.

- Podejść do lustra?

- Właśnie.

Roześmiali się oboje. Chłopak powiedział:

- Muszę już lecieć do roboty.

- Zjedz śniadanie.

- Nie mogę - rzekł i pokręcił ze smutkiem głową. - Ty wiesz, jak to jest, kiedy się człowiek spóźnia do roboty.

- Poczekaj, naszykuję ci coś, to weźmiesz z sobą.

Począł się ubierać; nie śmiał przy tym dotknąć własnego ciała. Czuł ją ciągle przy sobie; aż po czubki włosów wypełniony był owym dziwnym, cięższym od ołowiu, boleśniejszym od męki umierania, słodszy od najpiękniejszych wierszy uczuciem, jakie daje noc z kimś, na kogo czekało się przez tysiąc chwil, kogo pragnęło się przez wiele bezsennych nocy, kogo widziało się w każdej na ulicy spotkanej twarzy, kogo oczekiwało się przy każdym pukaniu do własnych drzwi; przez kogo nienawidziło się nieba, ziemi i ludzi; i przez kogo kochało się wszystko.

- Kiedy przyjdiesz? - spytała dziewczyna.

- Wieczorem. Będziesz czekać?

- Po co pytasz?

- Ciągle się boję.

- Przyjdę pierwsza do domu.

- Zaświeć światło, odsuń firankę i czekaj na mnie.

- Zaświecę światło, odsunę firankę i będę czekać na ciebie. A teraz powiem ci coś: nie będziemy się żegnać.

- Dlaczego?

- Nie chcę się z tobą rozstawać ani na moment.

Zamknął za sobą drzwi i zbiegł jak burza po schodach. Na ulicy zachłysnął się świeżym powietrzem. "Aaaa" - mruknął. Podniósł głowę do góry i machnął ręką. Potem ruszył szybko naprzód; do pracy miał spory kawałek drogi, a że było późno, musiał się śpieszyć. Przed jednym z domów przystanął i krzyknął:

- Heniek, chodź no tutaj, chodź no! - A że jak każdy warszawski cwaniaczek mówił jakby bez zębów, więc brzmiało to: "Enek, ono tutaj, ono!"

Wyszedł Heniek; był niski i krępy, twarz miał dobroduszną i szeroką. Ubrany był tak jak i chłopak - w czarny monterski kombinezon; kolorową koszulę rozpiętą miał na twardej szyi.

- Sie masz - powiedział. - Leciem, leciem. Wskoczmy jeszcze po Malinowszczyka i po pana Ceńka. Leciem, leciem. Już się w tym miesiącu dwa razy spóźniłem do roboty.

Szli szybko. Słońce stało już wysoko na niebie; drzewa, dachy, liście i trawa szybko obsychały z rosy. Ulicą szły kobiety; miały włosy w nieładzie, palta narzucone pośpiesznie na szlafroki, w rękach trzymały butelki, garnczki i dzbanki na mleko. Heniek powiedział:

- Wpadnij do nas dziś wieczór. Fanfan przyniesie adapter. Będzie flaszka.

- Nie mogę dziś wieczór - powiedział chłopak. - Dziś wieczór jestem zajęty.

- Będziesz u Baśki?

- Nie twoja głowa.

- Ach, Boże - powiedział marzycielsko Heniek. - Jaka to kochana dziewczyna. Ach, Boże, jak ja ją kochałem. Ona zawsze do mnie mówiła: "Ty pachniesz mleczkiem jak mały kotek".

- Kłamiesz, chamie!

- Żebym ja tak szczęście w życiu miał, widzisz! Ty przecież wiesz, że ja nigdy nie zasuwam satyry. Ona mówiła, że jestem podobny do małego, puszystego pieska. Spokojna twoja czaszka: ona starsza kurwa jak my złodzieje. Ach, Boże, jak ja ją kochałem! I rzuciła mnie.

- Nie mogła do ciebie tak mówić.

- Nie?

- Nie. A bo co?

- Poczekaj.

Stanęli przed jakimś domem. Heniek krzyknął:

- Malinowski, wychodź!

Malinowski wyszedł. Był to młody człowiek pełen werwy i gracji; nie trzeba dodawać, że jak wszyscy chłopcy czesał się na Fanfana, a że miał najładniejsze włosy, jemu to właśnie przypadł ów zaszczytny przydomek.

- Sie masz - powiedział Fanfan.

- Fanfan - rzekł Heniek. - Powiedz jemu, co ci mówiła Baśka, jak ci robiła fleta.

- Późno - powiedział Fanfan. - Mnie powiedzieli, że jak się jeszcze raz spóźnię, to podadzą mnie pod sprawę. Zawsze człowiek się późno kładzie i to wszystko z tego. Baśka to porządna dziewczyna, Heniek. Ja na nią nie dam złego słowa powiedzieć.

Heniek się zniecierpliwił.

- To nie o to chodzi - powiedział z zadyszką; szli szybko, a on miał najkrótsze nogi. - Czy ja ci mówię, żebyś na nią złe słowo powiedział? I ty wiesz, dlaczego ona mnie rzuciła. Ale ona tak zawsze pięknie mówiła.

Fanfan poczochnął czuprynę i rzekł:

- Ty jesteś moim małym, miodowym niedźwiadkiem.

- A o piesku?

- Pewnie, że był piesek - powiedział Fanfan. - Ona mówiła, że pachnę jak piesek, jak mały piesek. - Zwrócił się do chłopaka: - Ty, przyskocz do Heńka dziś wieczór. Pożyczę od szwagra adapter.

- Nie mogę - powiedział cicho chłopak. - Jestem zajęty dziś wieczór.

- Idzie pan Ceniek - powiedział Fanfan i krzyknął: - Panie Ceńku, poczekaj pan moment!

Pan Ceniek, mężczyzna idący przed nimi, zatrzymał się. Twarz miał kompletnie przepita, oczy - krwawe.

- Sie masz - powiedział przykajac palcem w daszek czapki.

- Sie masz.

- Sie masz.

- O, Boże najdroższy - powiedział ochryple pan Ceniek. - Jak mnie strasznie pali. Żeby można było gdzie kupić piwa.

- Późno już. I tak będziemy jechać na cyckach. O tej porze tłok jak śmierć - powiedział chłopak.

Pan Ceniek popatrzył na niego przekrwionymi oczyma i rzekł ze współczuciem:

- Co ci jest kochany? Romans na tle osnuty, tak?

- Płyn pan dalej - powiedział chłopak.

- On się zrobił ostatnio bardzo dziwny - powiedział pan Ceniek z wyrazem męki na twarzy; dręczyło go ponure uczucie przepicia. Rzekł:
- Musisz sobie ładną dziewczynę skosić. Przejdzie.

- Fakt - rzekł Fanfan i splunął.

- On ma ładną dziewczynę - rzekł Heniek. - Pan zna tę jego lalkę, panie Ceńku?

- Która? Chryste, jak mi się pić chce.

- Ta z rogu.

- Baśka?

- Fakt.

- Mowa - powiedział pan Ceniek i jego skrzywiona twarz wypogodziła się przez chwilę. - Żebyś ty tyle zdrowia miał, ile ja na niej straciłem. To najładniejsza lalka tutaj, na Marymoncie. Czekaj, czekaj. Jak ona zawsze do mnie mówiła?... Jezu, ja zdechnę z pragnienia!

- Mleka, panie Ceńku. Najlepsze po przepiciu mleko - powiedział Fanfan.

- Niech to cholera weźmie - zachrypiał pan Ceniek i znów skrzywił twarz jak po wypitym occie. - Właśnie o mleku. Wszystkie one coś mówią. Jak byłem w waszych latach, to akurat zaczynałem kosić. Wtedy jeszcze każda dziewczyna mówiła, że jesteś drugi. Mowa. A pierwszy to był zawsze jakiś partyzant, który zginął, ma się rozumieć, w lesie. A już rok później, jak się las skończył, to one mówiły, że ten partyzant albo siedzi w kiciu, albo go UB rozłupało. Mowa. "Kiedy byłem młoda, spotkałam żołnierza, który codziennie patrzył w oczy śmierci, a ja mu chciałam dać trochę szczęścia, bo przecucie mnie mówiło, że zginie..." I tak dalej. Mowa. Śliczne historyjki! Mnóstwo takich słyszałem w życiu. Wtedy każda dziewczyna miała swojego porucznika Bogdana w AK. Tamta tego nie miała, bo jest za młoda. Ale też do mnie wstawiała takie słodkie gadki, że ją kosiłem i płakałem; jestem trunkowy, mam miękkie serce. Mowa, trawa, Warszawa.

- To nie o to chodzi - powiedział z rozpaczą chłopak. - To nie o to wszystko chodzi. Ale panie Ceńku, czy ona panu mówiła, że z żadnym mężczyzną nie było jej tak dobrze jak z panem? Mówiła?

- Mówiła - powiedział pan Ceniek.

- Mówiła - powiedział Fanfan.

- Mówiła - powiedział Heniek.
- Czy mówiła, że nawet jej się nie śniło, że może być tak szczęśliwa z mężczyzną?
- Mówiła.
- Mówiła.
- Mówiła.
- Czy żegnała się z wami, jak wychodziliście rano do roboty?
- Nie - powiedział Fanfan. - Myśmy się nigdy nie żegnali.
- Nie - rzekł Heniek i jego brzydka twarz zrobiła się smutna.
- Nie - powiedział pan Ceniek. - Czekaście: krzyknę na szwagra. Późno już, późno, cholera.

Stanęli przed jakimś domem. Był to stary, ohydny, obdrapany dom; jeden z tych domów, przed którym wystarczy, abyś stanął i raz spojrział, a zobaczysz kupę nieszczęść i marzyć będziesz, aby drzwi tego domu na zawsze były zamknięte przed tobą. Przy piaszczystych i krzywych ulicach dzielnicy zwanej Marymont jest jeszcze wiele, wiele takich domów. - Ja już pójdę - powiedział chłopak. - Mam jeszcze coś załatwić. Nie będę czekał na pańskiego szwagra. Na razie, do wieczora.

- Miałeś przecież nie przyjść - powiedział Heniek. - Miałeś coś sobie załatwić wieczorem.
- Przyjdę - powiedział chłopak. - Załatwię to teraz. Najwyżej mnie wyleją z roboty.
- Ważna sprawa?
- Nie twoja głowa. Skombinuj ten adapter, Fanfan. Sie masz! - powiedział i odszedł w kierunku, skąd przyszli.
- Sie masz - rzekł Fanfan.
- Sie masz - rzekł Heniek.
- Sie masz - powiedział pan Ceniek i znów skrzywił się straszliwie. Potem rzekł kręcąc głową: - Co mu się stało, do cholery? Taki był z niego chłopak-równiacha... Pomóżcie mu jakoś. On sobie musi znaleźć jakąś dziewczynę, żeby go pokochała, żeby mu powiedziała coś dobrego, coś świętego. Jak Boga kocham, że mu jest potrzebna taka dziewczyna. Pomóżcie mu. Jesteście jego kolegami czy nie, do cholery?

1955

Namiętności

Z niego już nic nie będzie, prawda? - zapytała siostra. Podeszła do doktora i pochyliła się obok niego nad umierającym. Swym ramieniem dotknęła barku lekarza i ten odsunął się.

- Nie - powiedział.

- Umrze?

- Na pewno.

- Jeszcze dziś?

- Niedługo. Godzina, może jeszcze wcześniej.

- Dlaczego on to zrobił? Jak pan myśli?

- Nic nie myślę - powiedział doktor. Wyprostował się; był wysoki i szczupły, biały fartuch dodawał zmęczenia jego ostrej twarzy. Przesunął ręką po czole: - Nigdy się tego nie dowiesz.

- Strach? - powiedziała siostra składająca strzykawki do niklowego pudełeczka. - Może się czegoś bał? Może mu coś groziło? Albo zrobił coś złego...

Patrzyła na doktora ze skupieniem; oczy miała niebieskie i czyste, bardzo duże. "Lalka - pomyślał z niechęcią. - Porcelanowa lalka..." Żachnął się.

- Chciałabys jednym słowem wyjaśnić klęskę cudzego życia - powiedział z gniewem odwracając się do niej plecami. - To niemożliwe. Podeszedł do okna i odsunął firankę; chciwie przytulił czoło do szyby i odetchnął głęboko. Widział w szybie niewyraźne odbicie swojej twarzy; wyteżył wzrok i starał się dojrzeć jak najwięcej. Noc była jasna i mroźna; na środku szklanego nieba tkwił nieruchomy, dziwnie cienki księżyc; w jego blasku oszronione drzewa na szpitalnym podwórku wyglądały teatralnie i drażniąco. Wiatry mknęły w górze szlakami gwiazd, ciemna ziemia skuta była mrozem i lodem. "Jeśli się nie ociepli - pomyślał z wściekłością doktor - to wszystkich nas szlag trafi w tej dziurze". Odwrócił się i powiedział do siostry:

- Zobacz, czy jest jeszcze trochę kawy.

- Gdzie?

- W moim biurku. Tam jest taka żółta puszka.

Posłusznie podeszła do biurka i poczęła trzaskać szufladami. Patrzył na jej mocne ręce, okrągły kark, szeroko rozstawione, muskularne nogi i znów pomyślał: "Lalka".

- Jest - powiedziała po chwili.

- Zaparz.
- Jedną czy dwie?
- Jedną.

Westchnęła.

- Pójdę poszukać garnuszka.
- Dziwne. Powinien przyjść do ciebie.
- Doktorze.
- Tak.
- Dlaczego pan taki jest?
- Mianowicie?
- Zły - powiedziała. - Dziwny.

- Dlaczego masz nie oczyszczone buty? Radzieccy uczeni wynaleźli już pastę do butów. Poza tym nie używaj do paznokci tego wstrętnego lakieru, bo mdło ni się robi. Poza tym przestań się już czesać na Simonę, bo jesteś podobna do niej w takim samym stopniu, w jakim ja jestem podobny do marszałka polski. A teraz idź po ten garnuszek.

Wyszła. Spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami: była godzina druga, Machinalnie podszedł do umierającego i ujął jego puls. Zrobiło mu się nieprzyjemnie: ręka tego człowieka była zimna i lepka od potu. "Nie przyzwyczaję się nigdy - pomyślał ze złością. - Nie przyzwyczaję się nigdy do tych spoconych ciał i oczu z tandetnego szkła". Zacisnął mocniej palce na rozdętych, fioletowych żyłach tamtego: nierówny puls słabł. "Cześć" - pomyślał. I wtedy zobaczył, że umierający patrzy na niego szeroko otwartymi oczyma; źrenice jego poszerzyła gorączka, w kącikach ust skupiła się zapiekła ślina. "Nie jesteś ładny - pomyślał. - Nie powinienem się o to martwić, ale naprawdę nie jesteś ładny". Pochylił się bliżej jego ucha.

- Możesz mówić?
- Będę żył?
- Nie denerwuj się. Mów spokojnie.
- Będę?
- Oczywiście. Chory odwrócił twarz.
- Kłamiesz - szepnął.
- Z obowiązku. Sam tego chciałeś. Gazowa śmierć to przykra historia. Był czas przemyśleć.
- Chcę ci coś powiedzieć.

- Tak.

- Wszystko, czym straszą nas na ziemi, czym szantażują bez przerwy, to bluff. Żadnych cierpień, żadnych wyrzutów, żadnych rachunków sumienia. Trochę szumu w uszach i koniec.

- Jeszcze żyjesz. Może uda się cię uratować. Żrenice chorego bieleły. Na jego przezroczystych skroniach kropli! się pot. Oddech stawał się ciężki, a ręce złożone na piersiach drgały mu lekko, jak nogi żabki wyciągniętej z wody.

- Kto mnie tu przywiózł?

- Ludzie.

- Zawsze zjawiają się niepotrzebnie. Już byłoby po wszystkim.

Po chwili doktor rzekł: - Już jest po wszystkim.

Naciągnął prześcieradło na jego twarz i wstał. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko: tytoń był mocny i gorzki. "Zimno - pomyślał. - Jeśli się nie ociepli, to naprawdę szlag nas wszystkich trafi". Potarł zziębnięte dłonie i usiadł przy biurku. Wyciągnął książkę raportową i począł szukać nazwiska zmarłego. Weszła siostra trzymając w ręku filiżankę.

- Jest kawa - rzekła. - Niech pan pije, póki gorąca.

- Nie mogłaś już chyba dłużej siedzieć - powiedział. - Nawet kawy nie potrafisz szybko zaparzyć, tak jakby to była nie wiem jaka sztuka. Przez ten czas nasz przyjaciel doszedł już do raju. Dzwon do kostnicy. Niech go zabiorą. I nie rozlewaj kawy. Gdzie cukier?

- W szufladzie - rzekła stawiając przed nim filiżankę. Podeszła do aparatu i poczęła wykręcać numer; mimo wysiłku ręce jej drżały lekko. - Parter? - zapytała drewnianym głosem. - Bierzcie wózek i przychodźcie tu szybko. Położyła słuchawkę i oparła się ciężko na stole. Patrzyła na doktora ze skupieniem. Milczał mieszając łyżeczką cukier.

- Co jemu było? - zapytała tępo.

- Śmierć na skutek zatrucia gazem.

- Pan nie ma serca.

- Jeśli cię to interesuje, mogę jutro iść do rentgena.

- Dlaczego pan tak mówi? Uniósł ciężkie powieki.

- Czy tam w szkole nie uczyli cię tego, że nie powinnaś zadawać głupich pytań i opierać się łokciami o stół? Weszło dwóch sanitariuszy z wózkiem; jeden z nich był wysoki, drugi nieco niższy, o śmiesznie okrągłej głowie. Podeszli do umarłego.

- Mały był - stwierdził wyższy.
- Ale sympatyczny. Podobny do tego bramkarza ze Skierniewic - powiedział niższy i mrugnął na siostrę. Odwróciła głowę.
- Twoja miara - powiedział wyższy. - Ciekaw jestem, czy też nosił siódemki. Uważaj, ostrożnie.
- Myślę, jakie radio mu kupią: z ocementowaniem czy bez?
- Stawiam na cement.
- W porządku. Dobranoc, panie doktorze. Dobranoc, siostrzyczko. Nie myśl o nim. Pomyśl może o mnie.
- Dobranoc - powiedział doktor. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi.
- Ja tego nie wytrzymam - powiedziała siostra i wstała nagle. - Kiedy kończyłam tę głupią szkołę, myślałam, że ludzie dla ludzi mają trochę serca. Doktorze.
- Mów.
- Czy naprawdę nie istnieje miłosierdzie?
- Z mego punktu widzenia istnieją ci, których da się uratować, i ci, których nie można.
- Ja tego nie wytrzymam. Odchodzi człowiek, a pan pije kawę. Odchodzi człowiek, a tamci zakładają się o wódkę, jaką trumnę mu kupi rodzina - z ocementowaniem czy z okuciem. Ja tego nie wytrzymam.
- Wytrzymasz - powiedział. - Nawet wyobrażenia nie masz, ile można wytrzymać - wstał i rozprostował ramiona, ziewnął. Począł chodzić miarowym krokiem po sali. - Wypisz mu kartę zgonu - powiedział. - I nie zwracaj sobie głowy tą całą sprawą. Weź walerianę, weź brom, co chcesz.
- Dobrze - powiedziała cicho. Wyglądała żałośnie: usta miała skrzywione jak dziecko, które wybuchnie za chwilę niepohamowanym płaczem, oczy - w ciemnych obwódkach. W jej plecach, rękach, w pochylonym nad stołem karku czaiło się zmęczenie. Nagle uniosła głowę. - Czy naprawdę tak wiele?
- Co?
- Tak wiele można wytrzymać?
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia.
- Dlatego pytasz.

- Kiedy człowiek przestaje się dziwić?
- Nigdy.
- Więc po co to wszystko?
- Po nic.

Rozległ się dzwonek: na tablicy rozdzielczej wyskoczyła cyferka. Siostra potrząsnęła głową jak człowiek nagle przebudzony i podniosła się ciężko.

- Na trójce ktoś dzwoni - rzekła. - Muszę iść.
- Przeżyję to.

Wyszła kołysząc miarowo swym ciężkim, mocnym ciałem. Patrzył za nią i pomyślał: "Nic z tego, kochanie. Nic z tego, żebyś nawet miała w ten sposób chodzić po gwiazdach. To prawda, że masz niskie czoło, krótki, zadarty nos, ciężkie powieki i duże usta, i płaski brzuch, dzięki któremu możesz tak ładnie rozstawiać nogi, i że tak wiele obiecujesz, kiedy patrzysz swoimi głupimi oczami, i że pachniesz tak bardzo delikatnie, jak bułeczki dopiero co przywiezione z piekarni, i że zapach ten nawet tutaj, w tym całym świństwie, czuję wyraźnie. Ale w tych sprawach musisz być piekielna noga. O takich jak ty marzą uczniowie w liceum, ja też marzyłem, ale tylko do chwili, kiedy poznałem taką samą jak ty, z takimi samymi oczyma, tak samo pachnącą. Biedne, ciężkie krowy. Nie dość, że leżycie bez ruchu, ale jeszcze tak się musicie męczyć podczas porodu, w przeciwieństwie do szczupłych, takich, za jakie nie dałby nikt pięciu groszy, które kochają i rodzą jak ptaki".

Podszedł do okna i znów przytulił czoło do szyby. Czynił tak zawsze, kiedy był już bardzo zmęczony, podczas nocnych, dręczących brakiem snu dyżurów, kiedy zdawało mu się, że za chwilę zwali się z nóg jak szmaciana lalka, którą wypuściło ze swych rąk dziecko. Za oknem tężała gęsta od mrozu noc. Księżyc zniżył się i biegał po dachach; nad wieżami kościoła szamotała się w mroźnych mgłach Wielka Niedźwiedzica.

Odwrócił się i spojrział na łóżko, na którym zmarł ów człowiek. Było już zasłane czystym prześcieradłem, gładkie i zimne. "Wiele po tobie zostało - pomyślał i uśmiechnął się. - Widzisz, mój zasrany Werterze, tylko tyle. Czy zrobiłbyś to, gdybyś wcześniej mógł przypuszczać, że tak to wygląda? Zrobiłeś swojej wybrance kolosalną reklamę, będzie teraz miała noc w noc kupę radości, będzie opowiadała o tobie nowym przyjaciołom, nie dla każdej kobiety człowiek przecież wali sobie w łeb, będzie więc opowiadać o tobie nawet w chwili orgazmu, mój zasrany Werterze z powiatowego miasta, a ja, chociaż przyjaźniłem się z tobą od pięciu lat, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że mi się piekielnie chce spać, i nic mnie nie obchodzi ta odrobina plotek, pogardy, żalu i wspomnień, która pozostanie po tobie. Jedyne, co ci mogę obiecać, to to, że jak będę robił twojej Lotcie skrobankę, to postaram się, aby pokrzyczała sobie trochę. Już teraz wolno to robić, więc nie będę potrzebował jej uciszać ani zakładać maski. Czy pomyślałeś o

tym? Trochę plotek. Trochę wspomnień, w których zawsze będziesz inny, niż byłeś naprawdę. Ale nie miej złudzeń; zrobię wszystko, aby zapomnieć o tym jak najprędzej. Czy pomyślałeś o tym wszystkim, mój Werterze?" Do pokoju weszła siostra.

- Ten siwy staruszek, który leży przy oknie na trójce, skarży się, że nie może oddać moczu. Co mu poradzić?

- Zapytać się go, ile ma lat. Potem przyjdź i powiedz mi.

Wyszła. Znów począł chodzić po sali; przemierzał ją uparcie, sztywnymi krokami po przekątnej. Potem podszedł do oszklonej szafki, gdzie mdłym światłem lśniły niklowe narzędzia; oparł się o nią i stamtąd począł mówić do umarłego: "Tak, mój biedny Werterze. Ciekawe, w jaki sposób jednak ona potrafiła tego dokonać? Zazdrość? Kłamała? Zadręczała cię czymś, czego nie znam, czego nie potrafię się domyślić? Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? Kilka lat temu, kiedy obaj byliśmy młodszy. Wszystko najwspanialsze w młodości wydaje się potem po prostu głupie. Nic na to nie mogę poradzić, mój złoty. Ty przeszedłeś i ja przeszedłem. Mówię do ciebie jak truposz do truposza. Ale jak ona to zrobiła? Chciałbym to wiedzieć. Jakie namiętności w tobie poruszyła? Czy takie, których nie znam? Och, namiętności. Piękne słowo. Czym jest namiętność? Co to oznacza? Kiedy pięć lat temu przyjechałem do tej dziury, byłem inny. Inaczej myślałem, czułem, mówiłem. Nie przypuszczałem, że życie czasem nie przynosi niczego poza wściekłością i rozpaczą. Chodziłem po tych brudnych uliczkach i myślałem o tym, jak to miasto będzie wyglądać za lat dwadzieścia. Stawiałem domy, wytyczałem nowe ulice; budowałem stadiony, parki, szkoły, muzea i szalety. Burzyłem kościoły, rozwaliałem knajpy, budowałem obozy pracy dla pijaków; zbierałem gwiazdy z nieba i rozświetlałem nimi ciemność przed każdym człowiekiem. Byłem wszystkim i wszędzie. Jak myślisz: czy to miało coś wspólnego z namiętnością?"

- Doktorze - powiedziała siostra wchodząc. - On mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

- Kto? - zapytał nieprzytomnie wyrwany z zamyślenia.

- Ten staruszek, który skarży się, że nie może oddać moczu.

- To co?

- Mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

- Powiedz mu, że dosyć się już wysusiał. Niech nie zawraca głowy.

Wyszła. Pachniało środkami dezynfekcyjnymi; drażniła cisza i jaskrawe światło. Monotonnie cykał zegar. "Widzisz - pomyślał doktor. - A teraz już koniec tej bajki. Czy wiesz, jak by teraz wyglądał mój pamiętnik? Pani X - skrobanka. Pani Y - skrobanka. Minęło pięć lat od chwili, kiedy przyjechałem tutaj. Schudłem, postarzałem się, jestem świnią. Dziunia W - skrobanka. Żona kolegi R - skrobanka. Na obiad jadłem flaki z pulpetami. Zdzisia szlag trafił, wylew krwi do mózgu, szkoda go, porządny chłopak, w szpitalu nawalają kaloryfery, mam katar, pokłóciłem się z Antonim, w szpitalu

intrygi i podłość, w mieście intrygi i podłość, na świecie intrygi i podłość, w "Astorii" na rynku intrygi i podłość, podczas meczu Zryw-Bobierzyce -Entuzjasm-Kutno intrygi i podłość, żona Wacia - skrobanka, Dziunia symuluje ciężę, wczoraj był świetny bigos, wyleli mnie z partii, popsuło mi się radio, do diabła z radiem, w szpitalu brak narzędzi, cztery dni padał deszcz, synek gospodyni jest niezdolny, to nie dziecko, to szatan, Żydzi znów się kłócą z Arabami, widocznie i jedni, i drudzy mają złe charaktery, Władkowi śmierdzi z pyska, ohyda, Apfelbaum zmienił nazwisko na Światosław Kamiński, żona Wacia - skrobanka, troszkę się spiłem wczoraj, dziś w klubie związkowym odczyt pt.: "Kiedy człowiek ujarzmi kosmos", śnieg pada, słońce świeci, trzydzieści stopni ciepła, wściec się można, lód na rzece. Ej, ten Wacio, flaki z pulpetami, flaki bez pulpetów, Polska to naród tragiczny, Polska to naród wspaniały. Żydzi kłócą się z Arabami, Waciowa, Waciowa, już po Waciowej, ile tak można, "Arkadię" przechrzczono na "Polonię", w tym roku będzie ciężka zima..."

- Doktorze - powiedziała siostra. - Czy pan ma zamiar go operować?

- Poczekamy jeszcze trochę. Przygotuj w każdym razie wszystko. Nie módl się na jego intencję. Może mu zaszkodzić.

Poczęła szczerkać narzędziami. "Tak - powiedział do siebie. - A teraz? Jak teraz? Czy znowu się czujesz oszukany? Tak jak ja? Tak jak wielu? Masz teraz ciszę i spokój, czy znowu się czujesz oszukany przez życie? Może ty, kiedy zamykałeś oczy, wiedziałeś już, dlaczego tak się stało? Dlaczego tak mało miałem wiary, nadziei, wytrwałości, sumienia? Może nadszedł taki moment, kiedy zrozumiałeś wszystko? Dlaczego splajtowałem? Dlaczego stałem się niczym, dlaczego nie miałem siły doczekać lepszych dni? Dlaczego odszedłem od wszystkich i wszyscy odeszli ode mnie? Dlaczego żyję bez wiary i bez miłości? Kiedy będę miał siłę zrobić to, co ty uczyniłeś? Ty głupie, podłe ścierwo. Gdybyś wiedział, jak ci zazdroścę. Jak chciałbym zamienić się w tej chwili z tobą na miejsca. Jak bardzo bym chciał, abyś obudził się jutro, przeczytał gazetę i poszedł do pracy, i słuchał wszystkich ludzkich narzekania, i abyś nie miał pragnień ani miłości, abyś nie pragnął niczego poza tym, aby dzień się już skończył, i abyś mógł zasnąć, nie czuć, nie myśleć, nie wspominać tego, co było dawniej, nie dręczyć się wszystkim, nie myśleć o sumieniu, o tym, czego miałeś dokonać, i o tym, że niczego nie dokonałeś, i o tym, że niczego już pewnie nie dokonasz, bo jesteś wypruty, zmęczony, cholernie zmęczony, że chciałbyś być tak jak dawniej, że chciałbyś w coś uwierzyć, jeszcze raz w coś uwierzyć, i żebyś sobie zdawał z tego jasno sprawę, że jesteś świnia, że jesteś skończony, że nie masz nikomu niczego do dania, bo miałeś zbyt mało wiary i siły. Czy znów się czujesz oszukany? Od tego wszystkiego zbawiła cię twoja namiętna, niedobra miłość, ty głupi, zasrany Werterze. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? Czy myślisz, że powiem komuś, że zabiłeś się właśnie dlatego? Zbyt cię lubiłem, mój stary. Tu jest małe, małe miasto. A my, ludzie, zbyt mało rozumiemy się jeszcze między sobą. Czy chcesz, żeby teraz zaczęli szperać i grzebać się w twoim życiu? Plotkować. Szydzić. Domyślać się. To ci niepotrzebne, mój drogi. To ci zupełnie niepotrzebne..."

Nagle począł się trząść. Ogarnął go strach; zimny i obejmujący jak

żelazna obręcz. Rozglądał się po białej sali; patrzył na zegar, na szafkę z narzędziami, na okna, o które obijał się wiatr, na białe, gładko zasłane łóżko, i czuł, że za chwilę stanie się z nim coś niepojętego. Serce skurczyło mu się nagle i czuł, że kurczy się ciągle, że staje się coraz mniejsze i słabsze. Z trudem podszedł do gładko zasłanego łóżka i usiadł na nim. Zamknął oczy.

- Jestem gotowa, doktorze - powiedziała siostra. Otworzył oczy. Stała przed nim i patrzyła na niego.

- Chodź tutaj - powiedział.

- Co?

- Chodź tutaj - powtórzył.

Spojrzała na niego uważnie i usiadła obok niego; drżał jak człowiek bardzo podniecony i to sprawiło jej radość.

- Nie myślałem, że jesteś taka - powiedział po wszystkim. - Takie kobiety jak ty oszukują wyglądem.

- Dobrze?

- Tak. Bardzo dobrze.

- Przykro mi, że to na tym samym łóżku.

- Wcale o tym nie myślałem. Było mi dobrze i koniec.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego on to zrobił.

- Powiem ci, ale nie mów nikomu.

- Nie powiem nikomu.

- On był buchalterem w jakiejś firmie. Przekradł się. Wziął jednego dnia trochę pieniędzy z kasy; pojechał sobie gdzieś i przepił to wszystko z dziewczynami. Potem się wydało. Zrobił to ze strachu. Westchnęła.

- Ludzie robią takie głupstwa - rzekła. - Zabijają się i diabli wiedzą dlaczego. Temu zabrakło pieniędzy, ten wyleciał z pracy, tego skądś tam wyrzucili, a przedwczoraj jeden stary człowiek zgubił bilet miesięczny na kolejkę i to go tak rozzłościło, że się upił i poderżnął sobie gardło brzytwą. Do licha z tym wszystkim.

- Ubieraj się. Będziemy otwierać pęcherz.

- Ciągle to samo - rzekła zapinając guziki. Na jej lalkowatej twarzy odmalowała się złość. - Tego pęcherz boli, ten złamał nogę, a jak się już ktoś powiesi, to dlatego, że pogubił jakieś świstki. Kiedy kończyłam swoją szkołę, nie przypuszczałam, że tak będzie. Doktorze!

Siedział pochylony. Teraz uniósł głowę i spojrzał na nią

roztargnionym wzrokiem.

- Tak.

- Chciałabym - powiedziała - aby tu chociaż raz przywieźli takiego, który by to zrobił z miłości. A pan?

- Bardzo - powiedział. - Bardzo. - Wstał, znów powróciła fala zmęczenia i musiał zamknąć oczy. - Pospiesz się - rzekł. - Pospiesz się i nie myśl o tym. Będziemy jednego z nas przywracać życiu.

1956

Okno

L. T.

Nikt prawie nie przychodził do mnie; mieszkam sam, od lat w tym samym brudnym i brzydkim domu przy jednej z bocznych ulic naszego miasta. Do okna mego pokoju nie zagląda nigdy księżyc, nigdy też nie widzę stąd nieba i gwiazd; mogę oglądać tylko kawałek podwórka i przeciwległą ścianę drugiego domu - bardzo wysoka, po części obrośniętą dzikim winem. Są tam dwa okna. W jednym - jak z czasem wynioskowałem - mieszka tapicer, w drugim jakieś młode małżeństwo z dzieckiem; od czasu do czasu widywałem jasny łebek tego dziecka, nie wiem nawet po dziś, czy był to chłopiec, czy dziewczynka; potem dowiedziałem się, że dziecko umarło. I straciłem ochotę do oglądania przeciwległej ściany; kiedy zrozumiałem, że nigdy już nie zobaczę tego dziecka, zauważyłem, jak doprawdy ohydna jest ta ściana.

Bardzo rzadko odwiedzał mnie pewien urzędnik z pierwszego piętra; ja sam mieszkalem na parterze. Był to jeden z tych poczciwych świntuchów, w których ustach nawet przekleństwa diabłów brzmią zgoła niewinnie i tracą barwę, a którzy biją nas co chwila w kolano i mrużąc oko, pytają: "No, jakże? Podobało się panu? Prawda, że to znakomite?" Z początku nie znosiłem tego człowieka i jego jurnych opowiadań. Wydawał mi się obmierzły i głupi ponad wszystko; z pewną nawet przyjemnością myślałem, że z jego dowcipów śmiano się już chyba za czasów Franciszka Józefa. Lecz potem przestał mnie drażnić, a nawet stał mi się potrzebny, zrozumiałem bowiem, że ten człowiek, mieszkający na pierwszym piętrze, jest takim samym biednym i samotnym człowiekiem jak na parterze ja. Zapragnąłem zrobić mu jakąś przyjemność: z nie byle jakim trudem wyuczyłem się kilku dowcipów i gdy przyszedł do mnie - powtórzyłem mu. Pamiętam, że milczał i nie powiedział już nic tego wieczora. I przestał mnie odwiedzać. Doprawdy, nie wiem dlaczego.

Przed moim oknem rosło drzewo akacji. Było bardzo stare i uschło: pamiętam, że ostatniej wiosny kwitła już tylko jedna gałąź. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem tego chłopca: siedziałem w pobliżu okna i zobaczyłem w pewnej chwili, że ruda głowa usiłuje zajrzeć do mego pokoju. Z początku przestraszyłem się, lecz zaraz potem zrozumiałem, iż jest to główka dziecka, i postanowiłem czekać. Patrzyłem wstrzymując dech; biedaczek, chciał zajrzeć nieco dalej, lecz nie mógł się wspiąć. Myślałem: "Pomóc mu? Zapytać, czego chce?" Lecz po

chwili przestraszyłem się: przyszło mi do głowy, że mogłoby to zniechęcić go i spłoszyć.

Następnego popołudnia znów zauważyłem, że właściciel rudej głowy pragnie wspiąć się i zajrzeć do mego pokoju. Widocznie był jednak bardzo mały i nie mógł wykonać tego, co pragnął. Wtedy ja sam zdecydowałem się wyjrzeć i zobaczyłem go; tak, był to rzeczywiście nieduży, bardzo śmieszny rudzielec. Za to przy boku miał potężny pałasz; aż mnie to, pamiętam, zdziwiło, że taki malutki chłopiec ma taki duży pałasz. Odważyłem się i zawołałem:

- Hej, mały!

Odwrócił się, lecz pobiegł dalej. Pomyślałem ze smutkiem, że spłoszyłem go i na pewno już nie będzie chciał tu zajrzeć. Lecz nie; wieczorem znów ujrzałem jego rudą główkę, nawet nieco wyżej. I wtedy zrozumiałem, co go przyciąga: obraz na mojej ścianie. Był to nędzny bohomasz, przedstawiający bitwę morską: okręty ze strzaskanymi żaglami, spienione fale, rozbitków i tak dalej. Mały patrzył na ten obraz z podwórka i widział tylko trochę, a więc czubki masztów i prawdziwego koloru niebo, któremu tak nie pożałował farb ów nieznan mi malarz. Zdecydowałem się dopomóc chłopczykowi i kiedy przyszedł wieczorem, wychyliłem z nienacka głowę i krzyknąłem:

-Chcesz zobaczyć mój obraz, prawda?

Patrzył na mnie chwilę, potem przełknął ślinę i rzekł mężnie:

-Tak.

Podąłem mu rękę. Usiadł na parapecie ze zręcznością małpki: pamiętam jeszcze krótki błysk zachwytu w jego oczach. Lecz po chwili spostrzegłem, że nie patrzy już wcale na obraz: rozglądał się bacznie po moim pokoju. Widziałem, jak gaśnie zachwyt na jego twarzy. Zobaczyłem, że posmutniał: był teraz poważny i skupiony, jakby w ciągu tych chwil, kiedy siedział na parapecie, przybyło mu wiele lat i troski. Bardzo długo milczał opuściwszy rudą główkę. Potem rzekł:

-Wszędzie jest tak samo.

-Tak! - rzekłem. - Wszędzie jest tak samo.

-Nigdzie nie ma inaczej? - zapytał.

-Nie - odparłem.

-A gdyby tak bardzo daleko stąd? Też tak samo?

-Tak. Tam też są takie pokoje. Na całym świecie są takie pokoje. Świat to jest właśnie kilka takich pokoi.

-To ja jeszcze zobaczę - rzekł.

Zeskoczył i uciekł. Następnego dnia wróciłem później do domu.

Pierwsze, co zobaczyłem wszedłszy do pokoju, to leżący pod oknem jakiś przedmiot. Podniosłem go; był to ów pałasz, który budził moje zdumienie.

Lecz sam chłopczyk nie zajrzał do mnie już nigdy.

1955

Ósmy dzień tygodnia

(fragment)

- Nie - powiedziała Agnieszka. Odsunęła stanowczo jego rękę i obciągnęła sukienkę. - Nie teraz.

- Jak chcesz - mruknął mężczyzna. Położył się obok niej na trawie i patrzył na drugi brzeg Wisły. Środkiem rzeki śmieszny holownik z wysiłkiem ciągnął trzy ciężkie barki; jego silnik pracował tak samo ciężko jak serce starego człowieka. Nadchodził wieczór i chłód tężał jak mleko. Drzewa ciemniały. Mężczyzna leżał nieruchomo aż do chwili, kiedy poczuł na głowie dłoń Agnieszki.

- Pietrek - rzekła cicho. - Ja nie chcę, żeby to wszystko było ot tak na grandę. Gdybym cię nie kochała, może byłoby mi wszystko jedno. Tu mogą nadejść ludzie. Nie chcę, żeby w moją najlepszą sprawę inni wchodzili butami. Musisz mnie zrozumieć. Jeśli jest czego naprawdę bronić, to chyba właśnie tego.

Podniósł się na łokciach i uniósł twarz do góry. Musiała przymknąć oczy; jego młoda, dziecinnie jeszcze czysta twarz ścięta była bólem.

- Agnieszka - powiedział czy ty wiesz, jak strasznie jest prosić o takie rzeczy? Czy ty wiesz, co to jest czekać?

- Ja też czekam.

Uchwycił jej rękę. Oczy jego były teraz blisko: ciemne i skupione.

- Jak długo będziemy jeszcze czekać? To udręka.

- Musimy czekać - powiedziała odwracając głowę; holownik już zapadł w mgły. - Może uda nam się dostać jakieś mieszkanie? W lecie możemy razem wyjechać... Chcesz się spotykać po jakichś pokoikach lub na ławkach w parku?

- Nie.

Umilkli. Nad ich głowami niebo stawało się złote; złota była również rzeka. Rosa kropliła się już na trawie i Agnieszka drżała z chłodu mimo skórzanej kurtki, na której siedzieli. Sąsiedni brzeg zgasł.

- Ja kłamię - powiedziała nagle Agnieszka i w głosie jej wyczuł mękę. - Ja już też nie mogę czekać. Wszystko mi jedno. Postaraj się tylko a jakiś pokój, o jakieś mury. Aby nie tutaj, aby z daleka od ludzi. Rozumiesz?

- Tak - szepnął. Dotknął jej dłoni: była bardzo chłodna i zamknięta jak muszla. Westchnął i rzekł: - Chodźmy już. Noc.

Podnieśli się; przez cały bielański las szli w milczeniu i dopiero przy pętli tramwajowej powiedział do Agnieszki:

- Pogadam z Romanem, on ma pokój. Nich sobie znajdzie inny lokal na

jedną noc.

"Pogadasz z Romanem - pomyślała. - Wiem, co mu powiesz. Nie powiesz mu przecież, że mnie kochasz i że ja ciebie kocham. Powiesz mu tak: "Ty, Roman, ja mam dziewczynę, którą muszę załatwić. Pożycz murów na jedną noc". A on ciebie zapyta: "Ładna jest chociaż?". Ty wtedy skrzywisz się, zmrużysz oko i powiesz: "Czy ja wiem? Teraz nie jest sezon, więc co zrobić". Nie przyznasz się mu do niczego, bo przecież też bronić chcesz tej sprawy. A potem powiecie jeszcze kilka świństw o kobietach, których mieliście żałośnie mało i o których nic zupełnie nie wiecie...".

W tramwaju było zaledwie kilka osób: dwie stare baby, żołnierz o smutnej twarzy, paru wyrostków z piłką. Oświetlone domy uciekały w ciemność. Agnieszka uśmiechnęła się i przytuliła do Pietrka.

- Dobrze, kochany - rzekła. - Porozmawiaj z Romanem.

- Co dzisiaj mamy? - rzekł w zamyśleniu. - Czwartek?

- Tak, czwartek.

- Poproszę go - rzekł - aby wyjechał sobie gdzieś z soboty na niedzielę. - Przytknął usta do jej ucha: - Trzymaj się, Agnieszka.

- Tramwaj zahamował. Konduktor uniósł wzrok znad okularów i powiedział przez nos: - Trasa... - Pietrek uścisnął rękę Agnieszki i wyskoczył. Popatrzyła za nim: był szczupły i giętki jak leszczyna. Głowę nosił pochyloną. "Czemu on się tak garbi? - pomyślała. - Boże, gdyby on jednak z nim nie rozmawiał". Po chwili zmieszał się z wieczornym tłumem i straciła go z oczu. Nad miastem przecierały się dopiero pierwsze gwiazdy; tylko na samym środku nieba, spokojnie i pewnie, płonął Wielki Krzyż.

- Targowa - powiedział konduktor. Podniosła kołnierz płaszcza: zaczął padać ciepły deszcz. Przed nią szło dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach. Jeden z nich zaklął i powiedział do drugiego: - Znów leje. Już dawno nie pamiętam, żeby był taki paskudny maj. Nie można nawet podskoczyć w krzaki. - Z kim? - powiedział drugi. - Z teściową chyba. Masz forse? - Kiedy Agnieszka przechodziła obok nich, trącił ją ramieniem i powiedział: - Z nią byś podskoczył? - Obojętnie - powiedział pierwszy - ale ona takim jak my nie daje. - Może ją przygadamy? - zaproponował drugi. Krzyknął: - Proszę pani, pójde z tobą...

Wyśmiała ich; skręciła w Brzeską. W mętnych kręgach latarni zataczali się pijani. Z baru "Schron u Marynarza" wyrzucono pijanego awanturnika; pojechał twarzą po bruku; za chwilę wyleciała za nim teczka i kapelusz. W bramach stały grupki milczących gapiów; jakiś głośnik ryczał donośnym basem: "Dzisiejszy etap zakończył się porażką drużyny polskiej. Zwycięzcą etapu był Rumun Dumitrescu...". Śmierdziały gnijące odpadki jarzyn z bazaru. Ktoś śpiewał piskliwym tenorem. Jakiś wyrostek zajrzał Agnieszce w twarz i gwizdnął. Ktoś drugi powiedział tęsknie: - Chryste, ta by się pruća jak koronka... - Koty wałęsały się pod nogami; zza mgieł nie było widać już gwiazd. Jakiś pijak szepnął jej gorąco do ucha: "Stara wyjechała, mam lokal.

Dam ci nylonięta. Chcesz?" Na Dworcu Wschodnim wyły lokomotywy; wilgotne powietrze z trudem parło do płuc; ludzie mieli spocone twarze i zmętniałe oczy.

"Porozmawiaj z nim - pomyślała Agnieszka. - Porozmawiaj z nim jak najprędzej".

1956

Pamiętasz, Wanda

Daleko w ciemność wybiega ulica. Jest to właściwie taka sama ulica, jakich dziesiątki są w naszym i innym mieście, a jednak ... Jej domy ze zmrokiem tracą swój zarys, w dzień wrzynają się w jasne niefrasośliwe wiosenne niebo; w podwórkach na balkonach wiszą kolorowe bety... więc właśnie taka normalna zwykła ulica, nie ma w niej nic zgoła nadzwyczajnego: ani ładna - ani brzydka.

Często pytam: co mnie tak wiąże z tą zwykłą ulicą? Nie umiem sobie na to odpowiedzieć. Dalekie światła Dworca Gdańskiego mrugają niepewnie: zielone, niebieskie. Wyje gdzieś daleko parowóz, rozdziera gwałtownie ciszę wieczorną tak niespodziewanie, że aż drgnęłaś i przytuliłaś się silniej do mnie. Teraz już właśnie wiem, właśnie teraz, gdy idziemy razem, gdy widzę twój łagodny profil z zadartym nosem, jasne włoski, które rozwiewa wieczorny wiatr - wiem, dlaczego kocham tę zwykłą ulicę, dlaczego kot miauczy przyjaźnie, dlaczego przykro mi jest, gdy widzę płaczące dziecko, jak podnosi brudne piastki do oczu - to wszystko właśnie dzięki Tobie.

Może nawet sama się nie domyślasz, gdy tak idziesz koło mnie w swojej powiewnej sukieneczce, machając zerwaną gałązką. Nie, nie możesz się domyślać, jak bardzo Cię kocham. Ciebie, twoje włosy, kiść bzu w Twojej ręce. Czuje łagodne ciepło Twojego ramienia, przytulam policzek do Twoich jasnych, miękkich włosów, chłonę nozdrzami ich delikatny, cierpki zapach, w milczeniu ściskam Twoją małą, ciepłą dłoń. Kochamy się, jest nas dwoje, a przecież tworzymy jednego człowieka, myślimy razem, czujemy razem: jest nam dobrze.

Idziemy razem przytuleni do siebie, nie widzimy mijających nas ludzi, wyskakujemy spod przejeżdżających samochodów; ten mały grubas, który wpadł na nas, jest taki zagniewany. Ze złością poprawia okulary, mruczy coś pod nosem, dlaczego? Śmiejemy się trochę z niego - trochę do siebie. Stajemy na wiadukcie Gdańskiego Dworca, szepczesz: "Wyjmij rękę z kieszeni". Wpatrujemy się w migocące kolorowe światła semaforów, stoimy cichutko przytuleni do siebie, aż spłoszył nas znowu jękliwy ryk parowozu. Schodzimy na dół; mija nas grupa robotników z metra: chudy i wysoki jak tyka chmielowa zajrzał Ci w twarz i cmoknął z uznaniem, ładna jesteś. Przytulasz oburzona do mnie, a ja chętnie ucałowałbym go. Ludzie patrzą za nami z sympatią, znajomy dozorca kłania nam się, przez chwilę rozmawiamy z nieznanym łysym panem, który prosi mnie o

ogień. On uchyla kapelusza, ja w zakłopotaniu targam swoją rozwichrzoną czupryną i znów, idziemy razem.

Pomyśl sobie, jak to cudownie, że nie czujemy się obco i wrogo wśród tych wszystkich ludzi, spaw, maszyn. Że wszystko jest nasze chłodny asfalt ulicy, po którym idziemy, niebo, które ma teraz kolor Twoich oczu, drzewo, z którego zerwałaś przed chwilą gałązkę akacji i wróżysz z niej: "Kocha nie kocha..." wrywam ci ją z ręki - kocha, przecież kocha. Śmiejesz się i ja się śmieję. Czeka nas nasz dom, w którym wszystko jest piękne, nawet ten mały kulawy stolik, któremu codziennie przybijamy nogę. Zamek w drzwiach chrobocze tak swojsko. Stoimy teraz obok siebie na balkonie, ogarniam Cię ramieniem, odsuwasz się łagodnie szepcząc: "Csss, Malinowska patrzy":. Śmiejąc się całuję twoje ciepłe usta, na sąsiednim balkonie Malinowska mruży oczy.

Pod nami miasto usypia. Koń grzechocze podkowami po bruku, dozorca ze zgrzytem zamyka naszą bramę, mąż Malinowskiej wślizguje się jak piskorz, aby nie płacić nocnego. Kierowca klnąc zamyka maskę nawalonego samochodu i patrzy w niebo, jakby stamtąd oczekiwał pomocy w naprawie. Zapada noc, pomału wykreśla z pola naszego widzenia ulice i place, pachnie słodko bez, dentysta gra na pianinie i śpiewa swym beczącym głosem. Gwiazdy, które zapalają się na niebie, migocą w Twoich oczach. Milczymy. Silnik zaskoczył, kierowca z zadowoleniem trzaska drzwiami, żona woła dentystę na kolację, dziecko sąsiadki zaczyna swoją cowieczorną serenadę. A nasza miłość nie kończy się o świcie, będzie trwać wiecznie, będzie mocna jak ci ludzie, z którymi pójdziemy rano do pracy, prawda? A pamiętasz? Widzę, że pamiętasz, przytulasz się w milczeniu do mnie, czuję, że nie chcesz tych wspomnień, że nie chcesz psuć tego wieczoru pachnącego bzami. Słyszysz ten daleki żabi rechot, bzykanie koników polnych? No dobrze, nie będziemy wspominać.

Rustecki pobiegł w pośpiechu do okienka. Gdy śpieszył się i biegał po podwórku, jego kulawa noga. Zataczająca niezdarne kręgi, działała nader sprawnie.

- Wszyscy już wyjechali? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Dyspozytor Kokoszka, stateczny, powolny, o obwisłym brzuchu, spojrział na tablicę.

- Jeszcze Stefana nie ma.

Techniczny zaklął.

- Pewno znowu się zachlał. To jest człowiek, jak boga kocham.

- Zaraz nadejdzie - mruknął dyspozytor.

W tej chwili w okienku pojawiła się głowa Stefana.

- Sto siedem - podał numer wozu.

Rustecki spojrział na jego bladą, pomiętą twarz z podpuchniętymi oczami i tracił Kokoszkę w bok.

- A co nie mówiłem? Znowu po pijaństwie.
- No i co mu pan zrobisz? - pyta obojętnie Kokoszka.
- Wyrzucę, na zbity pysk

Kokoszka wzruszył ramionami.

- Nie wolno mu?

Stefan podszedł do wozu. W głowie szumiało mu jeszcze po wczorajszej pijatyce, pod powiekami czuł piasek. Błędnie sprawdził oliwę, zapuścił silnik i nie czekając na rozgrzanie ruszył z miejsca. Rustecki spojrzął za nim ze złością.

- On zapijał tego dzemsa - zobaczysz pan.

Dyspozytor uśmiechnął się zgryźliwie.

- Chcecie młodzież - macie młodzież.

Stefan leciał przez puste jeszcze ulice. Z bazy na port handlowy miał ładne parę kilometrów. Spojrzął na zegarek: dochodziła szósta. Był już spóźniony, dodał gazu, aż donośny gong silnika przeszedł w jednostajny buczący jęk. Opuścił przednią szybę - powietrze silnym strumieniem uderzyło mu w twarz i potargało włosy. Może otrzeźwieję trochę - pomyślał. - Ile tego wczoraj było, cholera. I jak to było potem? Stasiek już całkiem trup, Henek kupił jeszcze flaszkę, a dalej? Dalej rozwiewało się. Czyjeś zamazane twarze, skrzeczące głosy, dobiegające przez mgłę, obcy własny głos, ranne przebudzenie w butach, w ubraniu.

Z nieprzepisową szybkością wjechał na teren portu, aż strażnik na branie zachłysnął się z oburzenia. Podstawił wóz pod rampę i ruszył na poszukiwanie Henka. Znalazł go w kącie magazynu, jak zlewał pod kranem swoje jasne, aż do przesady barankowe włosy. Uderzył go w plecy, aż tamtemu woda poleciała za koszulę.

- No jak, Heniu, jak pażywajesz?

Pękała wyszczerzył w uśmiechu swoje drobne mysie zęby.

- Daj ty spokój, ale było tego wczoraj. Chyba ze dwa litry. A Stasiek - trup.

- Nie ma go dzisiaj w robocie?

- A skąd. Szewski poniedziałek sobie zrobił. A ty jak się czujesz?

Kamiński usiłował się uśmiechnąć.

- Jak złoto. Ale trzeba będzie się chyba zaprawić, co?

Wysupłali z kieszeni ostanie drobne. Henek skrzywił się.

- Starczy?
- Musi. Na czterdziestkę starczy, skocz, Heniu.

Wstrząsając się pili ukryci w koncie magazynu .Zaprawka należała do codziennego rytuału.

- Co dzisiaj wozimy?
- Warzywo
- O cholera, znowu po fajrant.

Pamiętasz? Tak było codziennie. Ciągłe bez grosza, ciągle pijany. Przemykałem się chyłkiem pod obstrzałem ludzkich pogardliwych spojrzeń. Patrzyli rozmaicie; jedni z uśmiechem pełnym pobłażliwości: "Trudno musi pić - alkoholik", drudzy wręcz z pogardą, gdy czasami prosiłem o pożyczkę. Organizacja kazała mi się leczyć. Brałem antabusy przez parę tygodni, a potem znowu, po kamaryńsku. Heniek mówił: "Stefan łamiesz się?" - Nie, nie łamałem się. Zacząłem unikać ludzi, zamykałem się w sobie. Nocami przychodziły rozmaite postacie bez głów i rąk. Straszły, rozrywały moje ciało, chichotały obłąkańczo. Wtedy zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Twarze ludzkie były jednakowe - wszystkie młode, stare , brzydkie. Wtedy sam spróbowałem przestać pić - ale już nie mogłem.

Wtedy Ty zaczęłaś u nas pracować. Było chyba lato - prawda? Byłaś opalona na taki złocisty kolor; twój nosek był obsypany piegami. Na fartuszkę miałaś znaczek zetempowski. Siedziałaś w swojej centralce telefonicznej, przychodziliśmy razem do pracy, jeszcze wtedy na szóstą. Nie znaliśmy się. Dopiero wtedy, jak przechodząc obok Ciebie zatoczyłem się, spojrzałaś ze zdumieniem. Myślałaś pewnie, że to zaczepka. Dopiero Rustecki podszedł do Ciebie i powiedział Ci na ucho - zrozumiałaś. Widziałem jak machnął ręką, wiedziałem dobrze, co Ci powiedział "Tłumaczyliśmy wszyscy - nic nie pomaga. Trzymamy go przez ..." Właśnie przez co?

Sam często zastanawiałem się: przecież powinni mnie dawno wyrzucić. Wszyscy pokazywali mnie palcami, te stare paniusie z księgowości aż oczy przymykały, gdy przechodziłem obok nich. Cała baza wiedziała, że takich jak Kamiński to "nie ma , nie było i nie potrzeba", jak mówił żartobliwie Kokoszka. Niektórzy mówili: "Wyrzucicie go, do cholery, co to - szpital dla alkoholików?" Właśnie tego dnia po pracy podeszłaś do mojego dżemsa. Zaczęliśmy rozmawiać. Chwilę milczałaś, zakłopotana wpatrując się w moje przekrwione białka (im zawdzięczam przezwisko "Angor"). Twój fartuszek miał na łokciu taką maleńką cerę. Pamiętasz Wanda?

Pałac papierosa przyglądał się, jak robotnicy kończyli łądować wóz. Samochód był naładowany warzywami pod samą plandekę, nawet na opuszczonym na łańcuchach borcie stały kosze z warzywami.

- Nakitowali chyba z pięć ton - pomyślał i schylił się, żeby zobaczyć, czy resory nie siadły. Nie. Potężny dżems wytrzymał takie ładunki. Zgniótł niedopałek papierosa i ruszył szukać konwojenta. Zobaczył go, jak klócił się z magazynierem o towar.

Magazynier, z wściekłości purpurowy, wymachiwał tamtemu przed nosem plikiem kwitów.

- Waga jest - krzyczał - jest! No to czego?

- Oho, Henek robi go na wadze - przemknęło Stefanowi przez myśl.

Wskoczył na rampę.

- Co jest, panie Zdzisiu? - zapytał magazyniera.

Stary odwrócił się.

- No co, wariata szuka! Ma wagę i fartu szuka!

Henek uśmiechnął się krzywo, odsłaniając spróchniałe pieńki.

- Nie krzycz pan. Czego pan krzyczysz? Ile pan tary daje?

Malinowski miał starczą, pomarszczoną twarz, bezzębne zaklęsnięte usta, spod których wystoperczał podbródek: ostry, obrośnięty siwo brudną szczecina. Gdy zdenerwował się, nie można go było zrozumieć: słyhać było pomlaskiwanie bezzębnej szczęki. Krzycząc wyrzucał z siebie strugi śliny. Malinowski bryzgnął na Stefana, aż ten odskoczył, wycierając twarz rękawem.

- Ile twój wóz waży?

Dzems ważył cztery osiemset, ale bez "bliźniaków" waga malała o przeszło trzysta kilo.

- Cztery osiemset - skłamał bez zająknięcia.

Stary aż podskoczył.

- Wariata szukacie? - klapnął - tłumaczę wam przecież...

- Nie tłumacz pan - przerwał mu Henek. Swojej przyjaciółce możesz pan tłumaczyć, żeby się nie martwiła, że wiesz pan co. Stefan, daj no książkę. Kamiński wyciągnął książkę. Napisane było czarno na białym cztery osiemset.

- No i co? - podsunął mu pod nos.

Malinowski westchnął. Zaklęsły podbródek opadł żałośnie.

- Chłopaki - powiedział - nie róbcie mnie na wadze. Nie mam z czego dokładać, a już raz wpadłem.

W głosie jego zabrzmiały błagalne nutki. Stefan odwrócił głowę. Porwała go złość na Henka. Co ten stary człowiek mógł poradzić przeciw bandzie złodziei, która go zgodnie okradała? Z czego miał dokładać? Wiedział dobrze, że Henek zrobił go na ładne parę złotych.

Ale Henek pokwitował już towar.

- Odjeżdżaj. Stefan.

Stefan ruszył z miejsca. Henek w biegu wskoczył do szoferki i walnął Stefana w plecy.

- No?

To "no" miało być zaczepką do pochwały ze strony Stefana "Globus" Henka dobrze pracował. Ale Stefan nic nie odpowiedział.

- Z czego on dołoży myślał Stefan - z czego?

Nie były to wyrzuty sumienia. Nie po raz pierwszy "kombinowali" z Henkiem.

Forsę mieli zawsze, wódka, dziwy, oko. Pili razem od trzech prawie lat: dzień w dzień.

A - pomyślał - gównu mnie to obchodzi. Jak frajer - niech dokłada. Bić frajerów - to była życiowa zasada i Stefan trzymał się jej nogami i rękami.

W ostatnim sklepie w Falenicy sprzedał kierownicze sklepu ;lewy towar.

Henek od razu kupił wódę, zagrychę. Od długiego czasu obsługiwał wu-es-esy na trasie Warszawa - Falenica, była to tak zwana "zielona Warszawa". Tu było najlepiej: gliny nie łapali, z wu-es-esu też nikt nie zaglądał. I wypić można było czy jakiś lewy kurs...

Wracając do bazy zatrzymywali się za Miedzeszynem. Wyciągnęli z wozu siedzenia i rozłożyli się wygodnie na trawie. Jednym pchnięciem dłoni Henek otworzył flaszkę i podał Stefanowi.

- Masz, ciągnij.

Stefan sięgnął po butelkę, zawahał się chwilę i oddał Henkowi z powrotem:

- Pij, pij. Ja potem wypiję. Dzisiaj lotna łapie na mieście - skłamał. Nie bał się lotnej kontroli z MO. Czuł się po prostu nie sosie...

Henek palcem naznaczył linię na flaszcze i podniósł ją do ust. Pił na otwarte gardło; wódka przelatowała z gulgotem. Wypił co do jednego milimetra: tyle dla mnie - tyle dla Stefana.

Stefan leżał na wznak. Niebo było czyste, daleko ganiały się małe. Strzępiaste obłoczki. Lekki wiatr przynosił ze sobą zapach ziemi, bzu, trawy. Nie dokończona flaszką walała się na trawie.

Henek zaczął śpiewać: tak ni z ego ni z owego. Głos miał wysoki, wibrujący nabrzmiałały z tęsknoty do własnych piosenek. Ach, pod ten głos mandolina albo guzikówka.

Ujrzałem ją pośród firanek okna,
Ujrzałem, gdy w objęciach trzymał ją.
Z rozpaczy swej chwyciłem za rewolwer,
By skazać ją za straszną podłość jej...
Strzeliłem raz, trupem padli oboje,
Mierzyłem tak, by prosto w serce jej...
Ach, Boże mój, naraz zabiłem dwoje...

Wpatrywali się w niebo, w jasne i pogodne niebo. Ziemia pachniała upajająco, powietrze było czyste, łagodne. I skąd tu nagle ten głos: przepity, płaski, chrypiący żałością. Wysoko nad głową ćwierkotały wróble, za laskiem zaklekotał bociek.

O kim, o czym tedy myślałem - nie wiem. Może o swoim brudnym życiu, a może ... o Tobie? Dalekie wspomnienia powracały z bardzo daleka, krystalizowały się we mgle jakiś zdarzeń, wspomnień. Wypływały na wierzch, to znów, to znów nie mogłem ich odszukać: zacierały się w perspektywie lat, gubiły w gmatwaninie spraw ludzkich. Henek zawodził swoim podwórzowym głosem "Szesnaście lat więzienia się nie bije, szesnaście lat to fraszka dla mnie jest". Wtedy na skrawku zmiętej trawy pod Miedzeszynem, zrodziło się we mnie pragnienie, pragnienie czegoś lepszego, piękniejszego od tamtej na wpół wypitej butelki i zdartej piosenki o nieszczęśliwym zabójcy. Uczepiłem się tego,, ale nie wiedziałem, co robić, jak? Angor, Angor, Angor, Rustecki, baza, nawet ten stary džems z demobilu. Myśli kłębiły mi się pod czaszką, wybiegały i wracały z powrotem. I wiesz, wtedy właśnie, wtedy pomyślałem o tobie. Dlaczego? - nie wiem. Może ożywająca ziemia pachniała tak upajająco, a może niebo miało kolor Twoich oczu? Powracał do mnie Twój obraz - takiej, jaka zobaczyłem Ciebie pierwszego dnia: w tym czarnym fartuszkach z małą cerą. I wiesz co? Wtedy, tak - właśnie zrozumiałem, no po prostu, że Cię kocham. Wtedy zrozumiałem, że muszę jakoś inaczej, jakoś lepiej żyć. Była wtedy wiosna: pachnąca, niefrasośliwa. Poderwałem się, kopnąłem butelkę, aż potoczyła się do płytkiego rowu, skoczyłem do wozu tak gwałtownie, że Henek dopadł mnie w biegu i rwałem do Ciebie. Och, gdyby džems mógł nadażyć za moimi myślami, za pragnieniem zobaczenia Ciebie. Strzałka biła pięćdziesiąt mil, silnik rozdzierał powietrze swoim wysokim rykiem. Błady ze strachu Henek łapał mnie za rękę.... Chciałem tylko cię zobaczyć, usłyszeć Twój głos... Stałem jak głupi przed drzwiami Twojej centrali, Henek latał po placu i krzyczał, że Angor zwariował.

Stałem minutę, dwie, piec, w końcu zapukałem. Uśmiechnęłaś się do mnie, ten uśmiech przyniósł ze sobą i błękit nieba pod Miedzeszynem, i zapach pól... wtedy w myśli nazwałem Cię - Wiosenką.

- Ja cię więcej bronić nie będę - powiedział Stolarczyk - chcesz to chlaj. Ale wtedy ja pierwszy - walnął kułakiem w pierś - postawię wniosek: wywalić na zbity łeb. Rozumiesz? I to ty młodzieżowicz, cholera, zamiast dać przykład, to... ech... gadać się nie chce, pomocników rozpijasz, wóz haratasz...

- Tylko nie wóz - warknął Kamiński.

- Mniejsza z tym. Nie chcemy - położył nacisk na tym słowie - pi-ja-

ków. I to ja - pacnął się dłonią w czoło - dawałem słowo, gwarantowałem, że Kamiński nie będzie pił. Do przychodni za rączkę żeśmy cię wszyscy po kolei prowadzili - chodzisz?

- Nie - mruknął.

- Dlaczego?

- Nie mam czasu.

- A co robisz po pracy - wstrzymał krótką pauzę - chlasz? No to faktycznie nie masz czasu.

- A po cholere będę chodził? Już i tak wszyscy wiedzą, że pije, co? Już i tak każdy: Kamiński opój, do cholery, nie potrzebuję niczyjej łaski, Zresztą: po co ta mowa?

Stolarczyk ochłonął. Popatrzył przez chwilę na Kamińskiego, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Jak sobie chcesz - rzucił na pożegnanie. Ktoś Stefana ujął za ramię. Odwrócił się - Henek.

- Stefan ty wiesz. Niech oni cię w dupę przez bibułkę pocałują. Myśli, że jak jest przewodniczącym Rady Zakładowej, to już mu wszystko wolno? Niech się nie wchrzania w nie swoje sprawy...

Stefan popatrzył chwilę w żółte kocie źrenice tamtego. Targnęła nim złość.

- Ty się nie wchrzaniaj w nie swoje sprawy. Odejdź...

- Angor, coś ty głupi - łamiesz się?

- Tylko nie Angor. Won, no już - krzyknął prawie.

Aż zatrzęsł się ze złości.

Rzucę ten cały bajzel w cholere - myślał, idąc do wozu - łaskę robia czy co? Robotę wszędzie znajde.

Ale zrobiło mu się nagle żal tego szeregu samochodów stojących na placu, hałasów dobiegających z warsztatu, kulawej postaci Rusteckiego biegającego po placu, gorączkowego rytmu wytężonej pracy w bazie, a wreszcie swego życia, zmarnowanego, brudnego, przepitego w bramach i gruzach. Przypomniał mu się ten dzień w lasku pod Miedzeszynem, czyste wiosenne niebo, Wanda.

- Czy pan musi pić? - Zapytała wtedy.

Aż czubki uszu zrobiły mu się purpurowe ze wstydu. Chwilę stał w milczeniu, patrząc tępo przed siebie, zanim wykrztusił:

- Nie.

Potem unikał jej. Dziwna to była miłość: ukryta w sobie, gorzka,

przeklinana to znów czczona jak sakrament. Smukła dziewczyna z centralki była symbolem czegoś lepszego, nieosiągalnego. Krótko wtedy rozmawiali. Siedział, jak zwykle, milczący, skryty, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czuł się w jej obecności jak niepotrzebny mebel w pokoju, próbował żartować: nie wychodziło. Potem widział ją kiedyś idącą ulicą, ale nie miał odwagi podejść. Uczucie beznadziejności, zniechęcenia potęgowało się z dnia na dzień. Na to nie było rady, nie pomagała już butelka i przeżarty głos Henka.

Po co wtedy poszedłem do Ciebie? Czego chciałem? Rozmawialiśmy krótko na obojętne tematy, natarczywe dzwonki przerywały nam co chwila - pamiętasz? Potem wyszliśmy razem z bazy: była już jesień. Szliśmy oboje w ten smutny, mglisty dzień. Deszcz siąpił bezustannie, spływał nam po twarzach, kałuże wody rozpluskiwały się pod nogami. Taki mglisty, deszczowy dzień. Ile żeśmy sobie wtedy powiedzieli radosnych i smutnych rzeczy. Właśnie w ten dzień. Podłużne, żółtawe światła latarni kładły się przez całą długość jezdni. Opony przemykających samochodów syczały na mokrym asfalcie. W takim monotonnym, uporczywym deszczu wszystko traci swój zarys; drzewa, ulice, ludzkie sprawy. Błądzące bez celu w labiryncie zamokłych ulic zawędrowali aż na Ciepłą. Stefan zatrzymał się na chwilę przed jakimiś zgliszczami.

- Tu był kiedyś mój dom - powiedział. - Ciepła dziesięć.

Wanda spojrzała na niego z boku. Stał jak zwykle lekko przygarbiony, zacisnąwszy usta w jakimś gorzkim wyrazie, kosmyk mokrych włosów opadł mu na czoło, pochylony do przodu patrzył w milczeniu na zwal gruzu, z którego wystawały pokręcone tygle.

- Tu był kiedyś mój dom - powtórzyła w myśli usłyszane słowa. Co kryło w sobie to bezładne rumowisko? I jakby w odpowiedzi na jej myśli za chwilę powiedział, zataczając ręką łuk nad pogorzeliem.

- Wszyscy zostali: matka, brat, ojciec. Ja akurat wyszedłem po wodę. Wszyscy. Chciała mu powiedzieć coś ciepłego, coś bardzo ludzkiego, ale słowa niechciały przejść przez gardło. Sam przerwał milczenie pociągając ją dalej.

- A tu szósty. Podczas okupacji jeździliśmy tu z chłopakami na sankach. To już w tedy było rozwalone. Chcesz zobaczyć? Potaknęła. Podał jej rękę. Zaczęli przeskakiwać po kupach gruzu porośniętego zielskiem.

- O tu, widzisz? Robiło się takie sanki ze starych skrzyń, płozy na kant ojciec ścinał piłką, potem obijało się płozy taśmą, kładło się na brzuch i z gruzów w dół. Wcale nie chciały iść, takie były ciężkie i niezdarne. Tam z ceglanej przychodził do nas taki chłopiec. Jego tata był lekarzem czy diabli wiedzą kim. On miał sanki; lekkie, długie, siedzenia wyplatane ze skóry, wszystkie chłopaki marzyli wtedy o takich sankach. A było nas na Ciepłej wtedy: Borkowszczeni, Jankowscy, Gienek Balcerzak.

- Zaczął wyliczać na palcach.

- A wiesz, w lecie to kombinowało się dwa łożyska, deski zbijało się rzemieniem - i hulajnoga. Sto metrów asfaltu w jedną i sto w drugą. Czasem ojciec dał parę groszy, to szło się na Pańską. Tam mieszkał taki facet, co rowery wypożyczał po dwadzieścia złotych za godzinę, za legitymację albo kartki.

To była największa radość, jechało się, z tyłu na sznurku biegł chłopak właściciela. Na rogu Twardej był taki "lekarz lalek". Od niego kupowało się takie zeszyty - "Ken Maynard", "Zorro - jeździec w masce" "Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy", "Jerzy Rolicz,

bohaterski chłopiec". Wszyscy czytali z całego podwórka. A potem zabawa: szło się do Haberbuscha po "kapsle" od butelek i "nawalana" w kowboi.

Przerwał na chwilę zdumiony długością własnej oracji i spojrział na nią. Przykucnęła na stercie cegieł i patrzyła na niego.

- No mów dalej - poprosiła.

Mówił bezładnie; to uciekając w przeszłość, to sięgając do dnia dzisiejszego. Dziwna to była opowieść bez początku i końca., pogmatwana jak życie tego chłopca; raz tragiczna, raz śmieszna, nierówna, przerywana, wyrzucana z pasją z głębi duszy, to znów snująca się leniwie, monotonna jak ten deszcz dzisiejszy.

- Podczas powstania wszystko diabli wzięli, dom, rodzinę. Z obozu z Pruszkowie wyjechałem do znajomych w Mszczonowie. Mieli tam młyn. Jeść dostałem, ale tam już musiałem harować. Po wyzwoleniu prysnąłem do ciotki do Wrocławia, chodziłem trochę do szkoły. Potem ciotka umarła i znowu sam. Wtedy zacząłem pracować. "Arkadia-Dancing Bar". W nocy, już po wszystkim, froterowałem posadzki, myłem zarzyganą toaletę. Na razie za samo żarcie, pieniędzy nie doczekałem się. Potem w hotelu - za pikolaka. Mundurek, czapeczka - a na noc gościom dziwki sprowadzałem ze Stawowej. Po sto złotych od łebka. Rozumiesz? Przerwał i szarpnął ją za rękę.

- Wanda!

Podniosła na niego oczy.

- Co?

- Nie, nic - powiedział i zaśmiał się krótko.

Śmiech zabrzmiał nieszczerze jak zgrzyt metalu po szkłe. Wanda zrozumiała go to było jak spowiedź. Odsłaniał przed nią całą zgryzotę swego życia - życia, o którym nigdy nikomu nie mówił. To wiedziała. Przeszłość jego była nie jasna, pogmatwana. Był zawsze skryty, milczący, zamknięty w sobie i pił na umór, po szewsku z dnia na dzień, do ostatniego grosza. Przekrwione oczy - Angor. Unikał podnoszenia ręki - drżały mu jak starcowi. Każdy palec podrygiwał osobno, histerycznie. Nie usuwano go tylko dlatego,, że nie miał ani rodziny, ani nikogo bliskiego. Mieszkał gdzieś katem u takiego samego pijaczyny jak on. Ludzi ciekawiła ta postać młoda, zgarbiona, zamknięta w sobie, z wyrazem jakiejś beznadziejności wrytej na twarzy. Zamknięty milczący - a teraz ta spowiedź? Wanda wiedziała, że trzeba mu teraz dać coś ciepłego, jakaś matczyną pieśczętę, której nie miał. Wstała i przytuliła się do niego swoim gorącym, dziewczęcym ciałem. Oczy ich spotkały się na jeden krótki moment, przebiegły po sobie spojrzeniem. Całowali się wśród ulewnego deszczu, wśród gruzów. Czuli na ustach słony smak jego łez spływających ciurkiem po policzkach.

Nie mówili nic. Słowa były niepotrzebne. Ich szczęście potęgowało to właśnie, że rozumieli się bez słów.

Szli potem razem, wtuleni w siebie, wymarłymi ulicami; na mokrych trotuarach rozmazywały się ich cienie; podłużne, fantastyczne, zmieniające się w świetle mijanych latarni. Tak ich zastał poranek, który wschodził nad domami szary, mglisty.

- Jeździłem na pajaka u prywatniaka - mówił - miał twardą rękę. Bił o byle co.. Mieszkał w bursie w Legnicy. Ale nie mogłem już znieść, dostosować się do tego rygoru. Zwiąłem. Potem...

Potem było rozmaicie. Tego wieczoru opowiedziałem Ci wszystko.

Wszystko, co od lat zamknąłem w sobie. Słuchałaś w milczeniu, ścisłałaś moja rękę, wsłuchiwałem się w bicie twojego serca, już

wtedy były razem. Żaden inny wieczór nie był taki piękny jak właśnie te: szary i rozplakany. Tak strasznie zmokliśmy. Pamiętasz? Ile razy potem wyciągałaś mnie z tego wszystkiego. Gdy potem szliśmy do personalnego, aby w podaniach o urlop napisać: ślub - ludzie oszaleli. "Złamię Ci życie". "zabije Cię po pijanemu", "przepije wszystko". Wtedy już śmiałaś się z nich. Z tym właśnie uśmiechem weszłaś w moje życie. Twój radosny uśmiech był moim poręcznikiem. Z błota nie łatwo się wygrzebać. Pomagali mi wszyscy. Ty, koledzy, organizacja. Każda cegiełka nowego domu była dla mnie drogowskazem. Każda Wasza ręka, każda cegiełka tworzyła te siłę. Która mnie zwróciła - zresztą czy tylko mnie? Ktoś kiedyś powiedział, że nasze życie, nasza praca, olbrzymie tempo, jakie to życie nadaje, to siła brutalna. Nie przypominam już sobie, gdzie słyszałem to zdanie. Ale jeśli tak, to szlachetna w swojej brutalności, porywająca jak fala. Widzisz teraz, gdy stoimy na balonie zawieszonym nad uśpionym miastem - te dalekie migocące światła? To Żerań, Huta Warzsawa, Wesoła, Ziemowit, Fabryki, domy, ulice, drzewa, dzieci, pola... to wszystko właśnie tworzy tę porywającą falę, siłę. Która czuwa nad nami i dzięki której jesteśmy szczęśliwi. Kocham Cię pamiętaj, Wanda!

Pierwszy krok w chmurach

Jerzemu Ówiertni

W sobotę centrum miasta wygląda tak samo jak w każdy inny dzień tygodnia. Jest tylko więcej pijanych; w knajpach i barach, autobusach i bramach - wszędzie unosi się zapach przetrwonionego alkoholu. W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz - w sobotę miasto ma pijaną mordę. Natomiast w centrum miasta, w sobotę, nie ma ludzi, którzy lubią obserwować życie: stać w bramach, włóczyć się po ulicach, siedzieć na ławce w parku godzinami, i to tylko po to, aby za lat dwadzieścia móc sobie przypomnieć, że tego to a tego dnia widziało się mniej lub bardziej dziwny traf życiowy. Tak jak wysłańcy chadzający jeszcze podczas okupacji w czerwonych czapkach, tak jak handlujący suchym piaskiem, jak podwórzowi śpiewacy o przepitych tenorach - w centrum miasta wymarli obecnie obiektywni obserwatorzy życia.

Obserwatorów można spotkać jedynie na przedmieściu. Życie przedmieścia zawsze było i jest bardziej zagęszczone; na przedmieściu w każdą sobotę, kiedy jest pogoda, ludzie wynoszą krzesła przed domy; odwracają je tyłem i usiadłszy okrakiem, obserwują życie. Upór obserwatorów nosi czasem znamiona genialnego obłądzenia; czasem siedzą w ten sposób przez całe życie i nie widzą nic prócz twarzy obserwatora z przeciwka. Potem umierają z głębokim żalem do świata, z przekonaniem o jego szarzyźnie i nudzie, gdyż rzadko kiedy przyjdzie im na myśl, że można podnieść się i pójść na sąsiednią ulicę. Obserwatorzy życia na starość stają się niespokojni. Miotają się, patrzą na zegarki; jest to jeden z śmiesznych nawyków starych ludzi - pragną ratować czas. W pewnym okresie chciwość życia i wrażeń staje się u nich silniejsza niż u dwudziestolatków. Dużo gadają, dużo myślą: uczucia ich są dzikie i

tępe zarazem. Potem gasną szybko i spokojnie. Umierając wmawiają wszystkim, że żyli szeroko. Impotenci chwala się sukcesami u kobiet, tchórze - bohaterstwem, kretyni - mądrością życia.

Pan Gienek - z zawodu malarz pokojowy - od czterdziestu lat mieszkał na Marymoncie i od tyluż lat obserwował życie swej dzielnicy. Owej soboty pan Gienek także siedział przed swoim domem w ogródku i bezmyślnie patrzył w ulicę. Od czasu do czasu spluwał i oblizywał spieczone wargi; wygasający dzień był upalny i dręczący. Pan Gienek był rozdrażniony; nie zdarzyło się nic ciekawego w dniu dzisiejszym, nikt nie złamał ręki, nikt nikogo nie pobił i pana Gienka ssało uczucie pustki i nudy - kopnął psa, który nawinał mu się pod nogę, i ponuro ziewając patrzył na ulicę. Była pusta, przejeżdżające z rzadka samochody podnosiły tumany rozparzonego piasku. Kiedy stracił już całą nadzieję na ujrzenie kawałka życia, uczuł, że ktoś trąca go w ramię. Podniósł senne oczy i zobaczył swego sąsiada, Maliszewskiego.

- Chodź pan - powiedział Maliszewski.

- Gdzie?

- Niedaleko.

- Po co?

- Chcesz pan coś zobaczyć? - powiedział Maliszewski.

Był to niski człowiek o dobrodusznej twarzy i chytrych oczach. Ruchy jego - mimo pozornej ociężałości - były szybkie i zwinne jak ruchy młodego kota.

- Co jest? - zapytał pan Gienek; ziewnął, był zmęczony upałem.

- Chłopak - powiedział Maliszewski.

- I co z tego?

- Satyra - powiedział Maliszewski. - On jest z dziewczyną. Już pan rozumiesz?

- Jasne - rzekł pan Gienek. Podniósł się; w serce jego wstąpiła nadzieja. Zapytał z ożywieniem: - Ładna?

- I ładna, i młoda - rzekł Maliszewski. - Mówię panu, dobra robota tam odchodzi. - Nagle zniecierpliwiał się: - Idziesz pan czy nie? - zapytał.

- Nic z tego nie będzie - powiedział pan Gienek. - Zanim tam dojdziemy, to oni skończą. Mówię panu, że nic z tego nie będzie.

- Oni nie mają po pięćdziesiątce tak jak pan - powiedział

Maliszewski. - Mogą się bardzo długo bawić w ten sposób. Ja jak byłem młody, to też mogłem się w ten sposób bawić godzinami.

Naprawdę tak było. Wstąpimy po mojego szwagra i podskoczmy tam, chce pan? On już wrócił z roboty i chętnie pójdzie z nami. O, patrz pan, już idzie!

Rzeczywiście, ulicą szedł młody, tęgi mężczyzna. Rękawy koszuli miał podwinięte, w zębach trzymał trawkę. Oczy jego były senne i drwiące, powieki - ciężkie.

- Heniek - zawołał Maliszewski - pozwól tu na chwilkę!

Heniek zbliżył się i oparł o płot. Czoło jego było mokre od potu.

- Cześć - powiedział. - Co u pana, panie Gienku?

- Heniek - powiedział Maliszewski - chodź z nami.

- Gorąco - powiedział Heniek; obliznął wargi i westchnął:

- Nie ma czym oddychać. W taki upał nawet świętemu by nie stanął.

Gdzie chcecie skoczyć?

- Byłem na działce - rzekł Maliszewski. - Widziałem chłopaka z dziewczyną.

- Szmata? - zapytał Heniek. Wypluł trawkę, potem zerwał nową i

przygryzł ją mocniej zębami.

- Skąd - powiedział Maliszewski. - Mówię ci: młoda i ładna.

- Możemy podskoczyć - powiedział Heniek. - Ty mnie znasz: ja lubię popatrzeć na życie. Jeśli dziewczyna będzie brzydka - zwrócił się do Maliszewskiego - to ty coś dzisiaj postawisz.

Ruszyli i szybko poszli wśród działkowych ogródków. Ludzie przychodzili tu po pracy, aby doglądać swych kartofli, pomidorów i marchwi. Teraz jednak było pusto: parny, drętwy dzień zmęczył wszystkich - ludzie siedzieli w domu.

- Duszno - powiedział Heniek. - Ja nic nie mogę robić w taki dzień. Głowa mnie boli cały czas.

- Tamtych też chyba gorąco - powiedział pan Gienek.

- Myślę - rzekł Maliszewski. - My ich ochłodziemy. Tak, Heniek?

- W zeszłym roku - powiedział Heniek - tutaj też przychodził taki jeden gość z dziewczyną. Całe lato tu przychodzili.

- I co?

- Nic. Pewnie nie mieli mieszkania.

- Pobrali się? - zapytał z wysiłkiem Gienek; marzył o szklance zimnego, gorzkawego piwa.

- Nie wiem. Może i tak, że się pobrali. Też była ładna dziewczyna.

- Blondynka? - zapytał znów Gienek; nic a nic go to nie obchodziło.

W dalszym ciągu czuł dręczącą pustkę i niesmak.

- Brunetka - rzekł Heniek. - Pamiętam jak dziś. Ten facet był blondyn. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna chodzi z takim łachudrą.

- Nie wiem - mruknął pan Gienek. Splunął gęstą śliną. Był zły na Heńka: przypomniał mu, że on sam ma brzydką i dość głupią żonę.

Powiedział: - Pewnie jakaś szmata.

- Może?... Teraz cicho - rzekł Maliszewski. Poszedł przodem, oni ruszyli za nim wolno, starając się nie robić hałasu. Było już szarawo: słońce uciekało, na trawie kładły się błękitnawe cienie.

Maliszewski w pewnym momencie odwrócił głowę i zawołał cicho: - Chodźcie!

Podeszli na palcach kilka kroków i zobaczyli chłopaka z dziewczyną. Leżeli obok siebie. Dziewczyna oparła swoją głowę o ramię chłopaka i przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli zmęczeni miłością i upałem, byli młodzi i ładni oboje - jedno ciemne, drugie jasne. Sukienka dziewczyny była uniesiona; miała długie, mocne brązowe nogi.

- Ładna - rzekł Heniek. - Bardzo ładna.

- Mówiłem - powiedział szeptem Maliszewski.

Stali w milczeniu: pan Gienek znów oblizwał wargi i pomyślał o swojej żonie z dreszczem nagłego wstrętu. Maliszewski uśmiechnął się głupkowato. Heniek jeszcze bardziej opuścił ciężkie powieki i przestępował z nogi na nogę. Nagle zapytał z rozdrażnieniem:

- Robimy coś?

- Ty - powiedział Maliszewski. - Zrób im coś takiego, żeby się nie pozbierali ze śmiechu do końca życia. Ty to możesz zrobić, Heniek.

- Heniusz - powiedział pan Gienek - najlepiej ich nastraszyć. -

Przytknął palcami i powtórzył: - Ona jest strasznie ładna. Już dawno nie widziałem takiej lalki. Jeszcze dziecko. Nie powinni tego robić.

- Nagle zniecierpliwiał się i rzekł do Heńka: - Zrób im pan coś, bo jak nie, to ja im bombę zasunę.

- Czekaj pan - powiedział Heniek. - To już lepiej ja.

Patrzył chwilę na brązowe uda dziewczyny i na twarzy jego malowała się męka. Potem wyszedł zza drzewa i stanął przed młodymi.

Zmrużywszy oczy, rzekł:

- W tatę i mamę się bawicie? Smacznego!

Maliszewski i pan Gienek wybuchnęli śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i wyjąkał:

- Czego pan chce?

- Niczego - powiedział bardzo wolno Heniek. Stał przed chłopakiem i kołysał się na nogach. Gryzł w dalszym ciągu trawkę i spluwał zielonkawą śliną. Potem powiedział:

- Uważaj, jak jedziesz, kochany. To ci przyszedłem powiedzieć. Zawsze uważaj jak jedziesz.

Maliszewski wyszedł zza drzewa i stanął obok Heńka.

- Ładna dziewczyna - powiedział patrząc na nią burymi oczkami. - Ja bym sam chciał taką poznać. Może się zapoznamy, proszę panią.

- Idiota - powiedziała dziewczyna. Stała za chłopakiem; była czerwona i zdenerwowana; pan Gienek patrzył, jak drżą jej szcuple plecy, i raz jeszcze pomyślał ze wstrętem o swojej brzydkiej, grubej i nieforemnej żonie.

- Ty, ty, szmata - powiedział Maliszewski; oczy nabiegły mu krwią z wściekłości. rzekł szybko, jakby się dusząc: - Ty jesteś zwyczajna kurwa, rozumiesz? Ja mam córkę starszą od ciebie, ty kurewko.

- Niech pan stąd odejdzie - powiedział chłopak, błagalnie patrząc im w oczy. - Ja pana proszę, niech pan stąd odejdzie. Myśmy panu niczego nie zrobili. Ja pana strasznie proszę.

- Kogo ty prosisz, Janek? - powiedziała dziewczyna. - Tego starego durnia?

- Zamknij swojej pani mordę - powiedział Heniek - bo inaczej ja jej zamknę. I sam też nie pajacuj. Mówię ci, zamknij jej mordę.

- Sam masz mordę - powiedziała dziewczyna. Patrzyła na niego z pogardą. Była nieprzytomna ze zdenerwowania, lecz usiłowała się roześmiać szyderczo. - Bydlak - powiedziała i wybuchnęła płaczem.

- Ej, ty - powiedział Heniek i szarpnął ją za rękę. - Komu ty wymyślasz? Przychodzisz się tutaj puszczać i jeszcze coś mówisz? Chłopak szarpnął się; uderzył Heńka w twarz - raz i drugi. Stało się to tak szybko, że Heniek zdążył tylko zamrużyć oczami. Lecz w następnej chwili złapał chłopaka za włosy i trzasnął twarzą w swoje kolano. Potem uderzył go pięścią w usta i rzucił na ziemię.

- Dosyć, proszę klienta? - zapytał. - Jak nie dosyć, to ja mogę klienta obsłużyć dodatkowo. Taryfa ulgowa; tu jest bardzo miły cmentarz. - I wybuchnął stekiem najplugawszych obelg. Zamknął oczy, lecz ciągle widział brązowe, długie nogi dziewczyny.

- Chodź, Janek - powiedziała dziewczyna. Otarła chłopakowi twarz z krwi. Rzekła do nich: - Policzymy się jeszcze. - I kiedy odeszli już na parę kroków, krzyknęła histerycznie: - Jesteście stare szmaty, nie mężczyźni!

Wracali do domu. Znow szli wśród ogródków działkowych.

- Parno - powiedział Heniek. - Prawdopodobnie, że będzie padać. - Westchnął i rzekł: - To była ładna dziewczyna. Dlaczego jej powiedziałeś, że jest kurwa? Przecież jej nie znasz. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ja przecież nie powiedziałem, że ona jest taka - rzekł Maliszewski. - To ty powiedziałeś.

- Ja?

- Ty.

- Nie wygłupiaj się. Ja jej wcale nie znałem.

- Ja ją znałem - powiedział Maliszewski. - Ja już ich tutaj widziałem nie pierwszy raz. Oni się bardzo kochają.

- Co będzie dalej? - zapytał pan Gienek.

- Nie wiem, co będzie dalej. Ale wiem, że oni z sobą chodzą. I wiem, że oni dzisiaj pierwszy raz z sobą.

- Skąd? - zapytał leniwie pan Gienek.

- Słyszałem, jak ją prosił. I on się bał, i ona się bała. Słyszałem, jak się namawiali. Bali się dziecka, tak mówili. Ale chyba bardziej siebie.

- Tak zawsze bywa ten pierwszy raz - powiedział Heniek. - Ja też się bałem.

- Każdy się bał tego pierwszego razu - powiedział Maliszewski. - Ale po co ty go zaprawiłeś?

- Sam chciałem.

- Nie wiedziałem, że to tak wyjdzie. On do niej tak dziwnie mówił...

- Jak?

- Nie pamiętam.

- Chmurzy się - powiedział pan Gienek.

- On właśnie coś mówił o chmurach - powiedział Maliszewski. - Jakiś wiersz. Mówię wam, oni się kochają.

- Już teraz nie będą się kochać - powiedział pan Gienek. - Będą siebie mieli dosyć na zawsze. Po takim czymś nie będą mogli patrzeć na siebie. Niepotrzebnie to wszystko wyszło.

- Ja już wiem - powiedział Maliszewski. - Przypomniało mi się. On tak jej mówił, że jak on ją tego, to będzie ich pierwszy krok w chmury. On to mówił, tylko że do wiersza. A ona tylko: "Boję się. Boję się" i płakała.

- Może się bała bólu?

- Nie myślę - rzekł Maliszewski. - Nie myślę, żeby się bała bólu. To przychodzi potem. Życie, inni ludzie, plotka. Ale ten pierwszy raz, to naprawdę jak w chmurach. Zakochani niczego nie widzą.

- My też? - zapytał Heniek.

- Oni teraz już nie będą się kochać - powiedział pan Gienek. - Ja sam wiem, że jakby mnie coś takiego spotkało, tobym już potem nie kochał dziewczyny.

Zmarkotniał nagle: znów ssala go pustka. Wyszli z ogródków i znów szli ulicą.

- Nie - powiedział Heniek. - Oni już teraz nie będą się kochać. Mnie też spotkało kiedyś coś takiego. I nie kochałem już potem tej dziewczyny.

- Każdego z nas spotkało kiedyś coś takiego - powiedział Maliszewski. - Ale po co ty mu dałeś w japę?

- On mnie pierwszy uderzył - rzekł Heniek. - Zajdziemy na to piwo?

- Możemy zajść. Ta dziewczyna to już chyba nie przyjdzie.

- Chyba nie - powiedział pan Gienek. - I za co pan ją tak nazwał?

- Moją dziewczynę też tak ktoś kiedyś nazwał - powiedział Maliszewski. - I jak Boga kocham, do dziś nie wiem za co.

- I nie kochałeś się pan już potem?

- Nie - powiedział Maliszewski. Milczał, potem rzekł z nagłą złością: - Dajcie mi spokój, do cholery! Nie wierzę w żadną miłość. Kobiecie swojej też nie wierzę. Nikomu nie wierzę.

- Głupia sprawa - powiedział Heniek. Spojrzał na niebo i powiedział: - Chmurzy się. To jak on tam mówił?

- Zdaje się, że krok w deszcz czy coś takiego - powiedział zmęczonym głosem Maliszewski. - Chodźcie na to piwo... Albo o deszczu, albo o burzy... Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać. Gdybym nie pamiętał, nie byłoby tej całej awantury.

- Będzie jutro deszcz - powiedział Heniek.

- Zawsze w niedzielę pada deszcz - powiedział pan Gienek. Skrzywił się: raz jeszcze pomyślał o swojej ohydnej żonie, o chłopaku, o dniu jutrzejszym, o ślicznej dziewczynie, o jej długich, brunatnych nogach, o jej piersiach, o jej czerwonych, świeżych ustach, o jej opalonym, silnym karku, o jej zielonych przerażonych oczach i powtórzył bełkotem, gdyż musiał coś powiedzieć: - W niedzielę zawsze pada deszcz...

Robotnicy

Wacławowi Sadkowskiemu

Pracowaliśmy na równinie. Była to monotonna równina. Pieśń o niej nie zabrzmiała ani jednym silniejszym dźwiękiem. Nie było tu lasów ni wzgórków - gdziekolwiek obróciłeś wzrok, pola i wsie osiadły płasko; odnosiłeś wrażenie, że patrzysz na wewnętrzną powierzchnię swej dłoni powiększoną monstrualnie. Ginał twój wzrok; czasem myślałeś, że w ogóle nie masz oczu i jesteś ślepcem. Człowiek głupiał.

Kazimierz powiedział do mnie kiedyś:

- Gdybym nie był komunistą, nienawidziłbym tego miejsca tak, jak nienawidzi śmierci człowiek, który kocha życie. Ja tu umieram. Pochodzę z Sandomierskiego; tam ziemia jest bujna i gorąca. Jak tylko skończymy budować ten przeklęty most, nie wrócę tu już nigdy i zabronię tu przyjeżdżać swoim dzieciom.

Betoniarz Stefan, chłopak z warszawskiego Marymontu, mówił:

- Jak tylko skończymy budować ten cholerny most, to jak nie piję, urznę się jak świnia, potem trzy dni odpoczywać będę w komisariacie. Boże! Gdyby tu chociaż był komisariat... Pół roku klepię już ten przeklęty most; oszaleję chyba, przez ten czas nie widziałem ani jednego drzewa!

Zbrojarz Kamiński, człowiek starszy, poważny i nadzwyczaj religijny, mówił:

- Po co ja tu, cholera, przyjechałem? Ja tu przestaję wierzyć w Boga. Zdaje mi się, że Bóg stwarzając świat zapomniał o tym kawałku ziemi, a może go i przeklął. Ja tu nie mogę żyć.

Ja sam starałem się milczeć. Nocami wychodziłem na dwór i patrzyłem w niebo; nad tą ziemią ono także wydawało mi się płaskie i nudne, gwiazdy - niepotrzebne i drażniące. Nie zaglądali tu do nas inni ludzie; samych siebie znaleźliśmy już na wylot: każdy z nas wiedział wszystko o żonie, dzieciach, domu czy kochance drugiego. Zdawało nam się, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, co można. Ja sam myślałem, że nie wyrwę się stąd już nigdy; przestałem wierzyć, że istnieją gdzieś miasta, ulice, p r a w d z i w e domy.

Mieszkaliśmy w barakach: sklecono je byle jak, sposobem gospodarskim; w praktyce oznaczało to nasz ciągły i bezpośredni kontakt z przyrodą i klimatem. Gazety na budowę przywoził nam listonosz z miasteczka odległego o kilkanaście kilometrów; gdy pił normalnie - gazety spóźniały się o jeden dzień; gdy trochę mocniej - gazety spóźniały się o dwa dni; a jak go przycisnęła chandra - to przez cały tydzień nie wiedzieliśmy, co się dzieje na świecie. Raz betoniarz Stefan pobił listonosza, lecz to nic nie pomogło; wręcz przeciwnie - życzenia, przesłane nam przez rodziny na Nowy Rok, odebraliśmy po Trzech Królach.

Jesienią do naszych baraków kapała wilgoć; odrywaliśmy ze ścian zdjęcia naszych drogich i chowaliśmy je do drewnianych kuferków, pod prycze. Zimą hulały dzikie wiatry, z żelaznych piecyków buchały kłęby czarnej sadzy, osiadając na naszych ubraniach lepką i tłustą powłoką; chodziliśmy zakatarzeni; głosy nasze brzmiały niczym głosy rzeźmieszków. Przestaliśmy się golić i myć, gdyż w barakach panowało niemożliwe zimno; Kazimierz ze swoją czarną brodą wyglądał jak Madej; siwy zbrojarz Kamiński - jak patriarcha; blond szpicbródka Stefana z Marymontu nieodparcie przywodziła na myśl postać głupawego gogusia z operetki; a najżałośniej wyglądałem ja sam. Zarost mam nietęgi, rosnący rzadkimi kępkami; twarz moja wskutek tego budziła wątpliwości, czy od czasu kąpieli, jaką uraczono mnie zaraz po przyjściu na świat, spotkała się z wodą.

- Cóż - mówiliśmy. - Aby do wiosny.

Przyszła wiosna; późna, zimna i o wiele gorsza od jesieni. Jednego dnia padał ohydny deszcz, następnego - kaszowaty śnieg; wiatr podcinał go i chłostał nim po naszych twarzach. Kombinezony nasze nie wyschły już nigdy; oczy mieliśmy czerwone od ciągłej gorączki. W barakach zawaliło się pół dachu; dwa dni trwało, nim poradziliśmy sobie jako tako. Na szarym niebie od czasu do czasu ukazywało się blade słońce; w kałużach, którymi pokryty był cały plac budowy, wyglądało ono jak oczko żółtego tłuszczu. Podnosiliśmy ku niemu nasze umęczone twarze; słońce zaraz znikało.

Kazimierz mówił:

- Co, do diabła spuchniętego! Gdybym nie był partyjniakiem, uciekłbym stąd do wszystkich cholier. Pojechałbym do swojego brata: on jest proboszczem pod Małkinią. Zostałbym u niego dziadem kościelnym. Tylko mi wstyd; to jedyna rzecz, która mnie tu trzyma. Myślę o dniu, w którym będę stąd wyjeżdżał: mój wrzask będzie słychać aż w dziesiątej wsi. A prawdę mówiąc, chłopcy, zaczynam czuć, że gdzieś mam ten cały nasz most.

Stefan mówił:

- Ech, sekretarzu! Aby do lata...

Jego nigdy nie opuszczał optymizm: jednego dnia kochaliśmy go za to, drugiego - nienawidzili i uważali za idiotę.

Po długiej i strasznej zimie, po cherlawej, nie donoszonej wiośnie - przyszło potworne, dręczące upałami lato; takich upałów nie

pamiętali w okolicy nawet najstarsi ludzie. Pot zalewał nam oczy, przeżerał koszule, spływał wzdłuż całego ciała; zima wydawała nam się teraz bajką. Byliśmy czarni; oblaźła z nas siódma skóra; pokryci pęcherzami jęczeliśmy w nocy, nie mogąc przewrócić się z boku na bok. Kamiński żegnał się i mówił ponuro:

- Boże, pokarałeś grzesznego...

Z nienawiścią patrzyliśmy na kilka kobiet, które pracowały wśród nas; gdyby nie one, moglibyśmy łązić nago. Zresztą - przestaliśmy na nie zwracać uwagę. Pewien inżynier, który przyjechał na inspekcję budowy aż ze stolicy, pół dnia chodził jak błędny, nie rozumiejąc, gdzie się znalazł. Potem rzekł do mnie, pokazując w moją pierś:

- Przepraszam, czy pan w domu także chodzi nago?

- Tak jest, panie inżynierze - odrzekłem. - Tylko jak jestem w domu, to jeszcze maluję się w pasy: seledynowe, błękitne i bordo. Tutaj nie mogę: na budowie mamy tylko minię. Gdyby pan inżynier był coś łaskaw zadziałać w tej sprawie!

Spojrzał na mnie białymi oczyma szaleńca i rzekł:

- To dziwne. To bardzo dziwne.

Budowaliśmy most. Budowaliśmy go nie z pieśnią, nie z ochotą; choć wiedzieliśmy, że pracować trzeba i że piękną rzeczą w życiu człowieka jest praca. Ten most budowaliśmy nienawiścią, rozpaczą, chęcią ucieczki z tej równiny, która jak polip wysłała nasze serca i nasze dusze; marzyliśmy o jednej rzeczy: aby nigdy już tu nie powstała tu nasza noga. Dobieraliśmy ohydne przekleństwa; przestaliśmy mówić - porozumiewaliśmy się klątwami. Gdy ktoś z nas użył zwykłego słowa, reszta patrzyła nań ze zdumieniem. Kazimierz gryzł się z tego powodu i kłął najbardziej złowieszczo. Stefan doszedł do mistrzostwa budowy: kłął przez godzinę i kwadrans bez przerwy, nie powtarzając ani jednego przekleństwa; nazwaliśmy go "Słownikiem mostu". Zbrojarz Kamiński dawno już zważył w swe zbawienie wieczne i trzy książeczki do nabożeństwa sprzedał listonoszowi za ćwiartkę wódki. Ja ułożyłem na cześć mostu pewien poemacik, wobec którego fraszka wydaje mi się dziś pewne pikantne skądinąd bezceństwa dziadka Fredry. marzyliśmy tylko o jednej rzeczy: o dniu, który będzie naszym ostatnim dniem t u t a j.

I zbudowaliśmy ten most. Lecz nie mieliśmy siły na to, aby się urznąć, tańczyć lub śpiewać; tego dnia Kamiński nie przeżegnał się nawet na dobranoc.

Most obwieszono transparentami; dziatwa szkolna, którą przywieziono tu na trzech ciężarówkach, śpiewała pieśni masowe; wygłaszano mowy, przecięto wstęgę, maszynista rzucił z parowozu pęk kwiatów, a orkiestra wojskowa, także sprowadzona na ciężarówkach, po raz dziesiąty grała tego samego marsza; operator kronik filmowych szalał z kamerą, czepiając się jak pajak poręczy mostu. Młody człowiek z Radia mówił do mikrofonu:

- Widzimy twarze budowniczych tego mostu. Są pełne wielkiej dumy i

radości. Widzimy przodowników pracy i młodzież, która wychowała się na budowie tego mostu. Masa kwiatów! Ach, żeby państwo widzieli, żeby państwo mogli tu być z nami! To wspaniały dzień dla wszystkich budowniczych tego mostu! Widzimy twarz towarzysza Kazimierza Rogalskiego, sekretarza organizacji zakładowej. To twarz człowieka, który jest dumny i szczęśliwy ze spełnionego obowiązku. To na pewno najszczęśliwszy dzień w życiu tego człowieka.

Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Kazimierz podbiegł do spikera, wyrwał mu mikrofon i podniósłszy go na wysokość swej wykrzywionej wściekłością twarzy, ryknął:

- Gówno!

Uroczystość była popsuta; poszliśmy spać i spaliśmy dwa dni. Potem przyjechało wiele ciężarówek. Załadowaliśmy nasze drewniane kuferki, rozebraliśmy baraki, Kamiński wzniósł pięść w kierunku mostu (nabawił się tu reumatyzmu) i - pojechaliśmy.

Ciężarówki mknęły. Był to ten wymarzony dzień; wracaliśmy do domów, do naszych bliskich. Tam - został most. Był coraz mniejszy: każdy obrót kół oddalał nas od niego. Milczałem. Milczeli wszyscy. Myślałem, że będą kłać, śpiewać i wrzeszczeć. Czekałem na ryk Kazimierza. Na taniec Stefana. Na dziękczynne modły Kamińskiego. Na westchnienia ulgi. Na żartobliwe słowa i radość z bliskiego domu. Lecz milczeli. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że wszyscy patrzą w kierunku mostu; był już tylko małą kropeczką. Targnęło mnie.

- No - rzekłem. - Czemu nic nie mówicie? Mieliście śpiewać. I co?

Milczeli; nikt nie zwrócił nawet uwagi na mnie. Krzyknąłem:

- Mówcie coś! No, mówcie coś, do ciężkiej cholery!...

Milczeli; widziałem, jak wytężają wzrok ze wszystkich sił.

- Mówcie! - zawyłem dziko.

- M... m... - wybełkotał betoniarz Stefan z Marymontu; machnął ręką i umilkł.

Już nie było widać naszego mostu; został na równinie i przydymiły go opary mgieł. Wtedy zrozumiałem, że most ten - jest już tylko wspomnieniem. I ci, którzy będą po nim jeździć i chodzić, nigdy nie dowiedzą się, że ten most jest tylko naszym mostem. Płakaliśmy. Płakaliśmy wszyscy; miałem wtedy dwadzieścia lat i płakałem także, choć nie za dobrze wiedziałem dlaczego. Brakowało mi czegoś, co pozwoliłoby mi zrozumieć jasno i czysto nasze łzy. Bo dziś wiem już, że często najbardziej kochamy tych ludzi, te sprawy i te rzeczy, od których bieg życia każe nam odchodzić - nieraz na zawsze.

1955

Śliczna dziewczyna

Była to rzeczywiście śliczna dziewczyna. Ludzie przychodzący do tego parku - nawet tacy, którzy czynili to od wielu lat - nie pamiętali, aby zjawiała się tutaj kiedykolwiek choć jedna taka, która mogłaby stanąć koło niej. Ta dziewczyna podrywała wiarę w materialność świata; przechodzący obok ławki, na której siedziała, doznawali wrażenia, iż przeszli pięć kroków w innym świecie. Nawet staruszek, od lat łąjący tędy z laską zakończoną szpikulcem, otworzył usta i szedł tak aż do końca alejki. A staruszek ten wiele widział, wiele mógłby powiedzieć o majowych nocach, kiedy - dusząc się ze złośliwej satysfakcji - wypłaszał stąd ubogich kochanków.

Dziewczyna siedziała na ławce z chłopcem. Chłopiec nie mógł mieć więcej lat od niej - to znaczy dziewiętnaście lub dwadzieścia. Był także ładny, lecz ona gasiła go każdym, nawet najbardziej nieznacznym ruchem lub spojrzeniem. Ta dziewczyna miała w sobie kawał słońca - tak myśleli przechodzący tędy. W pewnym momencie rzekła:

- Późno już. Muszę iść.
- Jak chcesz - powiedział chłopiec. - Mnie tutaj dobrze.
- Zrobisz to, o co cię proszę, czy nie?
- Już ci powiedziałem.
- Będziesz żałował.
- To moja sprawa - powiedział chłopak. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów: prztyknął w denko, wyciągnął jednego i zapalił. Potem schował paczkę z powrotem.
- Ja też palę - rzekła dziewczyna.
- To bardzo niedobrze. Nikotyna szkodzi na zdrowie. Poza tym człowiek brzydnie.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Oczy miała brązowe, ciemne: migotała w nich miodowa gwiazdka. Chciała coś powiedzieć, lecz przechodził koło nich jakiś mężczyzna w granatowym kiepskim garniturze.

Był to nieznacznym urzędnik: nie osiągnął w życiu niczego, gdyż brakło mu i talentu, i wytrwałości. Jak każdy tego rodzaju człowiek uważał się jednak za skrzywdzonego i niezrozumianego. Popatrzył na śliczną dziewczynę i pomyślał: "Mój Boże! Gdybym ja miał taką! Może by to wszystko zaczęło być inne? Taka kobieta może odmienić wszystko; może dla niej wziąłbym się jeszcze za coś? A tak - złamane życie. Ech, cholera! Muszę iść do kina. Człowiek zaczyna się rozklejać..." Posmutniał i przyspieszył kroku.

Skoro tylko przeszedł, dziewczyna zapytała chłopca:

- Dasz czy nie?

- Nie lubię się powtarzać - odparł.

Patrzyła na niego swymi ciemnymi oczyma i rzekła cicho:

- Ty skurwysynu.

Roześmiał się. Kopnął czubkiem buta kamyk leżący na ścieżce i powiedział bardzo cichym, melodyjnym głosem:

- Popełniasz małą omyłkę: nie jestem twoim dzieckiem.

- Gdybyś był moim dzieckiem - rzekła - wiedziałabym, co z tobą zrobić.

Spojrzał na nią z ukosa i odparł:

- Dlaczego więc radzisz się mnie, co zrobić ze swoim?

- Jest także i twoje.

- Ty bardzo pięknie mówisz - rzekł - i na pewno bardzo wzruszająco. Ale ja nie byłem wtedy sam. Był i Mietek, i Roman, i jeszcze paru innych. Dlaczego przychodzisz do mnie po forszę? Czy ja jestem świętym Mikołajem?

- Ja z tamtymi nic nie miałam.

- Wychodziłaś z nimi na dwór.

- Po to, żeby odetchnąć i przejść się kawałek. Była wtedy taka piękna noc...

- Ach tak - powiedział obojętnie. Zgasił papierosa i oparłszy ramiona o poręcz ławki, przeciągnął się. Patrzył chwilę na wygasające niebo, potem rzekł: - Przykro mi, ale ja już dawno przestałem wierzyć w cuda. Jeszcze nie słyszałem, aby dziewczyna szła w nocy nad rzekę z mężczyzną li tylko po to, aby popatrzeć na księżyc. Zwykle księżyc w takim wypadku kapuje na nich.

Dziewczyna uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Milczała; w rękę miażdżyła małą gałązkę. Ręce miała takie, jakie miewają Madonny na starych obrazach: długie, szczupłe nerwowe, żyjące własnym, pięknym życiem. Człowiek, który w tej chwili przechodził koło nich, spojrzał na nią, potem na jej ręce i zapało mu dech. Był on młodym pisarzem i marzył o napisaniu wielkiej, miłosnej powieści, na którą tak bezustannie i boleśnie oczekują ludzie. W tej chwili - z przerażającą jasnością - ujrzał całość; od wielu miesięcy już trzepotały mu się po głowie sceny, dialogi, twarze, lecz dopiero w tej chwili ujrzał swoje dzieło jako myśl skończoną. "Już mam - kombinował gorączkowo. - Teraz już mam. Oni spotkali się przypadkowo na ławce w tym parku. Zawiązuje się romans, pierwsza miłosna noc... Traktują to wszystko cynicznie, sportowo, gdyż tak sobie postanawiają, aby uniknąć komplikacji i rozczarowań. Lecz z czasem - przychodzi miłość. Wielka, obeszładniająca, rzucająca na kolana. Ale

oni nie mogą w to uwierzyć; dręczy ich cyniczny początek. Lecz w końcu rozumieją; pozostaną już razem, na zawsze złączeni uczuciem. To będzie rzecz pełna gniewu!..." Uradowany pogalopował do domu.

Dziewczyna powiedziała do chłopaka:

- Dobrze. Jak chcesz. Ale ja cię załatwię. Inni też dowiedzą się o naszej słodkiej tajemnicy. Wylecisz na zbity łeb. Zapomnisz, że chciałeś zostać inżynierem, mój drogi. Już ja ci pomogę.

Nie drgnąwszy odparł:

- Miła, zaczynasz być śmieszna, a to źle. Ja osobiście niczego w życiu nie boję się tak jak śmieszności.

- Mimo to będziesz śmieszny.

- Niezupełnie. Ja także mogę ci przypomnieć o pewnych faktach. Na przykład taki: jest noc, pewien chłopak będący w wojsku myśli o swej dziewczynie i marzy o chwili, kiedy będą razem. Pełni oczywiście wartość... Ładne, prawda? Tymczasem... - Zbliżył ku niej twarz i powiedział twardo: - Tymczasem dziewczyna bawi się w "Kameralnej" z dwoma podtatusiałymi facetami, którzy mają jeszcze sklepiki na ulicy Chmielnej i sflaczały nogi. Ta dziewczyna jedzie potem do jednego z nich, a jest zupełnie zalana. I potem ta dziewczyna barłoczy się z tymi facetami do rana. Rano oczywiście opowiada im wzruszającą historyjkę o tym, że jej ojciec siedzi niewinnie w więzieniu i że ona z matką cierpią głód. Potem pożyczą od jednego z nich pięćset złotych i kupuje sobie dwie pary nylonów. Życiowe, co?

- Tak sobie. Znam bardziej ciekawe bajeczki. Słyszałam historię o takim młodym chłopaku, który sfałszował pewne dane w ankietach, aby dostać się na studia, i wygłaszał wzruszające rzeczy do czasu, kiedy było mu to potrzebne. Nauczył się nawet mówić gwara podwarszawska, gdyż utrzymywał, iż jest autentycznym proletariuszem. Tymczasem tatunio przysyłał mu paczki z Nowego Jorku, tak że chłopak był nawet nieźle ubrany, gdyż tatunio umiał i tam robić ciekawe interesy. Tatunio, ten bezrobotny tokarz z ankiety. Jak myślisz: interesujące?

- Dam ci połowę - rzekł. - O resztę postaraj się sama.

- Nie, miły - rzekła. - Dasz wszystko albo...

- Albo co? - przerwał, brutalnie ścisnąwszy jej rękę.

- Nic. Nie będę się powtarzać. Nie chcę być śmieszna. Ja także niczego nie boję się tak jak śmieszności.

- Dobrze - rzekł twardo. Popatrzył na nią ciężko; uśmiechnęła się szyderczo. - Dam ci forszę za dwa tygodnie - powiedział.

- Wcześniej. To już i tak za późno.

- Trzeba było uważać, psiakrew!

- Komu ty to mówisz?

- Nie na wszystko trzeba się zgadzać, ty...

- Ciszej - syknęła.

Obok nich przechodziła para staruszków; byli siwi i zgarbieni. Przeżyli z sobą już wiele lat: byli wierzący i uważali, iż każdy dzień na tej ziemi darowany im jest od Boga. Dziękowali mu za to. Staruszka spojrzała na dziewczynę i rozplakała się nagle.

- Co ci jest? - zapytał mąż.

- Dlaczego Bóg nam nie dał takich pięknych dzieci? - rzekła. -
Dlaczego nam nie dał takich dzieci?

Staruszek uścisnął jej pomarszczoną i wiotką dłoń.

- Kochaliśmy się - rzekł. - Było nam dobrze. Bóg nam przebaczy, że nie zostawiamy nikogo. To przecież nie z naszej winy.

- Tak - powiedziała z trudem. Otarła łzy i westchnęła: - Jednak byłoby o wiele lepiej...

Zgarbieni odeszli w zielone alejki. Chłopak rzekł:

- Ja ci to zorganizuję. - Chwilę milczał, potem dodał: - Poczekam aż wyjdiesz za mąż.

- To co wtedy?

- Będziesz miała dzieci, dom, męża.

- To co wtedy?

- Nic. Zajdę czasem do was, poznasz nas ze swoim mężem... Pogada się czasami o starych dziejach.

- Więc w przyszłym tygodniu?

- Tak.

- Dobrze - rzekła. Podniosła swoją wspaniałą twarz do góry i na chwilę rozświetliło ją zachodzące słońce; każdy jej włos, każdy kawałek skóry, jej oczy, usta, ramiona, wszystko było przesiąknięte słońcem i pełne słońca. Patrzyła na zielone kopuły drzew, potem rzekła cicho: - Długo będziesz czekał.

- Na miłość długo się czeka.

- Ach, tak - szepnęła.

Nie rzekła już ani słowa; na twarzy jej gasła zorza, gdyż słońce uciekało za drzewa. W ostatnich jego promieniach ujrzało dziewczynę dwóch mężczyzn spieszących z pracy do domu. Obaj byli starszymi ludźmi; mieli porane twarze i siwe włosy na skroniach. Jeden z nich, niższy, spojrzał na dziewczynę i na twarzy jego odmalował się

ból.

- Co ci jest? - zapytał wyższy.

- głupstwo - rzekł niższy starając się uśmiechnąć. Przesunął ręką po czole ruchem człowieka bardzo zmęczonego i powtórzył: - Głupstwo. Wiem dobrze, że nie powinienem mieć smutnej gęby. Ale nie masz pojęcia, tak czasem trudno się cieszyć.

- Kiedy siedziałem przed wojną swoją dziesiątkę - powiedział niższy - to marzyłem, że jak skończy się walka, tak będą właśnie wyglądać nasze dziewczyny. Kiedy mnie wpakowali do pudła, byłem jeszcze bardzo młody, taki chyba jak ten chłopak, który z nią siedzi. Byłem naiwniakiem i w taki mniej więcej sposób wyobrażałem sobie komunizm. Dopiero jak mi zatańczyli po żebrach, moja wizja się nieco zmieniła.

- Więc dlaczego masz smutną gębę?

- Czasem jednak ciężko pomyśleć, że nigdy się nie miało takiej dziewczyny.

- Głupstwo - rzekł drugi. Dał sółkę w bok niższemu i powiedział: - Czy to w końcu ważne? Najważniejsze, że one są, że są takie piękne, że kochają swoich chłopaków i że są kochane.

Żołnierz

Działo się to w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. W tym czasie ludzi dziwiła jeszcze cisza: cisza niepokoiła i nie ufano jej; w dwa miesiące po dniu, w którym umilkły ostatnie strzały, wieśniacy wychodzili przed domy i przesłaniając oczy dłońmi, spoglądali w bezchmurne niebo; ciągnące klucze ptaków wciąż nieuchronnie przywodziły na myśl nadlatujące samoloty, a Żydzi na ulicach miast wciąż jeszcze osłaniali swe twarze i mieli trwogę w oczach.

Idący obok kobiety żołnierz mówił:

- Czy baliśmy się? Trudno jest na to odpowiedzieć. Niektórzy mówią, że odwaga siedzi na krześle, którym jest strach. Ale czy to prawda? Chyba nie. Tam trzeba było wybierać, rozumiesz? Trzeba było wybierać choćby po to, aby wiedzieć, z czym się umiera. Strach przychodził czasem, a wtedy człowiek się kurczył. Strach przychodził nawet podczas snu; czasem jedliśmy, z daleka od frontu, i nagle czułem, że się boję. Każdy z nas miał taką chwilę; niektórzy budzili się w nocy i krzyczeli. Byli wtedy jak małe dzieci...

Żołnierz przerwał i zapalił papierosa. Wyszli poza miasto; zostały już za nimi ostatnie nędzne domki i gospodarstwa ogrodników; szli teraz biegnącą wśród pól wąską ścieżką. Oślepiało ich słońce, nagrzana ziemia pachniała sianem i wiejskim mlekiem. Żołnierz milczał. Idąca obok kobieta patrzyła na twardą i surową twarz jego;

czekała nań wiele lat i marzyła teraz, aby żołnierz przestał mówić już o t a m t y m i rzekł coś zwykłego - o pogodzie, ziemi i słońcu. Wydawało się jej, iż z chwilą, kiedy powie on pierwsze takie słowo - nie powróci już do swych wspomnień, a wtedy i jemu, i jej uda się o tym wszystkim zapomnieć. Zaciskała dłonie i w myślach poddawała mu rozmaite słowa; wiedziała, że ją kocha: powinien więc być odgadnąć jej myśli.

Lecz żołnierz mówił:

- W batalionie mieliśmy jednego takiego; był chłopem i marzył tylko o tym, aby powrócić i uprawiać nadal swoją ziemię. Wszyscy wiedzieli o nim, że się boi. On się bardzo bał i jego strach działał na innych; to uczucie jest zaraźliwsze od tyfusu i trudniej się potem z tego wyleczyć. Kiedyś słyszałem, jak po cichu życiono mu śmierci, i dopiero dzisiaj rozumiem, że było to okrutne; wtedy jednak pragnąłem żyć, a ten człowiek niósł w sobie śmierć. On się bał, bał się tak, że przez cały czas miał białe oczy. A przecież zginął jak bohater, ba, jak batalion bohaterów! Pewnego razu szliśmy przez wieś. Uciekali zewsząd ludzie, wozy były załadowane, pędzono bydło, wieziono starców i chorych, którzy umierali na wozach; pamiętam jednego człowieka: niósł na ramieniu pług. Odchodzili zostawiając całe domy i nietkniętą ziemię; tam, gdzieśmy się bili dotychczas, z domów nie zostało ani śladu, a ziemia była zryta po trzykroć. Tutaj pozostawała nietknięta; rosło na niej kielkujące zboże. Rozumiesz? Cofamy się; on wiedział, że ziemię tę oddajemy na razie bez walki, a ci, którzy tu przyjdą po nas, zatrują ją i zgwałcą. Wtedy w tym żołnierzu obudził się gniew. A przecież nie był to nasz kraj, było to bardzo daleko stąd. Ten żołnierz tam został, ale bił się jak diabeł, jak sto diabłów. Pamiętam, że nazywaliśmy go Grzesiem; nawet nie wiem, jak nazywał się naprawdę...

Zerwał kulę ostu i rozdmuchał ją sobie na dłoni; gorący wiatr owiewał jego twarz i żołnierz mrużył oczy. Przed nimi biegł pies, którego żołnierz przywiózł sobie z wojny; pies ten miał bardzo śmieszne uszy i kusy ogon; nazywał się Granat. Kobieta nienawidziła tego psa i zamykała oczy, ilekroć podbiegał do niej łaszcząc się i liżąc ją po rękach. Żołnierz przywiózł z sobą wiele rzeczy; odłamek, który uderzył o cal nad jego głową, spłaszczoną na czubku kulę karabinową, która utkwiała mu swego czasu w nodze, mosiężne popielniczki ze spiłowanych gilz; papierośnica żołnierza zrobiona była z aluminiowej blachy roztrzaskanego samolotu. Kobieta marzyła, aby do mieszkania ich przyszedł jakiś dziwny złodziej i pozabierał te przedmioty. Sama nie mogła zdobyć się na to, aby otruć psa i zniszczyć te rzeczy; czekała na żołnierza wiele lat i myślała przez wiele bezsennych nocy, że wszystko, co człowiek ten przywiezie ze sobą, będzie jej bliskie i drogie. Był on jednak dziś dalszy niż wtedy, gdy patrząc w ciemne niebo za oknem, myślała o dniu, w którym powróci. Dalszy i inny od obrazu tego, który nosiła w sercu, gdy żołnierz była daleko stąd. Niebo za oknem rzedło, ona myślała: "Czy wróci, czy żyje jeszcze? Jest zdrow czy ranny?" Czasem przychodziła jej do głowy niepokojąca myśl, czy może - będąc daleko od niej - nie pokocha kogoś innego. Lecz natychmiast odpędzała tę myśl, i znów powtarzała: "Czy wróci? Czy żyje? Czy zdrow jest i cały?" Pod jej oknem, na podwórku, dzień w dzień chłopcy bawili się w wojnę; cienkie ich głosiki budziły w niej nienawiść; mieli drewniane

karabinki, drewniane szable i czapki z papieru. Kiedy pewnego dnia spostrzegła, że dzieci bawią się w rozstrzeliwanie Żydów, przysięgła sobie, że jak tylko on powróci, opuszcza na zawsze dom, w którym czekała na niego. Wyszli teraz na miasto, aby wyszukać miejsce, gdzie postawią sobie nowy dom. Złociły się na polach snopy zżętego zboża. W dali czerniały szczątki rozwalonego wiatraka - przypadkowy pocisk roztrzaskał skrzydła i zerwał dach. Żołnierz spostrzegł ten wiatrak i rzekł:

- Widzisz! Przypomina się mi historia, jaką opowiadał mi pewien żołnierz. Działo się to jeszcze w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Nadchodzili Niemcy i było ich bardzo wielu. Nasi cofali się w stronę lasu. Nagle wypadły stamtąd dwa czołgi i odcięły naszemu odwrot. Wtedy ten facet, który mi to opowiadał, wraz z kilkoma innymi schronił się do takiego wiatraka i stamtąd kropili z cekaemów. Nagle huknęło w wiatrak; nikomu nic się nie stało, tylko mąka zakleiła im oczy; uciekali potem na ślepo, pod ogniem i, wyobraź sobie, nikomu się nic nie stało. Żołnierz ten powiedział mi, że nigdy już nie weźmie do ust kawałka chleba ani niczego, co pachnie odrobiną maki. Na wojnie zdarzają się także komiczne historie, jak widzisz.

- W tym wiatraku - rzekła cicho kobieta - podczas jak uderzyła w niego bomba, schroniło się wiele kobiet z dziećmi i zginęły wszystkie co do jednej. To były proste wiejskie kobiety i dlatego schroniły się w wiatraku, bo myślały, że wróg nie będzie bić w wiatraki, gdyż w nich powstaje chleb, który jest rzeczą świętą. Ale zginęły wszystkie.

- Ba! - powiedział żołnierz. - I tak musiała to być bardzo lekka bomba, a w dodatku uderzyła z boku. To jeszcze nic. Amerykanie urządzali naloty, w których brało udział po kilka tysięcy samolotów. Każdy z tych samolotów mógł zrzucić kilka ton bomb. Trudno nawet pomyśleć, co się tam działo! Po takim nalocie nikt nie wiedział, gdzie k i e d y ś była ulica, a gdzie domy, i sam szatan nie doszedłby tego. Pod tymi gruzami ludzie umierali po kilkanaście dni i jeszcze Bóg wie ile czasu leżeć tam będą, zanim ich odkopią i pochowają po ludzku.

Wyszli na najwyższy wzgórek. W dali zostało miasto; teraz, w zachodzącym słońcu, poczerniałe dachówki domów wydawały się złote. Lśniły wieże kościołów i ogromnym światłem rozlewał się blask nad kopułą jedynej w mieście cerkwi. Nad dalekim lasem ciemniało już niebo, dołem płynęła rzeka, a z pól podnosiły się wilgotne mgły. Okolica była tu piękna; głośniej i swobodniej śpiewały tu ptaki, powietrze szerzej parło do płuc. Kobieta rzekła:

- Tu postawimy nasz dom.

Żołnierz milczał. Stał na wzgórku i rozglądał się na wszystkie strony. Odwrócił wzrok w stronę lasu. Następnie spojrzął w dolinę i marszcząc czoło poruszał wargami, jakby coś obliczając. Przysłonił dłonią oczy i długo lustrował całą okolicę. I nagle surowa twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Złapał kobietę za rękę i przyciągnawszy ją do siebie, rzekł:

- O, do diabła, do diabła! Pomyśl, jaka stała znakomita obrona! Tutaj wystarczy trzy cekaemy, kilka granatników i niczego więcej nie potrzeba. Można się bronić przez kilka tygodni! Załóżmy, że odpieramy natarcie, które wysuwa się z lasu...

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie kobieta. - Nie!

Żołnierz drgnął i twarz mu zgasła. I wtedy po raz pierwszy, od chwili gdy powrócił z wojny, ujrzał, że na ziemi tej rośnie zboże, że zaorali ją pługami ludzie, że pracują na niej; nie zabijając się: przypomniał sobie, że ziemia jest nie tylko grobem, ale i życiem człowieka. I nagle po raz pierwszy od tego dnia, gdy powrócił z wojny, uczuł ogromne zmęczenie: uczuł, że jest stary i bardzo samotny.

1955

W dzień śmierci jego

Mieszkaliśmy w baraku, może o pięćset, sześćset metrów od morza, ale dostać się do nas było ciężko; trzeba było iść poprzez piach sięgający w niektórych miejscach do kolan, a potem poprzez pole porośnięte jakimiś chwastami; wysokimi, kłującymi, wiecznie suchymi, tak że nawet na myśl nikomu nie przychodziło, że mogłyby one zakwitać i przekwitać, jak wszystkie inne rośliny w tym kraju: dzikie, kolorowe, zakwitające czasem niespodziewanie w ciągu nocy i w ciągu nocy zamierające; nikt nie znał nazwy tych badyli; nikomu nie było wiadome, do kogo należało to pole, a w dodatku Lena, żona Griszy, twierdziła z uporem, że są tam węże, chociaż ja nigdy żadnego węża nie widziałem i w ogóle ciężko mi było uwierzyć, że jakakolwiek kanalia ma ochotę tam żyć - wśród piasku i tych martwych badyli. Ale rozmawialiśmy zawsze o tych wężach i o tym, że może one tam rzeczywiście są; więc i teraz, kiedy rozpalony autobus stanął na przystanku tak gwałtownie, że wszyscy śpiący pasażerowie polecieeli do przodu i my - Grisza, ja i jeszcze jeden staruszek, który mieszkał obok nas - wysiedliśmy, a potem szliśmy poprzez pole, gadaliśmy o wężach. Była godzina piąta po południu, ale upał nie słabł; od znieruchomiłego morza nie szło ani trochę wiatru, ani trochę chłodu. W tej ogromnej masie wody nie było ani odrobiny rzeźkości - dla nas, idących górą i piachem, niby skrajem końca świata.

- W taki upał można się najłatwiej przeziębnić - powiedział staruszek drepzcząc koło nas. - Właśnie w taki upał. Człowiek wejdzie w cień, zawieje go i koniec. Trzeba bardzo uważać. I zawsze kłaść podkoszulek, panowie.

- Panu niepotrzebny podkoszulek - powiedział ponuro Grisza. - Panu chyba tak czy owak wszystko jedno.

Ale była to nieprawda: ten staruszek trzymał się życia silniej niż my. Miał on pewną idiotyczną ideę; jego siostrzeniec, a może zresztą siostrzeniec jego żony, wyemigrował przed laty do Ameryki i był

sławnym reżyserem. To prawda: ten gość zrobił całą kupę dobrych filmów i miał dosyć pieniędzy, żeby wytapetować te wszystkie baraki, do których mieliśmy jeszcze ze trzysta metrów. I ten stary czekał; ściany swojego pokoju wyklejał zdjęciami siostrzeńca: Billy przy samochodzie, Billy w czasie kręcenia zdjęć, Billy z żoną, synem i dwoma smolistymi pudłami; Billy w Wenecji i Billy w Kalifornii. Wiecznie pisał do niego długie listy, w których skarżył się na nas, na sąsiadów, na policję i na głupotę władz i taktownie dawał mu do zrozumienia, iż nie odrzuciłby jego pomocy. Ale Billy rzadko odpisywał i nie przysyłał forsy; więc stary dalej wycinał z gazet fotografie krępego, łysiejącego mężczyzny o zimnym uśmiechu i wyklejał nimi ściany.

- No jak - powiedział Grisza i trącił mnie w bok. - Ma pan już odpowiedź?

- Ach - rzekł staruszek; był już zadyszany, lecz starał się iść z nami krok w krok, choć Grisza specjalnie szedł tak szybko, że i mnie było ciężko. - Ta poczta. I to teraz, kiedy samoloty tak szybko latają. Czytałem w gazecie, że w jakimś francuskim mieście list szedł z ulicy na ulicę czternaście lat. Wszystkim się poprzewracało w głowie. Kiedyś to nie było możliwe.

- Tak - powiedział Grisza. - Ale wie pan: te niewysłane listy to tak cholernie długo idą.

- Pan myśli - zaczął stary.

- Nic nie myślę - przerwał mu Grisza. - Pisz pan dalej. I niech pan załączy od nas wyrazy szacunku i poważania.

Jakiś pies zerwał się nagle z kupy śmieci i jazgocząc podskoczył do mnie: kopnąłem go w bok, aż szcęknęło coś w jego chudych żebrach, ale nie odczepił się. Leciał za mną i podskakiwał aż do moich kolan jazgocząc i warcząc, a jego ślina pozostawała na badyłach niby babie lato; w końcu Grisza trzepnął go przez łeb kamieniem.

- Czyj to ten cholerny pies - powiedział. - Jeszcze mi się rzuci na dziecko.

- Nie bój się - powiedziałem. - To mnie psy nienawidzą. Tak zawsze było. Nigdy nic żadnemu nie zrobiłem, a całe życie rzucają się na mnie. Podobno są tacy faceci. Kiedyś jeden buldog gonił mnie przez dwa kilometry.

- Tak cię nienawidzą? - powiedział Grisza.

- I jeszcze jak - rzekłem zawstydzony, bo tak było naprawdę. - Mógłbym ci opowiadać przez pół dnia, ile wycierpiałem od tych bydła.

A wtedy zerwał się drugi ze środka drogi; porzucił swoją kość i leciał wprost na mnie z dzikimi oczyma i włosami zjeżonymi na karku. Wył, jakby się zbliżał koniec świata i jemu jednemu tylko przypadła misja obwieszczenia tego smutnego faktu; zebrałem się tego w sobie i kopnąłem go, że odleciał na środek pola niby kula; od tego kopnięcia

aż mnie zabolalo. A potem wyly obydwu.

- No - powiedzial Grisza. - A podobno psy czuja dobrego czlowieka. - Popatrzyly na mnie z ciekawoscia; dostrzeglem to w jego skoonych oczach. - I zawsze tak bylo? - zapytal.

- Zawsze - powiedzialem. - Jeszcze nie bylo takiego, ktory by mnie lubil.

Potem usiedliemy do kolacji: Grisza, jego zona - Lena - ja, i dwuletnia ich cocieczka noszaca imie matki, a ktora zwalimy Mala Lenka. Tego dnia wlasnie Lena otworzyla ostatnia puszke miesa i patrzyliemy w milczeniu na patelnie, gdzie mieso skwierczac stawalo sie coraz mniejsze i wygladalo coraz nedzniej. Puszka kosztowala dwa funty i sześćdziesiat piastrow; a teraz na patelni nie zostalo prawie nic; ot, dwa kesy. Kot by sie tym nie najadal. Milczac spogladalimy po sobie, tego miesa prawie juz wcale nie bylo widad, a potem Lena powiedziala z rozpacza:

- Nie starczy dla wszystkich. Nie umiem tego podzielic.

- No wiec - powiedzialem. - Moze teraz, kiedy caly dzien latalem z Grisza za robotu, mam sobie nagle przypomniec, ze wypadlo mi cos waznego do zalatwienia i wyjsc? Tak, Grisza?

- Wybacz jej - powiedzial Grisza. Popatrzyly na nia ciiezko, a jego skoone oczy zrobily sie jeszcze weszse. Potem odwroutil sie do mnie. - Ona jest niewinna - powiedzial. - Ona nie rozumie lepiej.

- Nie umiem tego podzielic - powtorzyla z uporem Lena.

- Nie trzeba - powiedzial Grisza. - Kto by tam dzielim takie gowno.

Wzial patelnie z blachy i kopniem otworzyly drzwi baraku. Zamachnal sie szeroko i wyrzucil mieso; plasnelo w mroku i zaraz potem slyszalem, jak psy rzucily sie na nie z warkotem. Siedzac przy stole, w zoltych blasku lampy, wydawalo mi sie, iz widze, jak zra i jak peczniej u ich chude, wstrętne karki. Ale byla to oczywiscie fantazja; polknely to mieso w milczeniu, na raz; tak jak polykaly wszystko, co tylko mogly znalezc na tym polu spalonym przez slonce i pelnym smieci, ktore przywędrowaly nie wiadomo skad i ktore pewnie pozostana tam az do konca swiata.

- No wiec - powiedzial Grisza stawiajac patelnie na kuchni. - Kiedyś pytali kozaka: co byś zrobil, zeby ciebie carem wybrali. Ja by ukradl dziesiat' rublej i udral - powiada. Nie martw sie Lena. Z kazdej sytuacji mozna sie wygrzebac.

- Ale dziecko - powiedziala Lena.

- I mnie nie bylo lepiej w jej latach - rzekl.

Napiliemy sie tylko herbaty i wyszliemy przed barak - Grisza i ja - Lena zostala wewnatrz. Usiedliemy przed barakiem, na cieplym jeszcze piasku i palilimy papierosy. Na morzu rybackie statki rozrzucone szeroko w polkole nawolywaly sie slabymi swiatlami.

- Słuchaj, Grisza - powiedziałem. - Rozmawiałem dzisiaj z jednym facetem, który chce ode mnie kupić pistolet. Sprzedam mu. Na cholere mi pistolet.

- Nie - powiedział Grisza. - Nie sprzedawaj broni.

- Sprzedam - powtórzyłem. - Na cholere mi to.

- Nie - powiedział. - Nie sprzedaje się broni. Zresztą to wszystko, co masz.

Była to prawda; miałem tylko ten pistolet, który przywiozłem tu z Europy, biblię i fotografię takiej jednej kurwy, którą przechowywałem tylko dlatego, że była trochę podobna do innej kurwy, w której kiedyś się podkochałem. Może być zresztą, iż kochałem ją naprawdę. Ale to nie było teraz ważne; ważne było tylko to, że od dwóch miesięcy byliśmy obaj bez pracy; porządne śniadanie jadłem ostatni raz w Jaffie, w więzieniu. Nie umiałem myśleć o miłości; co innego Grisza, ale on był Rosjaninem, a Rosjanie się nie zmieniają i do końca nic im nie jest obojętne. Ale ja nie jestem Rosjaninem; było mi już wszystko jedno, a może byłem nawet dalej: już poza rozpaczą i już poza gniewem. Ludzie nie wiedzą naprawdę, ile obojętności jest w nich i jak bardzo obojętne może się wszystko stać pewnego dnia; i dobrze, że nie wiedzą.

- Słyszysz - powiedział do mnie Grisza. - Znowu tutaj się szwendają. - Wyciągnął rękę w mrok; widziałem ich żółte, złe ślepie zapalające się i gasnące niby latarki. - Myślą, że może jeszcze coś dostaną.

- Nie - powiedziałem. - One tu przychodzą do mnie, tylko do mnie. Przysięgam ci, Grisza. Bóg tylko jeden wie, dlaczego mnie tak nienawidzą.

- Kto by je tam rozumiał - powiedział leniwie.

Palil resztkę papierosa zaciągając się głęboko i ze znużeniem; potem cisnął niedopałkiem w mrok i odwrócił się do mnie. Zdawało mi się, nie wiem dlaczego, że patrzy na mnie jakoś szczególnie uważnie i surowo.

- A broni - nie sprzedawaj - powiedział.

Znów odezwał się jakiś, potem zawtórował mu drugi i wyły oba do księżycy - olbrzymiej, pomarańczowej bani, balansującej tuż nad spokojnym, jasnym morzem. Czułem je tak, jak i one czuły mnie prawdopodobnie; czułem ich spaloną słońcem sierść i ich ostre oddechy; ich wieczny głód i ich wściekłość skierowaną przeciwko mnie, tylko przeciwko mnie, tak jakbym ja to stworzył ten kraj o polach spalonych słońcem; o polach bez drzew, bez cienia, bez dzikich zwierząt - z wyjątkiem węży i skorpionów, których bali się wszyscy. Siedzieliśmy z Griszą w milczeniu; słychać było szum morza, lecz wciąż jeszcze bez śladu wiatru; no i te psy przebiegające w ciemności i szeleszczące ich łapy w polu pełnym śmieci. I ten ich przeklęty warkot.

- No, no - powiedział Grisza. - Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego. Może kiedyś przyłożyłeś jednemu z nich i one to w jakiś cholerny sposób zwachały.

- Nie - powiedziałem. - Przysięgam ci, Grisza, że nie. Nic do nich nie mam.

Siedzieliśmy tak z godzinę może jeszcze; a potem przyjechał ten człowiek swoją ciężarówką. Myśmy siedzieli na piachu przed progiem, a on wysiadł z kabiny, nie zgasił nawet świateł i podszedł prosto do nas.

- Dobry wieczór - powiedział.

Stał przed nami trzymając pod pachami całą kupę butelek piwa. Nie odpowiedzieliśmy mu; ni Grisza, ni ja. Mimo iż było ciemno, wiedzieliśmy dokładnie, jak on wygląda; młody, zdrowy mężczyzna tuż po trzydziestce; zaczynał już tyć i jego twarz rozlewała się powoli, ale wszystko to szło na koszt zdrowia i młodości, nie kosztem lat; był dobrze odkarmiony i koniec; gdyby miał żonę, byłaby dumna z niego. Feler w tym, że jej nie miał. Zaczynał także łysieć; miał delikatne ciemnię jak u dziecka, ale to się widziało naturalnie tylko w dzień. Teraz pachniał za to; używał jakiejś wody kolońskiej tak silnej, że człowiek miał wrażenie, że zakwitło całe pole kwiatów z oleodruku.

- No, Grisza - powiedział. - Cóż to, nie przywitasz się?

- Weź swoją mordę stąd i znikaj - powiedział Grisza. - I nie przyjeżdżaj tu więcej. Wiem, czego tu szukasz.

Butelki z piwem zadzwoniły delikatnie pod pachą tamtego; uczułem nagle pragnienie, niemalże ból w gardle, i przysięgłbym, że Grisza czuł to samo.

- Słuchaj, Grisza - powiedział tamten. - Będę miał dla ciebie pracę od przyszłego tygodnia. Trzysta pięćdziesiąt funtów miesięcznie. Za Beer-Schebą, chcesz?

- A ty będziesz tędy jeździł co wieczór - powiedział Grisza. - I wstąpisz sobie czasem do mnie, żeby troszkę odpocząć. I tak trochę pogadać z moją Leną. A ja będę tyrał za Beer-Schebą i posyłał jej forszę, nie? - Chciał splunąć, ale butelki znów zadzwoniły delikatnie i zaschło mu w gardle; zasyczał jakoś dziko i śmiesznie i to go pewnie rozwścieczyło. - Ujdi ad siuda, swołocz, idi legawy pies, blat'naja morda! - powiedział.

Nic nie widziałem; butelki szczęknęły w ciemności o kamienie i poczułem nagle gorzki zapach piwa. Skoczyłem naprzód przyciskając łokcie do twarzy z kolanem wysuniętym i podkurczonym niemal do brody; miałem szczęście - trafiłem go w brzuch akurat w tym momencie, kiedy szykował się rąbnąć Griszę jeszcze raz. Stęknął z bólu, ale nie zaszkodziło mu to wiele, był to mocny chłop; widziałem, jak rzucił Griszą niby kotem, a Griszy też niczego nie brakowało; teraz leciał na mnie z pięścią wzniesioną do góry jak młot, ale wywinałem mu się i znów wpadł na Griszę, i potoczyli się

na barak, aż ściana z dykty trzasnęła. Skoczyłem na nich z tyłu; złożyłem dwie ręce i chciałem go trzasnąć w kark, ale nagle jakieś ostre zęby pochwyciły mnie za nogę i to mnie zgubiło; odwróciłem się bowiem, a wtedy rąbnął mnie w szczękę tak, że poleciałem pod płot, w kurz, razem z całym kłębem skowyczących psów. Ten skowyt, to było wszystko, co zapamiętałem; dopiero później, jak przez mgłę, doszedł do mnie hałas odjeżdżającej ciężarówki.

Ocknąłem się po długiej chwili; Grisza trzymał moją głowę na kolanach i chustką ścierał mi krew z warg. Wciąż jeszcze huczało mi w uszach, tak jakbym wysiadł z samolotu po paru godzinach lotu. Obliziałem się; próbowałem powstać, ale nie dałem rady; kolana ugięły się pode mną i klapnąłem ciężko na ziemię.

- To wszystko dlatego, że ten pies ugryzł mnie w nogę, Grisza - powiedziałem dzwoniąc zębami. - Straciłem orientację.

- Przeszło - powiedział.

- Inaczej dołożylibyśmy mu zdrowo - powiedziałem. - Chciałem go rąbnąć w kark, a wtedy poszedłby spać. Wiesz, Grisza: obie ręce razem i tak jak toporem. Nauczył mnie tego jeden gość od spadochroniarzy. Ale ten cholerny pies wczepił się we mnie. - Milczał, nie odpowiadał, i widziałem tylko jego twardy profil. - Tak czy owak on tu już nie wróci - powiedziałem. - Szkoda. Dołożylibyśmy mu zdrowo.

Odwrócił się nieco ku mnie; jego jasne, skośne oczy błysnęły jak u kota.

- Nie - powiedział. - Nie dołożylibyśmy mu. A wiesz dlaczego? Bo nie dalibyśmy rady. A wiesz, dlaczego nie dalibyśmy rady? Bo dwóch gości, którzy nie jedli porządnie od miesiący, byle kto może skopać. - Pomilczał chwilę. - Ale nie bój się - powiedział. - On tu wróci. Wróci tu jeszcze raz. Ale potem już nigdy więcej.

Podniósł się; pomógł i mnie wstać. Otworzył drzwi i wepchnął mnie do baraku, a wtedy w żółtym, ostrym świetle dojrzałem jego prawą część twarzy: opuchnięty policzek i obrzydliwie podbite, wybałuszone oko. A potem jeszcze długo, leżąc już w ciemności na swoim łóżku, widziałem jego rozbitą twarz; zapadałem w sen i powracałem z powrotem przywołany obrazem jego twarzy. Wciąż jeszcze huczało mi w głowie i wciąż twarz jego powracała z ciemności; przypomniałem sobie nagle jednego Niemca, który miał wytatuowaną na ramieniu twarz kobiecą, a pod nią błuźnierczy napis: wszystko przemija prócz oblicza Twego. To były święte słowa, ale ten Niemiec służył we francuskiej marynarce handlowej, a przedtem przeszedł z Rommlem pustynię i niewiele sobie robił ze świętości świata tego. Lecz mnie się zdawało, iż była to nie wytatuowana twarz kobieca, lecz twarz Griszy, taka jaką zobaczyłem przed godziną; rozbita i opuchnięta, z okiem szyderczo wybałuszonym. Nie mogłem wciąż jeszcze zasnąć; słyszałem, jak Lena płacze i wymyśla mu, iż zmarnował całą kupę mięsa; nie odrobinę, która szczała w naszych oczach na patelni, lecz właśnie całą kupę, którą można by było jeść Bóg jeden wie jak długo; i słyszałem, jak go błagała, żeby dał jej spokój i odsunął się z tą swoją straszną twarzą; a potem, już u progu snu mego, usłyszałem,

jak pokonał jej opór i jak Lena płacze z upokorzenia; więc jeszcze pomyślałem sobie, że Grisza to silny chłop, i że to był przypadek - to, co zdarzyło się przed godziną, i jakoś tak wsłuchałem się przyjemnie w ten jej płacz i zasnąłem.

Następnego dnia rano ogoliliśmy się nieco później niż zwykle; Grisza podlepił sobie oko plastrem, zjedliśmy po talerzu płatków owsianych z margaryną; Grisza ucałował małą Lenę - ciepłą jeszcze od snu i rozgrymaszoną - i wyszliśmy z baraku. Ten staruszek, który miał siostrzeńca w Ameryce, czekał już na nas. Wyglądał schludnie; był pięknie ogolony, nosił na szyi coś w rodzaju apaszki, a jego krótkie spodenki były starannie zaprasowane - myśmy przy nim wyglądali jak dwaj z piekła w naszych brudnych spodniach khaki i przepoconych koszulach. Stary trzymał w ręku list.

- Panowie będą przechodzić koło skrzynki pocztowej - powiedział. - Zróbcie mi panowie tę grzeczność - i podał mi ten list, gruby i ciężki; pisał go pół nocy pokasłując i wycierając łzy. Chciałem go już wziąć, ale Grisza powstrzymał mnie.

- My idziemy do Haifskiej szosy - powiedział. - Tam nie ma żadnej skrzynki po drodze. Musi pan się sam pofatygować.

Stary odszedł niezadowolony, a ja popatrzyłem na Griszę.

- Dlaczego, na litość Boga, do Haifskiej szosy? - powiedziałem. - Po co mamy iść trzy kilometry, kiedy tutaj autobus podjeżdża pod nos?

- No i co z tego - rzekł Grisza. - Nie wiedziałem, że masz coś pilnego do załatwienia. Można się czasami przejść; przed dziewiątą i tak nikogo nie złapiemy.

- Ale to trzy kilometry, Grisza.

- Właśnie - powiedział. - Taki spacer uspokoi twoje skołatane nerwy.

Poszliśmy przez pole, do szosy, a potem szliśmy brzegiem morza przez ogromną pustą plażę, na której nikogo jeszcze nie było, czystą i piękną, a potem znów wdrapaliśmy się na górę, skręcili na lewo i szliśmy poprzez dzielnicę, w której mieszkali tylko dyplomaci - były to małe, schludne domki schowane wśród tych fantastycznie kwitnących drzew; przed furtką każdego z tych domków stały butelki z mlekiem; czasem trzy, a nawet cztery, z czego można było się domyślić, że mają całe chmary dzieci. Było mi trochę głupio ze względu na małą Lenę i zerknąłem na Griszę; widziałem, że też patrzy na te butelki z mlekiem, ale udawał, że go to nic nie obchodzi. Miałem ochotę wziąć kamień i porozbijać je wszystkie - systematycznie, na zimno i niczego nie tłumacząc. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić; jechaliśmy, aby wykombinować jakąś możliwość - tego dnia, jak i każdego innego dnia od dwóch miesięcy.

Przy którymś z tych domków, w którym powinny mieszkać raczej lalki niż ludzie, takie to wszystko było schludne i grzeczne, Grisza zatrzymał się. Wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko z wizerunkiem brodatego kapitana. Ni stąd, ni zowąd usiadł pod samym płotem opierając się o niego plecami i wyciągnął nogi aż na środek drogi.

- Siadaj - powiedział. - Zapalimy.

Usiadłem trochę dalej, na kamieniu; było dopiero po siódmej, a kamień przygrzał mnie już porządnie w tyłek. Grisza dostrzegł to i uśmiechnął się.

- Co jest - powiedział. - Boisz się, że przewrócisz im ten cały interes? Też by się nic nie stało.

- Ja tam nie lubię, żeby ktoś mordę nade mną rozdzierał - powiedziałem. Ale usiadłem koło Griszy i też oparłem się o sztachety. Zapaliliśmy i było od razu lepiej. Siedziałem rozwalony obok Griszy i myślałem sobie, iż w tym kraju niewiele potrzeba, żeby cieszyć się życiem. Z początku, kiedy tu przyjechałem, zdawało mi się, że nie lubię tego kraju. Ale potem, kiedy go już trochę poznałem, pomyślałem sobie, że się pomyliłem. Pomyłka polegała na tym, że kochałem ten kraj, sam o tym nie wiedząc. I nigdy go nie przestanę kochać; tych pól, nad którymi unoszą się i kręcą pióropusze wody, pomarańczowych lasów pachnących tak pięknie, że człowiek boi się w to uwierzyć; i łagodnych wzgórz Galilei, i tych małych miasteczek, do których zjeżdża się nagle i w których Arabowie potrafią mówić dziesięcioma językami; jednakowo źle, z jednakową łatwością i powagą. Wierzę, że tam mieszka Bóg i że nigdy stamtąd nie odszedł. I będę w to wierzył nawet wtedy, jeśli ten kraj spotkało dziesięć nowych nieszczęść, bo tylko tam Go czułem. Przyszła mi ochota, aby to wszystko nagle powiedzieć Griszy, ale kiedy obróciłem się ku niemu, myślałem, że serce pęknie mi z przerażenia; oblałem się potem, a jednocześnie w gardle zrobiło mi się tak sucho, jak gdybym nigdy na tym świecie kropli wody nie wypił.

Przede mną stał pies; ogromny jak cielę, tylko że wyglądał strasznie: niby diabeł, rogów mu tylko brakowało. Był cały czarny jak smoła i kudłaty, łapy miał grube, a zębów mogłem się domyśleć w jego kwadratowej, obrośniętej paszczy. Znałem te psy; był to brodac monachijski, rzadki okaz, ogromnie drogi; czasami używa się tych psów do polowania, ponieważ potrafią dobrze chodzić po wodzie, a ci figlarze z SS używali ich podczas wojny jako psy policyjne - były groźniejsze od wilków i bokserów. Widziałem kiedyś, jak jeden taki skoczył na człowieka, wprost do gardła, i powalił go na ziemię rozdzierając mu cały bark jednym chwytem paszczy.

- No - powiedziałem do Griszy. - Dalszego ciągu nie będzie.

A teraz pies taki stał przede mną o dwa kroki i kręcił swoim krótkim ogonem. Nie ruszyłem się; papieros sparzył mnie nagle w rękę i bałem się upuścić go na ziemię; czekałem, aż sam się wyśliźnie. Delikatnie podkurczyłem nogi pod siebie, aby w tym momencie, kiedy pies skoczy mi do gardła, móc go zrzucić. Ale on nie ruszał się; czekał, jakas mucha przeleciała mu przed nosem i kłapnął niedbale paszczką. Potem zbliżył swój mokry, kwadratowy nos do mojego policzka i obwąchał mnie starannie, nawet trącił mnie nieco. Nie ruszałem się i to go widocznie zdumiało; trącił mnie swoją grubą, kosmatą łapą raz i drugi; bawiło go to widać; wreszcie odskoczył o krok i zaszczekał potężnym basem, a wtedy zobaczyłem jego ogniście czerwony język. Wreszcie odbiegł w podskokach wciąż jeszcze odwracając ku mnie

kosmatą paszczę; tak jakbym mu sprawił zawód, że nie zareagowałem na jego zaczepki. Rzuciłem się do Griszy.

- Czegoś nie wziął kamienia, durniu - powiedziałem. - Trzeba go było trzepnąć w łeb i koniec. Widzisz, że pies chce mnie gryźć, a ty siedzisz i patrzysz.

- Trzeba było to samemu zrobić - powiedział Grisza. - Dokładnie to samo: wziąć kamień i trzepnąć go w łeb.

- Bałem się poruszyć.

- A ja to co? Ja się też bałem.

- Skąd się ten drań tutaj wziął? - powiedziałem. - Jeszcze w życiu nie widziałem takiego ogromnego psa.

- Ładny pies - powiedział Grisza. Był wyraźnie zły, i pomyślałem sobie, że pewnie wstydzi się swojego tchórzostwa. Popatrzył na mnie z boku. - Gdyby cię tak chwycił swoimi zębami - powiedział - to...

Pokręcił głową, nie dokończył; znów popatrzył w bok ze złością, wyraźnie unikając mego wzroku, i znów pomyślałem sobie, że się wstydzi. Zrobiło mi się go żal.

- No, no, Grisza - powiedziałem. - Idziemy dalej. Nic się przecież w końcu nie stało.

- Nic - powiedział Grisza.

Szliśmy do autobusu, a ten drań biegł za mną; nie za nami, nie za Griszą, ale właśnie za mną - tego byłem pewien. Nie odwracałem się, a byłem przekonany, że w pewnym momencie skoczy na mnie z tyłu i przygniecie mnie do ziemi. Raz nawet trącił mnie na przystanku i kiedy wreszcie nadjechał autobus i wsiedliśmy, to biegł jeszcze spory kawał za tym starym pudłem i czekał. Jakiś człowiek stojący koło mnie powiedział z podziwem:

- Ładnego ma pan psa.

- Pewnie - powiedziałem ocierając pot. - Cholernie ładny pies. Mogę go panu sprzedać.

- Broń Boże - przestraszył się. Ale rozważał coś w sobie; to było widać. Wreszcie zapytał: - Co on potrzebuje zjeść?

- Dwie butelki szampana i puszkę kawioru - powiedział Grisza. - Ale będzie pan przynajmniej spokojny o żonę; już on jej przypilnuje.

- Chamstwo!

- To nie pytaj się pan!

- Pan pewnie nowy tutaj?

- Tak - powiedział Grisza. - Ale siedziałem już w więzieniu za

pobicie. Wcale nie było tak źle.

Ten człowiek obraził się; począł głośno opowiadać zwracając się przy tym do wszystkich, że kiedyś było tutaj inaczej, że kiedyś ludzi się tutaj szanowało; a nawet można było zostawiać otwarte mieszkania i wszystko człowiek zastawał na miejscu. Kraty poczęto wstawiać dopiero po ostatniej wojnie, kiedy przyjechali nowi emigranci. On sam, osobiście, kopał tu drogi i cierpiał na malarię, podczas gdy Grisza zażerał się w Europie jak u Pana Boga za piecem; potem Grisza mu powiedział, żeby tamten przesłał mu rachunek za swoją malarię, to on zobaczy, co dla niego można zrobić, a w końcu jakiś żołnierz stojący koło mnie i słuchający tego wszystkiego obojętnie - opalony i muskularny - zapytał mnie, dlaczego my, Żydzi, musimy się zawsze kłócić. Powiedziałem mu, że nie wiem, i tak dojechaliśmy do Tel-Awivu. Kiedy wysiadałem z autobusu, łydki drżały jeszcze pode mną i powiedziałem do Griszy:

- Nigdy już nie pójdę tą drogą. Następnym razem ten drań mi nie podaruje.

Na ulicy King George zobaczyliśmy tego faceta, o którym wiedzieliśmy, że ma chody i może wystarać się nam o pracę. Siedział w małej kawiarni i zajadał coś, czego lepiej było nie identyfikować. Z ustami pełnymi jedzenia poinformował Griszę, że teraz szczególnie ciężko o jakąkolwiek pracę, że przyjechało dużo nowych emigrantów i też nie wiadomo, gdzie ich poupychać. Przestał mówić i skończył także jeść; czekał przez chwilę, patrząc na nas niewinnym wzrokiem, a potem znów napchał sobie usta jedzeniem i powiedział, że bardzo mu przykro widzieć dwóch młodych ludzi chodzących bez pracy, ale kiedy on tu przyjechał, nie było nic prócz malarii i walk z Arabami i jakoś to przeżył.

- Jazda - powiedział Grisza. - Ile chcesz i jaką robotę możesz załatwić. Nie będę tu stał i słuchał twojego mlaskania.

Przełknął olbrzymi kęs i powiedział bez zająknięcia:

- Trzysta funtów.

- Nie więcej? - zapytałem.

- Trzysta - powiedział. Wskazał na mnie palcem. - Dla was obu. Załatwię wam stałą pracę.

- Trzysta funtów - powiedział Grisza. - A ile będziemy zarabiać?

- Osiem i pół funta dziennie - powiedział. - Taka jest stawka.

- To wypada po jakieś dwieście dwadzieścia funtów na miesiąc, jak dobrze pójdzie - powiedział Grisza. - Dwieście dwadzieścia funtów za cały miesiąc tyrania. A ty chcesz trzysta.

- Ja chcę? - zdumiał się tamten. - Ja chcę zjeść swoje śniadanie do końca. To wy chcecie. Najlepiej dla was będzie, jak pójdziecie do biura pośrednictwa pracy. Oni was już urządują. - Uniósł palec i wskazał na rozbita twarz Griszy. - Coś podobnego - powiedział. -

Miałeś wypadek?

- Nie - rzekł Grisza. - Bawiłem się z dzieckiem.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem koło niego. Odsunął nieco swój talerz.

- Dobrze - powiedziałem. - Dostaniesz swoje trzysta funtów. To kiedy możemy zacząć?

- Kiedy - powtórzył. - Jutro. Dzisiaj zapłacicie, a ja wam dzisiaj jeszcze wszystko załatwię. Jutro możecie zacząć.

- Słuchaj pan - powiedziałem. - Ja i mój kolega widzieliśmy po raz ostatni trzysta funtów na reklamie loterii państwowej w kinie. Musimy przepracować miesiąc, a potem dostaniesz pan swoją forszę. Zgoda?

Wyciągnąłem do niego rękę; czekałem chwilę, a potem Grisza z całej siły uderzył mnie w rękę i ręka moja odskoczyła w bok.

- Jeszcze się spotkamy - powiedział Grisza.

- Pewnie - rzekł tamten. - Zawsze możemy się spotkać, kiedy będziecie mieli trzysta funtów.

To było wszystko; poszliśmy przed siebie; można było już właściwie wracać do domu, ale chodziło o Lenę: baliśmy się wrócić do domu o godzinie dziesiątej rano i powiedzieć, że niczego nie udało się nam załatwić. To by było głupio; trzeba było wracać już po czwartej, razem z ludźmi powracającymi z pracy i udawać zmęczonych całodzienną bieganiną. Chyba nic tak nie męczy, jak udawanie zmęczenia - w pewnych sytuacjach. Mieliśmy przed sobą parę godzin czasu; poszliśmy naszą zwykłą drogą - w kierunku morza.

- On nie jest zły - powiedział do mnie Grisza. - Ale on nie rozumie inaczej. - Pomilczał chwilę. - Tak jest pewnie ze wszystkimi - rzekł.

- Ale w mordę to mu chciałeś dać.

- Pewnie - rzekł. - Nie jemu jednemu.

- Słuchaj, Grisza - powiedziałem. - On chce trzysta funtów. Sprzedamy moją spluwę. Weźmiemy za nią sto dwadzieścia, może ze sto czterdzieści funtów, a resztę dokończymy. Damy mu te trzysta funtów i koniec. Za dzień, dwa zaczniemy pracować i wszystko będzie OK.

- Nie - powiedział. - Nie sprzedawaj broni.

- I na cholere ci ten pistolet? - powiedziałem wściekły. - Do czego będziesz strzelał?

- Coś się musi znaleźć - powiedział Grisza. - A może ten swołocz niczego nie potrafi załatwić? Może jemu się tylko śni nasza forsa. I co wtedy? A jak on pryśnie z naszą forszą, to gdzie go będę szukał?

Mało takich cwaniaków w życiu widziałem? Chryste Panie, widziałem ich dosyć. Zaczekaj.

- Wydaje mi się, że już czekam troszeczkę - powiedziałem. - Ale ty Grisza masz żonę. I małą Lenę.

- Ożeń się też - powiedział. - Przynajmniej obaj będziemy w jednakowej sytuacji. A to ukoi twoją duszę.

- Właśnie idę się żenić - powiedziałem. - Ale tylko na trochę.

Pożegnaliśmy się przy morzu; on zszedł na plażę, a ja poszedłem w kierunku ulicy Jaarkon, aby znaleźć pewną dziewczynę. Nie było to zresztą takie trudne; ujrzałem ją już z daleka: siedziała na tarasie brudnej kawiarni i paliła papierosa w taki sposób, że nawet pięcioletnie dziecko nie miałoby wątpliwości, czym się trudni. Była jednak rzeczywiście ładna i to komplikowało sprawę. Komplikowało - bo człowiek jej żałował. Mnie tam nigdy nie żal kurew, bo kurwą nie można zostać, trzeba się nią urodzić i umrzeć, a reszta na ten temat to kiepska literatura. Więc nigdy ich nie żałowałem i przypuszczam, że dlatego mnie lubiły. Słyszałem, jak zwierzały się łzawym głosem ze swego życia różnym mniej lub więcej pijanym idiotom; a potem opowiadały to sobie i zdychały przy tym ze śmiechu. One w ogóle lubią opowiadać. I mają co. A przy tym można się łatwo domyślić, kiedy kłamia, i to sprawia satysfakcję: rodzonej żonie człowiek chce wierzyć, kiedy oświadcza, że dentysta zajął jej pięć godzin czasu; a w dodatku nie może sobie przypomnieć, na jakiej ulicy znajduje się jego zakład. Z nimi tego nie ma. Ale tej jednej żałowałem, bo była rzeczywiście piękna. I nic na to nie poradzę. A w dodatku żyłem już z nią od paru miesięcy i byłem jej winien całą kupę forsy; więc może stąd brała się ta świeżość uczuć. Może.

- No i jak - powiedziała, kiedy usiadłem już koło niej na nieprawdopodobnie brudnym wyplatany krzesełku i zapaliłem papierosa. - Nic?

- Nic - powiedziałem.

Napiłem się czegoś okropnego i słodkiego ze szklanki stojącej przed nią; kelner przyniósł mi piwo Gold Star, które piłem tu zawsze i zawsze na jej rachunek; napiłem się trochę tego gorzkiego, mocnego piwa i od razu było mi lepiej. Kelner zmrużył do mnie oko, co oznaczało, że poważa mnie i mój mądry stosunek do życia; i co oznaczało również, że on sam także chętnie zostałby alfonsiem, ale z niewiadomych sobie samemu przyczyn nie może się na to zdecydować; a potem odszedł. Ona sama piła to swoje słodkie paskudztwo; nie wiem, co to mogło być, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie próbowałem.

- Więc co - powiedziała Ewa. - Chcesz pojechać ze mną do Jerozolimy?

- Nie - powiedziałem. - Spróbuję jeszcze.

Uśmiechnęła się.

- Nie dostaniesz żadnej pracy - powiedziała. - Po pierwsze, jesteś turystą i nie masz pozwolenia pracy. Po drugie, nie znasz prawie

wcale języka. Nikt cię nie przyjmie, to jasne; a zresztą takich jak ty jest tu dużo. Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, że w dodatku niczego nie umiesz.

- Pracowałem przez pięć lat jako kierowca - powiedziałem. - I to na gorszych samochodach jak tutaj. Potrzeba mi tylko pracy, Ewa. Nie zapomniałem tego.

- W tym kraju każdy jest kierowcą - powiedziała. - I taką pracę akurat najciężej dostać, bo to jest jeszcze najlepiej płatne.

O tym wiedziałem i bez niej, że kierowcy żyją tutaj jak królowie i zarabiają najwięcej. Ten drań, który wczoraj mnie i Griszy nakładł po mordzie, też był przecież kierowcą; zgrzytnąłem zębami, kiedy przypominałem sobie o tym.

- Chcesz jeszcze mówić na ten temat? - zapytała Ewa. - Bo mogę ci jeszcze powiedzieć, że tu jest więcej kierowców jak samochodów. - Znów napiła się tej nieodgadnionej cieczy odrzucając słomkę. - No więc?

- Nie - powiedziałem. - Nie pojedę z tobą, Ewa.

Kelner podszedł i powiedział do niej:

- Jeden taki tutaj chciałby z tobą pogadać. Siedzi z tyłu.

- Powiedz mu, że jestem zajęta - powiedziała. Nie odwróciła się nawet, aby spojrzeć w jego stronę; była najładniejszą prostytutką w tym kraju i mogła sobie pozwolić na to, aby nie odwracając głowy stracić dwadzieścia funtów. Zresztą mógł poczekać; jeśli już koniecznie chciał, to wiedział zapewne, że lepszej nie znajdzie. - Nie chcesz być alfonssem - powiedziała. - Co?

- Nie - powiedziałem. Ale dodałem szybko: - Kocham cię. Kocham cię, ale nie chcę tego. Jeszcze spróbuję. Muszę w końcu dostać jakąś pracę. - Zabrzmiało to wszystko jakoś słabo; więc raz jeszcze z męką w głosie powiedziałem denerwując się przy tym za tego faceta z tyłu: - Kocham cię.

- A jak tam Grisza?

- A tak, żyje. - I nagle powiedziałem bez wstępów: - Słuchaj, Ewa. Potrzeba mi trzysta funtów. Mogę dostać robotę i mam takiego jednego, który to może załatwić. Ale ten swołocz chce wszystko od razu.

- Pojedź ze mną do Jerozolimy - powiedziała. - To wszystko. I nie mów ze mną o pieniądzach. - Wyjęła z torebki banknot funtowy i położyła go na stoliku, choć rachunek nie mógł wynosić więcej jak sześćdziesiąt piastków. - Chodź - powiedziała.

Ale ja siedziałem uparcie; ja tam nie lubię pytać i Bóg mi świadkiem, że nigdy nie lubiłem. Czekałem, aż ona się domysli. Powiedziała do mnie:

- Nie bój się, z nikim jeszcze nie byłam.

Wyszliśmy; ten, który siedział za nami, sapnął ze złością, ale nie poruszył się; był twardy, chciał czekać. Jemu było wszystko jedno: pierwszy czy drugi. Mnie nie. Już nie chodziło o nic, tylko o to, aby być pierwszym tego dnia. Taka była między nami umowa i to mi Ewa przysięgła w pewnym burdelu, naszego pierwszego dnia, podmywając się przy tym z wdziękiem kocicy. Może bym nawet z nią pojechał do Jerozolimy, bo sama myśl, żeby być sutenerem akurat w Świętym Mieście wydawała mi się świeża, ale znałem Ewę zbyt dobrze. Wiedziałem, że ładowałaby mi się do łóżka po dniu swojej ciężkiej pracy i żądałaby ode mnie tego, żebyśmy się z nią cackali jak z prawiczką; tak właśnie, ponieważ one oczyszczają się w ten sposób. Niestety. Pod tym względem one wszystkie są takie same; i dla nikogo nie robią wyjątku.

To ciężki kawałek chleba i one są twarde; twardsze od żon i córek, i naszych matek. Ile razy szedłem z Ewą, zawsze musiałem iść główną ulicą, chociaż tłumaczyłem jej, że o wiele przyjemniej iść bocznymi uliczkami i że rosnące tam palmy przypominają mi Palermo. Ale to jej zupełnie nie obchodziło, gdzie tam; uwieszona u mojego ramienia przepychała się wraz ze mną poprzez tłum; przystawała przy oknach wystawowych i czytała jadłospisy wywieszane przed restauracjami, tak żeby wszyscy widzieli, że i ona ma swojego i że pogarda świata jest czymś, z czego można się śmiać, jeśli się ma swojego Cyrenejczyka. A tym Cyrenejczykiem byłem ja. Powtarzam: to twardy chleb; trzeba mieć dobre zęby i krew. Ja tam nigdy nie mogłem się połapać, z iloma ona była w łóżku; z pięcioma, dziesięcioma czy z dwudziestoma, a ona zawsze poznawała, kiedy skoczyłem sobie w bok. Myślałem o tym wszystkim idąc ulicą Ben-Jehuda o godzinie dwunastej w południe, przy czterdziestu stopniach upału; i cholera mną trzęsła. Dopiero później, w hotelu, wrócił mi dobry humor. Lubiłem na nią patrzeć, kiedy zrzuciła już z siebie te kolorowe szmaty i chodziła po kamiennej posadzce paląc papierosy - jednego za drugim. Była zgrabna jak kot i wiedziała o tym. Długie nogi, piersi jak u Murzynki i anielska twarzyczka. Tylko oczy miała ponure, złe; tak jakby przeklęła wszystko i wszystkich. Dobrze się przy tym nazywała: Ewa. Leżałem na czystym, szeleszczącym prześcieradle i patrzyłem na nią; byłem już dobrze zmęczony, a to dobrze świadczy na jej korzyść; niewiele kobiet potrafi człowieka zmęczyć przy czterdziestu stopniach upału, a w dodatku człowieka, który porządnie nie jadł od dwóch miesięcy.

- Chamsin idzie - powiedziała do mnie Ewa.

Wstałem; okręciłem się prześcieradłem i podszedłem do okna. Rzeczywiście: morze ściemniało, a zakurzone drzewa na ulicy były nieruchome, jak z gipsu, drzewa i ich cienie; wszystko zamierało. Ludzie przemykali pospiesznie starając się przechodzić pod niskimi markizami sklepów.

- To może potrwać i pięć dni - powiedziałem.

Patrząc przed siebie, w ulicę, Ewa powiedziała:

- Jedź ze mną do Jerozolimy.

- Nie.

- Zdechniesz tutaj.

- Nie. Nie zdechnę.

Wróciła na łóżko. Położyła się i założyła ręce pod głowę. Zamknąłem okno; podobno tak lepiej, kiedy chamsin nadciąga. Lepiej, ale też można zwariować. Raz jeszcze spojrzałem na ulicę; stąd, z czwartego piętra, czułem ciepło asfaltu.

- Nigdy jeszcze nie byliśmy w tym pokoju - powiedziałem. - Dlaczego nie powiedziałaś portierowi, żeby nam dał nasz zwykły pokój na pierwszym piętrze?

- Ach - powiedziała. - Tam naprzeciwko mieszka taka stara panna. Wiesz, nieśmiała entuzjastka życia płciowego. Ja tam nie lubię nikomu sprawiać radości za darmo.

- Tu jest ładniej - powiedziałem. - Widać połowę miasta. I morze. I Jaffę.

- W Jerozolimie jest jeszcze ładniej - powiedziała Ewa. - A o dwunastej w południe słysząc, jak z meczetu zwołują wiernych na modlitwę. - Nagle zmieniła ton. - Ale ty nie chcesz jechać, co? Nie ma o czym mówić?

- Nie - powiedziałem.

- Boisz się żyć z kurwą - powiedziała - bo ci się zdaje, że możesz kiedyś mieć coś lepszego. Ale to nieprawda. Nie będziesz miał innej. Wszystkie są kurwami i wy wszyscy jesteście klientami. To jest miłość. Ale ty nie będziesz klientem. Będziesz alfonsiem. A zresztą co ci za różnica.

One wszystkie czują się w obowiązku wypowiedania swoich myśli w sposób najbardziej ponury, nie rozumiejąc, że nikogo to nie interesuje. Mózgi ich pozostają dziewicze; to tak, jakby los chciał im zrekompensować coś niecoś. Zauważyłem także, że lubią strasznie mówić o śmierci i pogrzebach; i są przekorne jak dzieci w tym myśleniu o śmierci, o swoim ciele spoczywającym wśród kwiatów, i o łzach koleżanek.

- Potrzeba mi trzystu funtów, Ewa - powiedziałem. - Pożycz mi, albo daj. Grisza ma dziecko i żonę. Chodzi o dziecko.

- Ładna jest żona Griszy? - zapytała mnie Ewa.

- Bo ja wiem? Chyba ładna.

- No to przyprowadź ją jutro razem z Griszą - powiedziała. - I niech się trochę lepiej ubierze. A wieczorem będziecie mieli trzysta funtów. Ja jej pomogę. Mnie też pierwszy raz pomogła taka jedna jak ja.

- Jeśli mnie kochasz - zacząłem.

- Dam ci w Jerozolimie - powiedziała. - Nie trzysta. Trzy tysiące. Może nawet więcej. Będziesz sobie w dzień chodził pływać, a wieczorem pójdziemy się bawić we dwójkę. Ale w Jerozolimie.

- Grisza by ją zabił - powiedziałem.

- Ale na mnie to się Grisza zgodzi, co? On jest twoim dobrym przyjacielem, on się nawet nie zapyta, skąd masz, żeby cię nie urazić. On kocha swoją żonę, ty kochasz mnie - cóż to dla ciebie za różnica.

- Bierzesz mnie na dietę, Ewa, co? - powiedziałem.

- Kocham cię - powiedziała. - Kurwy też kochają. Zapytaj się żony Griszy, jak nie wierzysz.

No i już, takie one są. Jeśli się przy czymś uprą, to nie ma na to ratunku. Dla nich życie to prawdziwy dramat, one się nie nudzą.

- To już nie mówmy o tym - powiedziałem. Leżałem koło niej; znów ogarniało mnie gorąco i z całej siły starałem się zapomnieć o tym tłustym, spoconym i cierpliwym człowieku, który na nią czekał. - Jestem twoim pierwszym - powiedziałem cicho. A ponieważ nie odpowiedziała, krzyknąłem prawie: - Pierwszym. Pierwszym, jakiego miałaś. Pierwszym w twoim życiu.

Milczała; z całej siły uderzyłem ją w twarz raz i drugi, a wtedy powiedziała:

- Tak.

Potem Ewa odeszła, a ja zdrzemnąłem się trochę. Obudził mnie głos zza ściany; to jakiś pobożny człowiek modlił się głośno. Leżałem w milczeniu i starałem się zrozumieć jego słowa. Musiał być to stary człowiek; słyszałem, że modlitwa go męczy, często brakowało mu słów. Było w tym coś strasznego i coś naprawdę wzniosłego, i leżąc bez ruchu wiedziałem już, że nie zapomnę tego dnia i tej modlitwy zza ściany, głosu starego człowieka, którego nigdy nie widziałem i nie zobaczę. Na dworze musiało być okropnie: czułem teraz chamsin i tutaj, w pokoju; brakło mi tchu, a moje serce waliło ciężko. Niebo ściemniało, a morze było nieruchome jak stal. Wszyscy byli zmęczeni i pełni rozpacz; wszyscy, którzy przyjechali tutaj, i ci, którzy się tutaj urodzili. Nie było dla nikogo wyjątku: ciemność i gorąc położyły się nad tym krajem; nad jego morzem i pustynią. Zdarzało się, że umierały zwierzęta i ptaki; ludzie umierali prawie zawsze. Zasypiając znowu, pomyślałem sobie, iż właśnie w taki dzień umierał Jezus. Nawet tego nie oszczędziło mu niebo; więc może On jeden, jeden jedyny przeszedł swoją drogę naprawdę aż do końca. Nie miałem już nic, ani niczego, ani nikogo; ale mogłem przynajmniej o tym myśleć leżąc tutaj, na tym łóżku, w tym dusznym pokoju, do którego dobijał się już już parę razy portier, ponieważ potrzebował go dla innych mężczyzn i innych kobiet; i byłem szczęśliwy, że mogłem o Nim myśleć w dzień śmierci Jego. Nikt mi nie mógł tego zabronić. Nikt. Ani mnie, ani nikomu innemu; gdziekolwiek bym poszedł i czymkolwiek

bym został. I dlatego wszystko przeminie prócz oblicza Jego.

I znów następnego dnia rano Grisza uparł się, żeby iść do autobusu aż do Haifskiej szosy.

- Ale ten pies, Grisza - powiedziałem. - Przecież ty wiesz, jak to ze mną jest. Rzuci się na człowieka takie bydlę i koniec. Ty będziesz się śmiał, ale ja mam dosyć curesów.

- Ej tam, pies - powiedział. - Po pierwsze, nic ci nie zrobił. Wstyd w ogóle mówić takie głupstwa. Ja tam lubię przejść się rano.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście go nie będzie, a wczoraj to tylko przypadkiem się tam napatoczył. Ale był: stał na środku drogi dokładnie o tej samej godzinie co wczoraj, zupełnie jakbyśmy się przedtem umówili telefonicznie. Chciałem skręcić w bok, ale zobaczył mnie. Przybiegł w podskokach; stanął na tylnych łapach i położył mi swoje ciężkie pazury na ramionach. Sam już nie wiedziałem, co robić; zdobyłem się na odwagę i poczochałem go po brzuchu. To mu się spodobało; zawarczał radośnie; polizał mnie tym swoim ognistym jęzorem; a potem poszedł za nami do autobusu.

- Wiesz co, Grisza - powiedziałem. - Zdaje się, że ten pies mnie lubi. On jeden wśród miliarda psów. To dobry znak dla nas.

- Nie taki dobry, jak ci się zdaje - powiedział.

- Dlaczego?

- Swołocz pies - powiedział leniwie Grisza. Uśmiechnął się krzywo. - Najwięcej to mi żal szakali - powiedział.

- Czemu?

- Bo one nigdy się stąd nie wydostaną - rzekł. Pogroził psu pięścią.

- A on stąd wyjedzie - powiedział. - I zawsze będzie mu dobrze.

- Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać? - zapytałem; tego dnia po raz pierwszy pomyślałem sobie, że Grisza zwariował. - Dlaczego ten pies ma stąd wyjechać i skąd ty wiesz takie rzeczy?

- Wiem - powiedział Grisza.

W urzędzie pośrednictwa pracy powiedzieli Griszy, że jeszcze nic dla niego nie mają, ale żeby się nie niepokoił. Potem znów poszliśmy w kierunku morza i umówiliśmy się na autobus o szóstej. Wziąłem od Griszy parę papierosów i poszedłem szukać Ewy. Nie było jej w kawiarni; ten mój kelner przyniósł mi butelkę piwa i odszedł. Nie upłynęło nawet pięć minut, jak podszedł do mnie jakiś.

- Chciałem z tobą porozmawiać, kolego - powiedział.

Usiadł; wiedziałem od razu, z kim będę mówił. Musiał mieć swoje dziewczyny; i musiał się już tym trudnić od wielu lat. Nauczyłem się już ich poznawać i nigdy nie dam się oszukać, nawet gdyby któryś z nich podszedł do mnie w szatach kardynała. Oni mówią tonem jakiejś

zawodowej dyskrecji; przy tym przyklepiają się człowiekowi do twarzy.

- Ewa to twoja pani - powiedział. - Prawda? Chodzi dla ciebie?

- Może i tak - powiedziałem. - Ale o co chodzi?

- Jest interes - powiedział. - Można zarobić ładne parę groszy. A ty przecież potrzebujesz pieniędzy, kochanie.

Już wiedziałem, o co chodzi; roześmiałem się.

- Chcesz, żebym wpakował Ewę na trochę - powiedziałem. - Tak?

- Właśnie - powiedział. - Ewa mieszka w Jerozolimie. Niech ona chodzi w miasto tam, gdzie mieszka. To nie sztuka pojechać autobusem do Tel-Awivu i tam łapać gości, bo każdemu wolno się zakochać i pójść do hotelu z dziewczyną. Nie?

- Tak - powiedziałem. - Ale ja już jestem w tym wieku, że dla mnie najprzyjemniejsza część gry miłosnej to żarcie. Możesz ze mną nie mówić na ten temat.

- Właśnie - powiedział, jakby nie słysząc zupełnie tego, co mówię. - I do takiej dziewczyny trudno się przyczepić. A potem ona wraca sobie spokojnie do Jerozolimy, tam gdzie nikt nie wie albo mało kto, i udaje porządną. Ale co mają robić nasze dziewczyny? Te, co chodzą tutaj?

- Cholera mi do waszych dziewczyn - powiedziałem. - Na tym świecie wszyscy chcą się różnić. Starczy i dla waszych.

- To nie tak - powiedział. - To nieładnie, że tak myślisz, kochanie. Ty na przykład w zeszłym roku pracowałeś przez pięć miesięcy na budowie bez pozwolenia na pracę i nikt cię nie ruszył, chociaż wszyscy wiedzieli. Dlaczego przestałeś tam pracować?

Wyciągnąłem do niego swoją prawą dłoń; w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku trafiła mnie kula zabierając kawałek kości, a potem w tym samym miejscu złamałem ją. Nie mogłem zacisnąć pięści; nie mogłem dźwigać niczego ciężkiego; a teraz on trzymał moją dłoń w swojej mocnej, gorącej ręce i oglądał ją uważnie.

- Musisz postarać się o lekką pracę - powiedział.

- Dziękuję ci, że to mówisz - rzekłem.

- Pomogę ci - powiedział.

- Ewa mi pomoże - rzekłem. - A te wasze będą miały przez ten czas okazję, żeby zeskrobać sobie odciski z tyłków.

Położył mi rękę na ramieniu.

- Ewa jest jak każda z nich - powiedział. - Jak one wszystkie, kiedy zaczynają. Jej się zdaje, że pewnego dnia znajdzie frajera, który się z nią ożeni; wezmą tę forsę, którą ona wytyłkowała, i zapomną.

Ale przecież ty nie jesteś tym frajerem, nie? Ty się z nią nie ożenisz, nie będziesz z nią razem żył, a jeśli nie, to grosza od niej nie zobaczysz. To nie jest interes dla ciebie. Zostaw to. - Znów położył mi rękę na ramieniu. - Nikt nie jest alfonsem dla przyjemności - powiedział. - Ale jak się raz człowiekowi noga powinie, to już będzie jechał na tyłku przez całe życie. Zostaw to. Ty mi załatwisz z Ewą, a ja ci dam parę funtów, to będziesz miał z czego żyć przez parę miesięcy. I zaczepisz się pomału przy jakiejś pracy. Zostaw to, proszę cię. - Patrzył na mnie ciężkimi, podpuchniętymi oczyma i uśmiechał się. - Ja ci daję tylko szansę - powiedział. - Bo jak nie ty, to kto inny. Każdy to dla mnie robi. Ale ja widzę, że tobie więcej potrzeba. Możesz się jeszcze przy czym innym zaczepić i będziesz jadł swój chleb. A Ewa tak czy tak tutaj chodzić nie będzie.

- Co jej zrobicie? - zapytałem.

- No cóż - powiedział. - Zrobimy jej. To co trzeba. Ale ty już z tego nic nie będziesz miał.

Dźwignął się ciężko; w ogóle był ciężki, opasły, ale wyglądał na porządnego chłopca. Na pewno miał żonę i dziecko; i na pewno ktoś go kiedyś kopnął i już się nie pozbierał.

- Przyjdź kiedyś wieczorem - powiedział. - Napijemy się, pobawimy się. Jak chcesz, pójdziemy do kina. - I wyznał nagle bezradnie: - Bo ja lubię kino. Za kino wszystko oddam. No to przyjdź, jak się namyślisz - powiedział. - Ja siedzę zawsze w tej kawiarni przy morzu - pokazał mi ręką. - Zapytaj o Ben-Ami, a jakby mnie nie było, to poczekaj trochę.

- I nie żal ci Ewy? - powiedziałem, żeby go trochę podrażnić. - Taka młoda, ładna dziewczyna, a ty ją chcesz wpakować do pudła. Nie żal ci jej?

Pochylił się ku mnie; poczułem jego oddech mocny od piwa i papierosów. Ale był to oddech zdrowego człowieka.

- Żal - powiedział. - Żal. Więcej niż tobie. Ty przecież nie jesteś alfonsem. Dla ciebie to na raz. A dla mnie na zawsze.

Odszedł. Czekałem jeszcze godzinę albo trochę więcej, ale Ewa nie zjawiała się tego dnia. Powiedziałem kelnerowi wskazując na pustą butelkę po piwie, że żona zapłaci, i kelner wykonał uspokajający ruch ręką; znaczyło to, że wszystko w lokalu jest do mojej dyspozycji. Lubiłem ten lokal; tu poznałem Ewę przed ośmioma miesiącami. Pamiętam jak dziś: siedziała przy stoliku obok grającego pudła, a ja tutaj, na tarasie. Wiedziałem, że to prostytutka, ale strasznie mi się podobała. Nie miałem w kieszeni więcej jak dwa funty, ale postanowiłem spróbować. Podeszedłem do niej.

- Chodź ze mną - powiedziałem.

- Dokąd chcesz iść?

- Nie wiem. Chyba do hotelu.

- Zapłacisz za hotel?

- Nie - powiedziałem. - Na pewno nie.

- Dlaczego? - powiedziała Ewa. - Tu już tak jest, że mężczyzna płaci za hotel. Nie wiesz o tym?

- Wiem - powiedziałem. - Pewnie, że wiem. Ale ja w ogóle nie mam pieniędzy. Ja wcale nie chcę iść z tobą za pieniądze. Przecież chyba tego nie powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i wtedy po raz pierwszy dobrze zobaczyłem jej oczy; ponure jak u nocnego ptaka. Wiedziałem już przedtem, że to histeryczka; myślałem że rąbnie mnie w głowę butelką albo coś w tym stylu. Ale nic takiego się nie stało. Ona po prostu patrzyła na mnie, a ja stałem i uśmiechałem się.

- A więc - powiedziała. - Na miłość?

- Tak - rzekłem. - Dokładnie tak.

- I ty mówisz to poważnie?

- Jak najbardziej - rzekłem.

Coś jakby zapaliło się w jej oczach. Wtedy myślałem, że mi się tylko tak zdaje, a dziś wiem to na pewno.

- Ty wiesz, co ja robię?

- Wiem.

- I nie przeszkadza ci to?

- Pewnie, że mi przeszkadza - powiedziałem. - Ale wolno mi się w kimś kochać, nawet jak coś przeszkadza. Zawsze zresztą coś przeszkadza.

- Dobrze - powiedziała.

No i poszliśmy. Poszliśmy najpierw na spacer, tą drogą, która prowadzi do Jaffy - spokojną ulicą, gdzie zawsze młodzi żołnierze uczą się prowadzić samochód; zjedliśmy obiad w Jaffie w takim jednym barze, w którym dają dopiero co złowione ryby, a potem wróciliśmy do Tel- -Avivu i Ewa zaprowadziła mnie do jednej starej wiedźmy, u której wynajmowała na dzień pokój; tam właśnie przychodzili jej klienci. Ewa poszła do pokoju, a ja z wiedźmą siedziałem w kuchni i słyszeliśmy wszystko, co się dzieje za ścianą. Tak mnie urządziła; myślała widocznie, że zażartowałem sobie z niej i chciała mi dać szkołę. Niewiele się tam za tą ścianą działo, ale przyjemne to nie było. Nie.

- Co pan taki chudy? - powiedziała do mnie ta wiedźma. - Co, pan ma może suchoty?

- Nie - powiedziałem.
- Pan tak wygląda. Mój brat tak wyglądał. Miał osiemnaście lat i już umarł.
- Jaka szkoda - rzekłem. - Ale pani się trzyma dobrze.
- Dobrze - zawarczała. - Mam obustroną przepuklinę. Oni mnie chcą operować, ale ja się nie daję.
- Niech się pani nie daje - powiedziałem stanowczo.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- A dlaczego nie?

Wtedy wyszła Ewa; ten gość mył się w toalecie i parskał jak koń. Pomyślałem sobie, że jak będzie jeszcze gwizdał arię torreadora, to chyba nie wytrzymam i dam mu w zęby. Ewa miała na sobie nie zapięty szlafrok i wtedy po raz pierwszy ujrzałem jej nogi. Usiadła mi na kolanach.

- No i co? - powiedziała.
- Ano nic - rzekłem. - Tak sobie gawędzimy z tą panią.
- Pocałuj mnie - powiedziała cicho; a ten gość wciąż jeszcze parskał w toalecie. Pocałowałem ją; lecz oczy jej były otwarte, cały czas otwarte, i miałem takie wrażenie, jakby ktoś oglądał twarz moją przez mikroskop.

Potem przyszedł następny; znowu targowali się za ścianą; i słyszałem, jak Ewa mówiła specjalnie głośno, abym i ja mógł to słyszeć. Ona proponowała mu, żeby poszedł do własnej matki, a on płaczącym głosem upierał się przy dwudziestu pięciu funtach. Wreszcie się zgodzili.

- Pan to chyba nie silny - powiedziała starucha mierzając mnie pogardliwym spojrzeniem. - Chory pan chyba też, tylko pan nie chce powiedzieć. Już ja to widzę.
- Gdzie pani to widzi?
- Ano tak - powiedziała. - Po wszystkim. Z moim bratem też tak było. Nawet pan podobny.
- Ach, mój Boże - powiedziałem. - To straszne. Ale wtedy nie było lekarstw.
- Co tam lekarstwa - powiedziała. - Ja mam przepuklinę, to i lekarstwa nie pomagają.
- Niech pani się zoperuje.
- Co tam operacja - zawarczała znowu. - Mam siedemdziesiąt lat. Niedługo umrę.

- Ach, Boże - przeraziłem się. - Niechże pani nie mówi takich rzeczy. To straszne.

Tamci za ścianą skończyli i Ewa znów wyszła do mnie. Tym razem pocałowałem ją sam; i tym razem zamknęła już oczy. Ta starucha poszła zmienić prześcieradło i słyszałem, jak wymyśla temu nieznanemu mężczyźnie, a on tymczasem łaził na rękach po pokoju szukając czegoś, co mu wypadło.

- No - powiedziała Ewa. - Kochasz mnie?

- Pewnie - powiedziałem. - Jak będziesz chciała, to z tym skończysz.

- I ty możesz to wytrzymać?

- Nawet nie wiesz, ile można wytrzymać - powiedziałem. Słyszałem coś takiego poprzedniego dnia na kowbojskim filmie z Allanem Laddem. Ponuro wbiłem wzrok w maselnickę stojącą na stole i jeszcze raz powtórzyłem: - Nikt nie wie, ile można wytrzymać.

Potem znów siedziałem z tą wiedźmą, a ona opowiadała mi o tym, że już przed pięcioma laty wycięli jej pół żołądka, czy nawet trzy ćwierci, i że ona musi często chodzić do toalety, a goście Ewy przeszkadzają jej w tym, i że "co oni tam robią". Mógłbym jej łatwo na to odpowiedzieć; i właściwie do dzisiaj nie wiem, dlaczego jej tego nie wytłumaczyłem. A potem ten trzeci poszedł i Ewa znów wyszła. Tym razem nie chciała, abym ją całował. Zaczęła płakać; zsunęła się z moich kolan i płakała leżąc na podłodze; i nigdy przedtem ani potem nie słyszałem już takiego płaczu. Tak płakaliby chyba tylko umarli, którym przyszłoby zmartwychwstać i żyć po raz drugi. Ta stara znów zmieniała prześcieradła, a Ewa wciąż jeszcze płakała leżąc nago na kamiennej posadzce. Patrzyłem na zegar; minęła godzina, potem druga. Wreszcie Ewa powiedziała do mnie:

- Nigdy nie myślałam, że będziesz mógł to wytrzymać. Nigdy.

Podniosłem ją i jakoś tam otarłem jej twarz. Ja też przedtem nigdy nie myślałem, że tyle można wytrzymać; Chryste Panie, nigdy nie myślałem, że jestem taki dzielny i że tak wiele cudzego nieszczęścia potrafię znieść.

Popatrzyłem na pustą butelkę po piwie, machnąłem kelnerowi ręką i poszedłem nad morze. Nie znalazłem tam Griszy; stary Rosjanin, który miał tam kiosk, powiedział mi, że Grisza poszedł już, ale jeszcze wróci. Rozebrałem się i położyłem na piasku; było gorąco, chamsin trwał już drugi dzień, fale nie podływały pod betonowe nadbrzeże - tak jak działo się to zazwyczaj o tej porze roku. Ludzie pochowali się do domów; nikt się prawie nie kąpał - tylko ja i jeszcze paru turystów, którzy nie dawali za wygraną i leżeli bezwładnie w piekielnym słońcu przykrywszy głowy płachtami "New York Herald Tribune" i "Jewish Chronicle". Nie lubiłem ich; byli wrzaskliwi i natarczywi; wyglądali śmiesznie w swoich ubraniach z tropiku przy ludziach urodzonych tutaj: pięknych kobietach i mężczyznach o atletycznej budowie, poważnych i skromnych, którzy pracowali ciężko, potrafili się bawić jak dzieci i umierali w milczeniu na wszystkich

granicach Izraela. Patrząc na tych i tamtych, trudno było uwierzyć, że należeli do jednego narodu. Przypuszczam, że ci, urodzeni tutaj, także nie bardzo w to wierzyli i nie dziwię im się. Codziennie ginęli na granicy młodzi żołnierze; ciągle o tym czytałem i słyszałem. Wierzę w to, że jeśli kiedyś ten naród spotkało nieszczęście, to wrogowie ich weszliby do pustego kraju: bez mężczyzn, bez kobiet i bez dzieci. Ci, urodzeni tutaj, mieli poczucie tragizmu swego losu, ale nigdy o tym od nich samych nie słyszałem; i dlatego tym ciężiej było mi, obcemu, pętać się po tym kraju bez pracy i ze świadomością tego, że nie jestem tu potrzebny w żadnej sytuacji i okolicznościach; i że nikt tu na mnie nie liczy. Gdzie indziej nie myślałbym wcale o tym.

Grisza przyszedł około trzeciej; rozebrał się i skoczył do wody - jemu jednemu chciało się pływać w taki dzień, kiedy człowiek godzinę myślał nad tym, czy warto się przewrócić z jednego boku na drugi. Nie widziałem nigdy silniejszego chłopca od Griszy: był szczupły, prawie chudy, ale jak z żelaza. Ciężko byłoby go dobić; chyba tak jak z kotem; a przecież wczoraj, pomyślałem sobie, tamten sponiewierał nas, jak chciał. Grisza wyszedł z morza błyszczący od wody, z dymiącą głową, i położył się obok mnie.

- Napiliś się? - zapytał.

- Pewno, żebym się napił - powiedziałem. - Ale zjadłbym coś przedtem.

- To nie wchodzi niestety w rachubę - powiedział Grisza. - Mogę wykombinować od tego starego z kiosku butelkę koniaku. Ale do jedzenia tam nic nie ma. Zresztą po co ci jeść? Będiesz szybciej pijany, kiedy rąbniesz sobie na czczo. U nas, w Odessie, chłopcy pili czasami wódkę z gorącą zupą, żeby się szybciej zaprawić.

- U was w Odessie - powiedziałem. - Spróbuj.

Podniósł się; ja dalej leżałem w ciepłym piasku, nawet nie spojrzałem za nim. Słyszałem tylko ich głosy. Grisza zaczynał z bardzo daleka, jak człowiek wyspecjalizowany w pożyczkach; jak wybitny artysta, który wierzy sobie i temu, że w swoim dziele będzie miał wiele do powiedzenia - eksponował temat, powoli i wytwornie.

- Gorąco dzisiaj - mówił Grisza.

- Ano, gorąco - potwierdził stary.

- Ale u nas w Odessie-mamie też i tak bywało - mówił Grisza. Bo ten stary też był z Odessy.

- Czto-że ty - oburzył się stary. - Gdzieś ty widział coś takiego? Oddechu złapać nie można.

- Pić się chce - delikatnie poddał Grisza.

- A tam, pić - powiedział stary. - Lepiej nie pić w chamsin. Wypijesz szklanekę, dwie, zaczniesz - a potem skończyć nie można. Zdrowia szkoda, mówię ci.

- Dajcie butelkę, zapłacę wam w tygodniu.

- O, nie - powiedział stary. - Ty wiesz, Grisza, jak to u mnie powiedziane: sierioznyj szcnot - haroszaja družba. U mnie na kredyt nic nie ma.

- Zmieniłi was tutaj, wuju - mówił z goryczą Grisza. - Was by już ludzie nie poznali w Odessie.

Zamknąłem oczy, przestałem słuchać; znałem zresztą ich teksty. Zawsze kończyło się na jednym: stary wybuchał straszliwymi przekleństwami i dawał Griszy na kredyt. Kłać to oni potrafili obydwaj i wypowiadali swoje teksty z namaszczaniem, z powagą, nie przerywając jeden drugiemu, niby dwaj wytrawni aktorzy w teatrze. Rosjanie mają poczucie własnej malowniczości i to jest w nich piękne.

Potem Grisza położył się koło mnie i nalał w szklanki. Stary krzyczał jeszcze z kiosku, że to grzech oszukiwać swojego ziomka, a potem zamilkł. Koniak przeszedł przez moje gardło jak ogień; wzdrygnąłem się, ale następna szklanka poszła już lepiej. Teraz nie chodziło już o nic; spokój był we mnie i spokój był wokół mnie; nieruchome morze, przydymione słońce i nieruchomy cień palm z nadbrzeża; nie istniało nic poza bezwładem i udręką tej ziemi palonej słońcem i nie chronionej ani odrobiną wiatru.

- Ten chamsin może potrwać i pięć dni - powiedziałem do Griszy. - Tak mi to jakoś wygląda.

- Kiedyś było już osiem.

- No i co?

- Nic - powiedział. - Przettrzymało się. Zresztą nad morzem nie jest jeszcze tak strasznie.

- Nie - powiedziałem. - Są ludzie, którzy go podobno nie czują.

- Nie bój się, poczują - powiedział Grisza. - Pobędą tu przez parę lat, to poczują. Ja też z początku nie czułem. Z każdym tak. Do tego się człowiek nigdy nie przyzwyczaja.

- On umarł właśnie w taki dzień - rzekłem patrząc na słońce skryte poza mgłą.

- Kto?

- On.

Wypiliśmy znowu; ci poprzykrywani płachtami "New York Herald Tribune" i "Jewish Chronicle" patrzyli na nas ze zgorzaniem: nie pasowało im to do obrazu, który przywieźli tutaj w swoich sercach. Grisza zauważył to: wyszczerzywszy zęby machał do nich ręką zapraszając do butelki, ale oni udawali, iż go nie dostrzegają: leżeli na swoich leżakach biali i drętwi, niby ryby wyrzucone

przyplływem, i cierpieli w słońcu.

- Pamiętasz Małpiego Kapitana? - zapytał mnie nagle Grisza.

- Pewnie, że pamiętam - powiedziałem. - Poznaliśmy go przecież w Ejlacie.

- A jego statek pamiętasz?

- Pamiętam. To była taka spacerowa trumna, na której pojechał po małpy do Abisynii, czy gdzie tam. No więc? Co z nim?

- Nic - powiedział Grisza. - Pytałem się dzisiaj o niego. Przepadł razem ze swoim statkiem.

- A małpy? - zapytałem leniwie. - Małpy też przepadły?

Wiedziałem, że miał przywieźć te małpy, ale nie mogłem sobie przypomnieć po co. Zdaje się, że dla jakichś doświadczeń czy coś w tym rodzaju. W każdym razie było to malownicze.

- Nie wiadomo w ogóle, czy dojechał - powiedział Grisza.

- Na pewno dojechał - rzekłem.

- Skąd wiesz?

- Wiem - powiedziałem. - I zabrał te małpy. Dopiero w powrotnej drodze rozpieprzył się razem ze swoim statkiem. A teraz wiosłuje sam z powrotem. Ale nie tak bardzo sam. Uratował bowiem ładunek. I teraz płynie sam z małpami, bo miał za to obiecaną forszę, a małpy robią mu tysiące psikusów. Ale on nie daje za wygraną. Jest z nimi sam na sam wobec wieczności. I płynie. Tylko mu się klepki poprzesuwały w mózdzku i od czasu do czasu czuje, jak mu ogon rośnie. Ale nie daje się losowi. Takim powinien być człowiek.

- Słuchaj - powiedział nagle Grisza. - Ty nie sprzedajesz spluwy?

- Nie.

O szóstej wracaliśmy do domu przez nasze pole; i naturalnie ten staruszek dreptał koło nas - ten, który miał siostrzeńca Billy'ego w Stanach. Opowiadał nam, jak Billy zaczynał: od biedy, z niczego, nie mając na kawałek chleba, a dzisiaj jest kimś, z którym każdy musi się liczyć. Billy przysłał mu swoje najnowsze zdjęcie i stary pokazał je mnie i Griszy: Billy siedział upozowany jak "Myśliciel" Rodina i tłusty podbródek przepływał mu fałdą między palcami. Na dworze było czterdzieści pięć stopni i pomyślałem sobie, że dużo bym dał za to, żeby w taki dzień spotkać Billy'ego i strzelić go w pysk bez żadnych wyjaśnień. Wtedy właśnie to wielkie auto przejechało tuż obok pokrywając nas rdzawym kurzem.

- To on - powiedział Grisza.

- Jesteś pewien? - zapytałem głupawo.

Nie odpowiedział mi; miał prawo mi nie odpowiadać - w piekle poznałbym ten samochód - wielki, amerykański White o dziesięciu kołach - i jego kierowcę, który zawsze w czasie jazdy wysuwał nonszalancko nogę w sandale. Oczy Griszy zwęziły się jeszcze bardziej, twarz mu skrzepła; milczeliśmy, nawet ten stary się przymknął; tylko psy szły półkołem za mną jak zwykle - najeżone, warczące cicho i nieprzerwanie, pełne sobie tylko wiadomej nienawiści.

Weszliśmy do baraku; Lena stała przy kuchni, a mała Lena siedziała na łóżku trzymając w jednej ręce bułkę z kiełbasą, a w drugiej tabliczkę czekolady. Grisza nic jeszcze nie powiedział; spojrział tylko na Lenę i ona od razu zrozumiała.

- Przyniósł dziecku czekoladę - powiedziała. - I coś do zjedzenia. Miałam może nie wziąć?

Grisza podszedł do małej; delikatnie wziął z jej rąk czekoladę i bułkę. Mała Lena rozbeczała się od razu.

- Idź, przejdź się z dzieckiem - powiedział do mnie.

Stałem niezdecydowany. Widziałem twarz Leny i jej błagalne spojrzenie; myślała, że wszystko zależy ode mnie.

- Idź, przejdź się z dzieckiem - powtórzył cicho Grisza. Podszedł do mnie i uderzył mnie lekko w pierś. - Przecież powinieneś wiedzieć, że nie samym chlebem człowiek żyje - powiedział. - Ty, katolik.

Popatrzyłem na niego, ale on mnie nie dostrzegał. Wziąłem małą na rękę i wyszedłem. Zeszliśmy nad morze, ale i tu także było pusto. Ta mała Lena ważyła już coś niecoś i było mi trochę ciężko i niewygodnie; postawiłem ją ostrożnie na piasku.

- No, Lena - powiedziałem. - Zrób sobie jakiś zamek z piasku. Albo dom.

- Nie chcę - powiedziała płaczliwie. - Chcę do domu.

- Ej, tam, do domu - powiedziałem. - Taka duża panna. Przejdziemy się trochę.

- Do domu - powtórzyła uparcie.

Nie miałem jej czym zabawić; gdybym miał forszę, to mógłbym jej przynajmniej kupić lody albo coś w tym rodzaju. Rozglądałem się bezradnie, a nagle pewna myśl wpadła mi do głowy.

- Chodź, Lena - powiedziałem. - Pokażę ci psa.

- Nie chcę psa.

- Ale on jest wielki jak niedźwiedź - powiedziałem. - Jak Michajło Michajłowicz. Bo on jest naprawdę niedźwiedziem. Tylko wygląda tak trochę jak pies. Chcesz?

- Niedźwiedzia chce - powiedziała mała Lena.

- No to chodź.

Wziąłem jej małą łapkę i poszliśmy brzegiem morza. Piasek chrząścił pod naszymi stopami; przeszliśmy obok łodzi rybackich, niedbale zabezpieczonych, i sieci porzuconych przez nich - im także było dość chamsinu. Spojrzałem na niebo; nic nie wskazywało na to, że chamsin przejdzie do jutra, złamie się - jak mówili tutejsi. Niebo było jak przydymione, ciemne i morze leżało martwe, bezszelestne, niby na zawsze pokonane. Przypomniałem sobie nagle, że kiedyś pewna kobieta powiedziała do mnie: "chciałabym być jak morze, żyć wiecznie". Ona mogła tak myśleć; ona, której tu nigdy nie było.

- Daleko jeszcze? - zapytała mała Lena.

- Już blisko - powiedziałem. - Nie wstyd ci pytać? Twój tata jest lotnikiem; pomyśl, ile on w życiu kilometrów przeleciał.

- Ale już nie lata - powiedziała chytrze.

- No to będzie latał.

- Kiedy?

Ścisnąłem jej rączkę.

- Sama go o to zapytaj - powiedziałem.

Znów szliśmy wśród szeregu domków, w których powinny mieszkać lalki. Zobaczyłem go; zobaczyliśmy się nawzajem w jednej chwili. Podbiegł do mnie, a właściwie skoczył potężnym susem, jakby go wystrzelono z katapulty. Mało by brakowało, a przewróciłby mnie; ledwo się zdążyłem zaprzeć nogami w ziemię.

- To właśnie on - powiedziałem. - Michajło Michajłowicz.

- Jaki wielki - powiedziała.

- No pewnie - rzekłem. - To niedźwiedź. - Wziąłem w ręce jego gorący łeb i powiedziałem mu cicho: - Ty jesteś jedynym psem, który mnie lubi, co? Ty, jeden jedyny. O, nie myśl, broń Boże, że jestem pijany. Wypiłem trochę z Griszą, ale to nic nie znaczy. Jak będę miał kiedyś forszę, to przyjdę tutaj i ukradnę cię. I zwiejemy stąd razem; i zostaniesz już na zawsze ze mną.

- Co ty mu mówisz? - zapytała mała Lena.

- Tak sobie trochę gadamy - powiedziałem. Usiadłem pod płótem i zapaliłem; jednego, potem drugiego. Patrzyłem, jak mała Lena bawi się z Michajłem Michajłowiczem usiłując przewrócić go na ziemię, na co on się łaskawie zgadzał, i przysięgłem sobie, że go kiedyś ukradnę. I będę go taszczył ze sobą z jednego końca świata na drugi, choćbym sam nie miał co żryć; to wielkie, kudłate i gorące cielsko, które okazało mi tyle przychylności. A potem wróciliśmy do domu; Grisza siedział już pod barakiem i palił.

- No i jak, Grisza - powiedziałem. - Pogodziliście się?

- Nie - powiedział.

- Noc was pogodzi.

- Może. Idź, zobacz, jak tam z nią.

Wszedłem do baraku; Lena leżała na łóżku. Nigdy się między nich nie mieszałem, ale tym razem za bardzo ją skatował. Twarz jej była sina, obrzmiała. On to umiał; owijał jej włosy dookoła swojej pięści, tak że się ruszyć z bólu nie mogła, a drugą ręką walił ją nie odzywając się przy tym ani słowem. Odwróciła się powoli ku mnie.

- I za co - powiedziała. - Za to, że wzięłam coś dla dziecka. Przecież nie dla siebie.

Stałem w milczeniu i patrzyłem na nią; w kącie poniewierała się rozdeptana tabliczka czekolady. Schyliłem się bezwiednie i podniosłem ją. Potem znów popatrzyłem na jej zapłakaną, zbitą twarz.

- Wszystko będzie dobrze, Lena - powiedziałem.

- Zbyt długo to mówisz. Ty i Grisza.

- Będzie dobrze - powiedziałem patrząc na lepka masę trzymaną w ręce. Bo już wiedziałem, że musi się tak stać. Podszedłem do niej i wyciągnąłem rękę; chciałem ją pogłaskać, ale rzuciła się w kąt łóżka jak pies uciekający przed kijem: bała się mnie. Więc wiedziałem już, że tak musi być. Wszedłem przed barak i usiadłem obok Griszy. Wciąż jeszcze trzymałem tę przekłętą czekoladę w ręce i nie wiem dlaczego, głupio było mi ją wyrzucić. Człowiek czasem bywa dziwny dla samego siebie i to jest niedobrze.

- Mnie tam diabli to tego - powiedziałem. - Ale to za bardzo, Grisza. Nie wzięła przecież dla siebie. Każda matka by wzięła. A że facet się do niej przywala, to co innego. Porachujemy się jeszcze z nim. Lena to ładna kobieta, Grisza. Mnie się też podoba.

Podniósł się nagle; stanął przede mną ciemny i wysoki; twarzy jego nie widziałem w mroku.

- Słuchaj, serce - powiedział cicho. - Niech Lena sama je to, co dostaje od tego faceta, który się do niej od dwóch miesięcy przywala. Niech je i niech jej to pójdzie na zdrowie. Ale niech nie daje tego mojemu dziecku. To ja już wolę, żeby moje dziecko głodowało. - Milczał chwilę, potem powiedział: - Bo ja tego kraju nie opuszczę, nawet żebym miał tutaj umrzeć bez pochowania. Nie wiem jak ty; tyś nie Żyd i możesz stąd wyjechać. Ale ja jestem Żydem i tu zostanę. I codziennie będę próbował od początku, dopóki czegoś nie znajdę i nie urządzę się. I to nie chodzi o to, że jest mi ciężko, bo ciężko tu było każdemu, a jeśli nie każdemu, to na pewno takim jak ja. Ale dla mnie nie ma stąd drogi, bo jeśli pójdę stąd, to już nigdy nie odpocznę i nigdy nie będę mógł sobie powiedzieć, że zrobię coś jutro. Bo to będzie już za dużo. Bo naprawdę, to jest tylko tak

jak w modlitwie. Wiesz?

- Wiem - powiedziałem. - Jeden jest Bóg i jedna ziemia. - Uczułem w swojej ręce coś obrzydliwego i lepkiego. Była to czekolada; odrzuciłem ją.

- I to już wszystko - powiedział Grisza.

- Tak - powiedziałem. - To już wszystko. Ale kobiety...

- Co kobiety - przerwał mi Grisza. - Może ona myślała wtedy, kiedy wychodziła za mnie za mąż, że ja Żyd i potrafię robić interesy? Co mnie to obchodzi? Ja stąd nie wyjadę.

- Nie - powiedziałem. - Nie wyjedziesz stąd, Grisza. I niedługo już coś znajdziemy. Zobaczysz.

- Pewnie - powiedział. - Pójdiesz się wykapać?

- Pójdę - rzekłem. - Co bym miał nie iść?

Rozebraliśmy się do naga i poszliśmy w morze. Nikt nas nie mógł zobaczyć; ludzie spali już lub starali się usnąć, ciężko łapiąc powietrze, którego nie było, którego brakowało; tak jakby Bóg raz jeszcze chciał wypróbować swoją ziemię i ludzi tu żyjących. Czułem, jak pot spływa po mnie, jak drażni moją skórę; i zdawało mi się, że czułem go jeszcze w wodzie, kiedy płynąłem już obok Griszy; w ciemności i w wodzie nie przynoszącej ukojenia. Kończył się drugi dzień chamsinu.

Zobaczyłem go od razu; siedział pijąc to samo piwo, które ja zawsze zamawiałem u tego kelnera, który mnie tak wielbił bezinteresownie. Pił je wygodnie rozparty, ubrany w czystą, białą koszulę, której rękawy ktoś mu popodwijał, starannie i z dbałością. Usiadłem koło niego, a on pytał:

- Czego się napijesz?

- Piwa - powiedziałem. - To samo co ty.

- Dobrze - powiedział. I do kelnera: - Gold Star.

Wtedy coś mi strzeliło do głowy.

- Nie - powiedziałem. - Chcę sody. Sody z koniakiem.

Pozwolił mi wypić, czekał. Najgorsze to to, że go lubiłem. Nic na to nie mogłem poradzić i czułem się wstrętnie. Znałem facetów, którzy przyjaźnili się gorąco z kochankami własnych żon; teraz ich rozumiałem. Tak samo i z tym; ja nawet myślę, że ze wszystkich Apostołów Judasz najbardziej kochał Chrystusa, a że Go sprzedał, to już zupełnie inna historia, ale wierzył w Niego najbardziej ze wszystkich. Najgorsze jest chyba to, że z biegiem życia dochodzi się do pełnej prostoty; tylko że już nie bardzo jest wtedy po co żyć.

- No więc? - powiedział.

- Jak to załatwimy?

- A tak właśnie.

Wyciągnął z portfelu wąski, złoty zegarek z bransoletką. Położył go przed sobą na stole.

- Pójdiesz z Ewą do hotelu - powiedział. - Jak już się rozbierzecie, pošlesz ją po szklankę wody. Albo poczekasz, jak ona pójdzie...

- Wiesz co - powiedziałem. - Do mnie kiedyś jedna właścicielka pensjonatu w Berlinie powiedziała, że mężczyzna, który nie odlewa się do umywalni, nic nie jest wart w jej oczach. Teraz widzę, że miała rację. Ze mną by się ten żart nie udał. Ja zawsze uważam na takie rzeczy.

- Rób tak zawsze - powiedział. - No, dalej. To wam zajmie jakąś godzinę, może półtorej. - Spojrzał na zegarek. - A do wpół do drugiej, do drugiej będziesz miał policję.

- Policję? - zdumiałem się. Powiedziałem to takim tonem, jakbym nigdy nie oczekiwał tego słowa. A zawsze wydawało mi się, że mimo wszystko najciężej przychodzi w życiu udawanie idioty.

- Policję - powiedział. - Oni tam przyjdą na kontrolę, a chyba policjantowi wolno wziąć do ręki torebkę prostytutki? Policjantowi, który mniej więcej wie, co zostało skradzione na jego rewirze; on to ma wszystko zapisane w swojej książeczce. Bo ten zegarek został trzy dni temu skradziony takiemu jednemu, który się poszedł zabawić z dziewczynką. No więc? Wszystko jest jasne?

- Tak - powiedziałem. Wziąłem zegarek ze stołu i chciałem go schować do kieszeni. Wyjął mi go z ręki i wytarł starannie chusteczką, a potem dopiero podał mi go. Chusteczkę wsunął mi do kieszeni. Potem do tej samej kieszeni wsunął pieniądze; nie liczyłem ich, ale było na pewno więcej jak trzysta.

- No, to tak, jakbyśmy załatwili - rzekł. - Chcesz się jeszcze czegoś napić?

- Tak - powiedziałem. - Chętnie.

Chciałem zostać z nim jeszcze trochę. Miałem nadzieję, że rozmyślę się; wstanę, oddam mu z powrotem pieniądze i zegarek. Piłem swój koniak patrząc na wielkie skrzydło wentylatora kręcące się niepotrzebnie; mogłeś podsunąć rękę i nie czuć nic. To był już trzeci dzień chamsinu i po raz pierwszy od czasu, jak przyjechałem tutaj, czułem go porządnie: nie chciało mi się nic, ani jeść, ani spać, nie wiem nawet, po co piłem ten koniak. Byłem zły na Ewę, że mam jeszcze tyle do zrobienia przed wieczorem; wieczór mimo wszystko daje złudzenie odpoczynku. Byłem wściekły na nią, że muszę podnieść się od stolika i przejść na drugą ulicę: pięćset kroków w słońcu.

Dopiero później, w hotelu, leżąc obok Ewy poczułem się trochę

lepiej. Ten pobożny człowiek za ścianą, którego słyszałem przed dwoma dniami, modlił się i dzisiaj. Ja nie mogłem mówić, Ewa także nie; oddychaliśmy ciężko, niby poprzez maski, a on modlił się monotonicznie i żarliwie, tak jakby jemu tylko jednemu dana została siła na przetrwanie tych dni. Wszystko ucichło; nie było słyhać nawet głosu dzieci, które wrzeszczały zazwyczaj od rana do wieczora; nic, tylko ten stary tam za ścianą i głos modlitwy jego; nie błaganie, nie prośba; lecz tak, jakby surowo upominał się o swoje prawa i wystawiał Bogu rachunek wszystkich krzywd jego i tych, którzy przeszli już i przyjdą. Wiedziałem, że przyszedłem tu po coś, ale po co - tego nie mogłem sobie przypomnieć; w dodatku ten stary za ścianą mieszał mi do reszty w głowie. Było mi zresztą wszystko jedno. Nie chciałem o niczym myśleć ani niczego sobie przypominać; tak czy inaczej, nic nie było ważne w porównaniu z tym pokojem, pustym prawie pokojem bez odrobiny powietrza. Patrzyłem na dach przeciwległej kamienicy, na którym leżał martwy ptak; spadł tam przed dwiema minutami i nie poruszył się ani odrobinę; śmierć dosięgła go w locie.

Ewa wstała nagle, okręciła się prześcieradłem. Zapaliła papierosa; stojąc już w drzwiach powiedziała do mnie:

- Przyniosę ci coś do picia.

Wtedy przypomniałem sobie; z rozpaczą pomyślałem, że muszę wstać z łóżka i wrzucić do jej torebki ten przeklęty zegarek. Zatoczyłem się po pokoju, zrobiłem to i z powrotem wróciłem na łóżko. Widziałem, że chustka, którą dał mi ten pocziwiec, wypadła i leży na podłodze, ale za nic w świecie nie chciało mi się wstać i podnieść jej. Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak zmęczony, a w dodatku będę musiał jeszcze wstać, kiedy przyjdzie policja.

Ewa wróciła po chwili; postawiła przede mną butelkę piwa. Podniosłem ją do ust rozlewając trochę.

- Pojedziesz? - zapytała.

- Pojechać - przeraziłem się. - Dokąd?

- Ze mną. Do Jerozolimy.

- Nie - powiedziałem. - Nie mówmy więcej na ten temat. - Uniosłem się na łokciu. - Skończ z tym - powiedziałem. Z przerażeniem zobaczyłem, że Ewa poczyna się ubierać. - Wyjedziemy stąd razem - powiedziałem - ale tam, gdzie nikt nas nie zna. I dopiero tam pomyślimy, co będziemy robić dalej. - Bałem się, że odejdzie, a oni jeszcze ciągle nie przychodzili - może ten idiota dał im fałszywy adres - a Ewa była już w sukience. Musiałem sobie przypomnieć teraz całą literaturę świata, wszystko, co napisano o miłości; a spieszyło mi się. - Nigdy nie jest za późno - powiedziałem. - Nie, nigdy. A ja nie będę o tym myślał, co było, nie będę ci niczego pamiętał. Będę zawsze myślał, że jestem twoim pierwszym. Jak zawsze wtedy, kiedy idziesz ze mną.

Odwróciła się ku mnie.

- Tak nigdy nie było - powiedziała patrząc na mnie swymi ponurymi oczami. - Zawsze już ktoś był przed tobą. I dzisiaj też. Taki miły staruszek, który musi nosić suspensorium i składa je zawsze starannie na krześle. Nie daj się okłamywać tak głupio.

Zwinałem się: trafiła celnie. Mogła mi tego zaoszczędzić. Człowiek zawsze rozumie je wtedy, kiedy odchodzą już naprawdę. Tylko tego dnia, ale ani o minutę wcześniej. Choćbyś nawet żył z jaką przez dziesięć lat czy więcej, to i tak nic z tego; one zawsze mają w kieszeni taki drobiazg, który ci wszystko zniszczy w tej właśnie chwili; tak że zostaniesz nagi i pusty i będziesz musiał wszystkiego się uczyć od początku, zupełnie od początku. Już one ci potrafią wyrwać ostatnie kolorowe pióro z tyłka. Ale nie miałem czasu o tym myśleć; Ewa stała przed lustrem i zapinała sukienkę.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - powiedziałem. - Po co? - Znow zabrakło mi słów; w dodatku ten za ścianą mówił coraz głośniejsze. - A przecież było nam tak dobrze - powiedziałem z goryczą zerkając przy tym na zegarek. - Powiedz, że kłamałaś - krzyknąłem prawie, patrząc, że sięga pod łóżko po swoje pantofle. Była za piętnaście druga.

- Dlaczego? - powiedziała. - Bo chcę ci dać te trzysta funtów, żebyś zaczął pracować. Ale nie chcę cię więcej widzieć. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej. No więc. Dam ci pieniądze, ale należy mi się przynajmniej, żebyś wiedział, skąd je mam, nie?

Milczałem.

- I potem idź sobie do diabła razem z twoim Griszą - powiedziała. - Usiadła koło mnie. - Ja nie chcę żadnych pięknych wspomnień - powiedziała. - I nigdy ich nie chciałam. Ty pewnie myślisz, że ja jestem nieszczęśliwa albo że ja cierpię, ale to nieprawda. Nie.

Urwała nagle; bałem się, że może pójdzie i nie dokończy. Przypomniałem sobie nagle jakiś film z Charles Boyerem; ten facet miał doprowadzone do perfekcji drżenie warg. Spróbowałem tak samo.

- Wiesz - powiedziała Ewa - miałam kiedyś narzeczonego, ale nie chciałam go. Puściłam się pierwszy raz z moim nauczycielem, takim starym parszywcem, który zawsze nosił watę w uszach - zimą i latem. A potem patrzyłam, jak stoi przed lustrem i chusteczką do nosa wyciera sobie szminkę, tak żeby żona nie poznała. Więc nie mów mi już niczego więcej. Przyjdź o szóstej, dam ci pieniądze. Albo lepiej poczekaaj tutaj.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście poczekać tutaj; gdzie się miałem włóczyć do szóstej. Nic mi nie przychodziło do głowy i z trudem uświadamiałem sobie dlaczego: bo był to trzeci dzień chamsinu i trzeciego dnia jest najgorzej; ale to już było wszystko, co wiedziałem - nie mogłem złapać tchu, nie czułem własnego serca. Coś mi się błąkało po głowie, że ktoś umierał właśnie w taki dzień; w trzeci dzień chamsinu bez powietrza i wiatru, ale kto to był? Nie znałem go, nie widziałem. Zdawało mi się, że wystarczy tylko trochę pomyśleć i będę wiedział, kim on był; na pewno; ale wysiłek przerażał mnie. Tak czy inaczej ten ktoś już umarł i nikt mu nic nie mógł pomóc; któż mógłby cokolwiek pomóc w taki dzień? Myślałem

tylko, że o szóstej przyjdzie Ewa i coś mi przyniesie. Może ona wtedy powie mi, kim on był i dlaczego umarł. I może wtedy będzie już trochę wiatru i chłodu; i może będę potrafił znowu myśleć i wiedzieć, po co tu przyszedłem i jak się nazywam; a może nawet będzie mi się chciało jeść - pójde wtedy na róg, do arabskiej restauracji, zamówię sobie coś, co przywróci mi siły i młodość; i wtedy właśnie oni zapukali do drzwi.

Wracałem do domu przez zachodnią dzielnicę miasta. Autobus był prawie pusty; ja tylko i paru żołnierzy, opalonych i pięknych, którzy spali zmęczeni powiedziawszy uprzednio kierowcy, aby ich zbudził, kiedy będzie trzeba; głowy ich podskakiwały, kiedy autobus szarpał gwałtownie - ci kierowcy mieli temperament, jakby płacono im tylko za szybkość; zęby cierpły, kiedy człowiek patrzył, co oni wyprawiali z tymi starymi pudłami - w tej dzielnicy tylko takie kursowały. Ja tę dzielnicę lubiłem najbardziej ze wszystkich dzielnic Tel- -Avivu; pracowałem tu kiedyś, dopóki kamień szlifierski nie rozharatał mi palców prawej ręki. Znałem każdą ulicę; wszystkie warsztaty wyrabiające najdziwniejsze przedmioty z miedzi i brązu; ciemne sklepy, w których można było kupić mundury armii amerykańskiej, małe knajpy, w których siedzieli pobożni wraz z niepobożnymi jedząc w milczeniu i szybko, gdyż tutaj pracowali wszyscy, spieszyło się każdemu; wszyscy byli rzeczowi i pracowici: ci rzemieślnicy, szewcy, sprzedawcy pasów wojskowych z czasów pierwszej wojny światowej - znałem ich, znałem ich dobrze, niektórych nawet po imionach: Syn Niedźwiedzia, Syn Narodu, Wilk syn Wilka, Lew syn Lwa; lub kobiety - Wiośniara, Mała Kropelka Rosy; w żadnej innej stronie świata nie było tyle poezji. Więc pomyślałem sobie jadąc tym autobusem, że nie można zniszczyć narodu i języka; nikt tego nie potrafi. Nikt nie wie, jak zniszczyć nieśmiertelność jakiejś sprawy, bo czasem mieści się ona w czymś, na co nie sposób zwrócić uwagi; w czymś, koło czego przechodzi się obojętnie lub z pogardą, a co pozostaje nie dotknięte i niepokonane; i w czym mieści się cała różnica pomiędzy zabiciem a pokonaniem. Ale dla nas samych jest to tajemnicą. Świat pełen jest śmieci, w których jedni ludzie drugim usiłują wyjaśnić coś, czego zrozumienie wymaga jednej tylko chwili. Wierzę, że każdemu dana jest taka chwila; i wierzę, że każdy ją zmarnował.

Czułem się już trochę lepiej; czułem, że to już ostatnie godziny chamsinu - potem, kiedy szedłem do naszego baraku poprzez pole porośnięte ostrymi chwastami, a psy jak zwykle czaiły się gdzieś w ciemności. Gdzieś, nad morzem niebo stawało się już czystsze i jaśniejsze; wiatr mógł każdej minuty zerwać się nad ziemią i powiać od Galilei aż do pustyni, a wtedy wszyscy ludzie leżący w ciemności zapaliliby światła i poszli kapać się do morza: znów żywego, pełnego chłodu i pachnącego ostro; i pewnie wtedy rybackie statki poczęłyby znów nawoływać się światłami - tak jak pierwszego dnia, kiedy przyjechałem tutaj. Ale teraz jeszcze było ciężko; trwała jeszcze susza; ziemia nie daje się oszukać - szedłem więc niosąc w sobie tylko przeczucie, nic poza przeczuciem, a te psy cicho biegły za mną w ciemności.

Grisza siedział przed barakiem. On jeden nie skarżył się na chamsin; on wszystko potrafił wytrzymać. Przysiadłem ciężko obok niego, nagrany piasek sparzył mnie nagle w tyłek; Grisza podał mi

papierosa i zapaliłem.

- Zrobiła Lena coś na kolację? - zapytałem.

- Nie - powiedział.

- Nie szkodzi - rzekłem szybko. - Kupimy coś, a ona już pomyśli, co z tego zrobić. Może ze dwie puszki mięsa?

- Nie - powiedział.

- Dlaczego, Grisza?

- Bo nie ma Leny - powiedział. - Zabrała małą i uciekła z tym facetem. Sami sobie musimy coś zrobić. Ale poczekajmy jeszcze; jeszcze jest za gorąco.

- Tak - powiedziałem. - Poczekamy jeszcze.

Milczeliśmy chwilę; teraz już widać było, że księżyc przecierał się zza mgieł; mogło to trwać godzinę jeszcze lub dwie, ale nie więcej.

- Jak myślisz - powiedział Grisza. - Chyba jej nie będzie źle z tym swołoczem, co?

- Nie - powiedziałem. - Na pewno nie. - Ale wściekłość poczęła mnie dławić. - Powiedziałem ci - rzekłem do Griszy - żeby sprzedać moją spluwę i koniec. Przynajmniej jadłyby przez parę dni, Lena i mała.

Odwrócił się ku mnie.

- Ja chciałem dla nich lepiej - powiedział. - Przysięgłem sobie, że jak ten chamsin minie, a ja nie znajdę pracy, to zrobię z nimi i ze sobą porządek. No, ale już pojechały.

- To nic, Grisza - powiedziałem. - Jutro pójdziemy do tego faceta i on załatwi nam pracę. Mam forszę. Wiesz, te trzysta funtów.

- Ewa ci dała? - zapytał.

- Tak.

Potem weszliśmy do baraku, a Grisza przyniósł butelkę koniaku obudziwszy uprzednio właściciela sklepiku. Nie chciało nam się niczego gotować, więc piliśmy tylko ten koniak i jedliśmy pomarańcze na zakąskę. Koniak nie szedł nam do głowy, więc Grisza poszedł jeszcze po drugą butelkę i znów musiał budzić tego gościa od sklepu; słyszałem, jak sobie wymyślali, potem Grisza wrócił. Tę drugą piliśmy już pod barakiem; i wtedy, po raz pierwszy od trzech dni, zobaczyłem znów światła statków rybackich na morzu.

- Patrz, Grisza - powiedziałem. - Chamsin przeszedł.

- Ale jeszcze gorąco - powiedział.

- Tak - zgodziłem się - gorąco.

- A jutro pojedziemy autobusem do miasta - powiedział cicho Grisza.
- I złapiemy jakąś robotę o szóstej piętnaście.
- Dobrze - powiedziałem. - Ale nie stąd. Z Haifskiej szosy.
- Nie. To już niepotrzebne.
- Niepotrzebne?
- Pamiętasz tego psa - powiedział. - Tego wielkiego kudłacza, który cię tak przestraszył?
- O, Boże - powiedziałem. - On mnie pyta, czy ja go pamiętam. Ja go pamiętam lepiej od własnej metryki urodzenia, Grisza.

Roześmiał się.

- No, więc - rzekł. - To jest pies takiego jednego bogatego skurwego syna, który tu przyjechał ze Szwecji i przywiózł ze sobą całą kupę forsy. Ja znam tego psa. Jak zobaczyłem, że ciebie tak psy nienawidzą, to pomyślałem sobie, że jak cię ten kudłacz trochę pogryzie - ot tak sobie, bez żadnej zaczepki - to dostaniesz od tego skurwysyna całą kupę odszkodowania i pociągniemy przez parę dni. Ale akurat ten nic do ciebie nie miał, nie? - Nie odpowiedziałem mu, więc powiedział tak, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić: - Ale tego to ja już nie mogłem wiedzieć.

- Tak - powiedziałem. - Ten akurat nic do mnie nie miał.

Nalałem sobie pełną szklankę koniaku i wypilem ją jednym haustem nie czekając na Griszę; kropelki nawet na dnie nie zostało. Byłem już pijany; czułem to i dobrze mi było z tym. Więc wypilem jeszcze raz trąciwszy się z Griszą i czułem, jak to ciepło podnosi się we mnie; wyżej i wyżej, niby płomień. Chamsin już przechodził i z powrotem mogłem myśleć; to piękne uczucie - być trochę pijanym i móc myśleć. Teraz już wiedziałem, że wszystko stało się przez niego, że on jeden jest winien wszystkiemu; temu, że odeszła Lena od Griszy; temu, że Ewa wyskoczyła z okna hotelu, kiedy policjanci chcieli ją zabrać; i temu, że ja i Grisza od dwóch miesięcy chodziliśmy bez pracy. Był on winien temu, iż żyjemy i że chamsin palił od trzech dni tę ziemię, ale teraz już przechodził - już wiatr nadciągał od morza i morze znowu zapachniało, a ja mogłem myśleć i nic nie rwało się w mojej głowie jak każdego z tych trzech dni. Ale ile wycierpieliśmy wszyscy przez niego; i dlaczego nie zrozumiałem tego wcześniej? Wszedłem do baraku i wyciągnąłem spod łóżka mój pistolet, wsadziłem go do tylnej kieszeni spodni i wróciłem zaraz do Griszy. Nalał mi znowu; wypilem szklankę i jeszcze jedną, aby nie zapomnieć tego, co powinienem uczynić. Zdarłem z siebie koszulę i oparłem się o framugę drzwi; kurz wgryzał mi się w plecy, pot spływał ze mnie; czułem, jak ze skóry mojej paruje ostry zapach koniaku, ale nie przeszkadzał mi już teraz ani kurz, ani pot, gdyż wszystko stało się dla mnie jasne i pewne. Wiedziałem już, że nigdy nie opuszczę tego kraju, że zostanę tu na zawsze, i że zawsze będę kochał ten kraj; ale bałem się o tym myśleć dłużej, aby nie zapomnieć tego, co teraz wypadało mi uczynić. Raz jeszcze schyliłem się w ciemność; po omacku podniosłem moja

koszulę, otarłem nią ramiona i plecy i w ciemność ją odrzuciłem.

- Poczekaj trochę, Griszeńka - powiedziałem. - Zaraz wrócę.

Oderwałem się od drzwi; przeszedłem przez jakąś niewidzialną ścianę gorącą; znów zabrakło mi tchu, znów serce moje przestało bić, ale nagle zerwał się świeży wiatr od morza i wszystko poruszyło się we mnie, ożyło; już teraz chamsin skończył się na dobre, jak w chwili, w której umarł On i w której począł żyć wiecznie - ziemia odetchnęła, poruszyły się drzewa, księżyc wypłynął spoza gorącej mgły i znów zobaczyłem swój cień - skręciłem więc na prawo, przestałem bładzić w mroku i poprzez to puste pole poszedłem wprost ku drodze do Haify.

1962

Pierwodruk: "Opowiadania", Instytutu Literacki, Paryż, 1963

Finis perfectus

Ten człowiek miotał się i cierpiał od długiego już czasu. Nie wiem i nikt - łącznie z nim chyba - nie wie, której nocy po raz pierwszy zaczął nim trząść zimny, jadowity strach; nikt nie wie, kiedy narodziło się w nim owo podobne do wrzodu pełnego materii uczucie, które życie jego zamieniło w koszmarne ciągi pijackich wieczorów, nocy spędzanych w komisariatach i skacowanych poranków. Nikt nie wie, którego dnia oczy tego człowieka stały się po raz pierwszy białe, i nikt nie zna dnia, w którym z serca jego odeszła wszelka nadzieja i w którym serce jego zamieniło się w kupkę pokurczonych mięśni, odmierzających pełen przerażenia czas. Nikt - łącznie z nim - nie wiedział tego. Ale wszyscy wiedzieli, że ten człowiek boi się, że żyje strachem, że jego własny cień, kroczący za nim lub przed nim, przypomina mu stale pewne miasto, gdzie na jednym z mostów pozostał cień jakiegoś człowieka, którego imienia nie dowiemy się nigdy, choćby nawet każdy z nas na ziemi tej przeżył tysiąc szczęśliwych lat. Gdyby człowiek ten bał się własnego cienia, nie pisałbym jego historii, gdyż wątpię, aby dziś zaciekała kogoś historia człowieka, który żył strachem przed własnym cieniem. Lecz było przecież wręcz przeciwnie - człowiek ten pragnął do końca ocalić własny cień, nie chciał przed nim uciec i pragnął, aby z jego śmiercią umarł także jego cień. Nie wiem, czy powinienem powtarzać historię tego człowieka, gdyż nie byłem jego przyjacielem: trudno przyjaźnić się z czymś, co straciło oczy, serce i duszę, a pozostało tylko kupką strachu. Lecz spotykaliśmy się czasem. I ten człowiek mówił wtedy do mnie:

- Mieszkam w północnej dzielnicy miasta. Niech ją szlag trafi. Nocą nad moim domem latają odrzutowce; gdzieś tam niedaleko jest lotnisko. One mają na skrzydłach światła, zielone i czerwone. Często patrzę w górę i wydaje mi się, że za chwilę jedno z tych światła oderwie się, spadnie na ziemię, a wtedy cała ziemia stanie się takim przeklętym, wielkim światłem zielonym lub czerwonym. Jak pan myśli?

- Co?

- Mów pan: zielone czy czerwone?

- Nie wiem.

- Wy niczego nie wiecie - mówił. - Gdybyście wie-dzieli, gdzie jesteście, mielibyście wszyscy inne oczy. Albo w ogóle nie mielibyście oczu.

- Czym byśmy patrzyli?

- Czym patrzą umarli?

- Jak na nieboszczyka, czuję się stosunkowo rześko.

- A może - bełkotał chwytając mnie za ramię - będzie to coś takiego jak słońce? Jak ogromne słońce, które zbliży się nagle z niesłychaną szybkością i wszystko za-mieni się w zasrany popiół? Jest to zupełnie możliwe; ktoś zresztą pisał już o spadającym słońcu.

- Oczywiście - powiedziałem wtedy z uśmiechem, choć mróz przeszył mi kręgosłup. - Ja nawet wiem, kto wtedy ocaleje. Ocaleją tylko dwie osoby. Jedną z nich będzie mój wuj, który przepił wszystko, stracił poczucie czasu i od lat trudni się wyłącznie regulowaniem zegarka. On powstanie z popiołów: najpierw nakręci swój zegarek, a potem będzie usiłował pożyczyć dwadzieścia złotych na wódkę. Drugą osobą będzie babka klozetowa z szaletu na Krakowskim Przedmieściu. Być może także, iż z popiołów powstanie pewien wielki polski aktor i wtedy okaże się, że w swoim czasie pochowano go wyłącznie przez omyłkę.

- Głupcze - powiedział. - Tańczymy wszyscy kanka-na na wulkanie. Jesteś pan takim samym głupcem jak wszyscy: dziś każdy człowiek jest tylko głupcem. Czy pan się łądzi, że pan o tym nie myśli? Myli się pan. Wszyscy o tym myślimy. Biedna, zasrana ludzkość. Świat zbyt daleko zabrnął w zbrodnię, aby cokolwiek mogło powstrzymać szalone ręce. Pan myśli, że panu uda się cokolwiek napisać? Pan myśli, że panu uda się kogoś wzruszyć? Biedny głupcze. Dzisiaj żadne ludzkie cierpienie nie ma formatu. Miłość. Ból. Zazdrość. Nadzieja. To suche patyczki: można je przesadzać, lecz na żadnym z nich nie zakwitnie już nic zielonego. Cierpienie także nie ma formatu. Wszystko zamazało się w strachu i zbrodniach. Dostojewski, który wzruszał mnie zawsze najbardziej i w którym mogłem doczytać się zawsze, czego tylko chciałem, jest dzisiaj śmiesznym głupcem razem ze swoim obłędem i kwikami duszy: dziś nie przerazi on nawet nie zdeflorowanej pensjonarki. Dziś świat cały jest martwym domem. Jest olbrzymim obozem koncentracyjnym, tak wielkim, iż nie potrzeba kolczastych drutów, gdyż i tak nie ucieknie się nigdzie. Można tylko kontemplować zagładę.

- Jeszcze nie wszystko stracone - powiedziałem. -U nas w Polsce nie ma obecnie sytuacji bez wyjścia. Kiedy przegrywa się już wszystko, zawsze można zostać krytykiem literackim lub wziąć się za przekłady z języków obcych. To nadzieja, która nigdy może nie opuszczać człowieka. Pomyśl pan o tym. Do widzenia.

Traciłem go z oczu, nie widzieliśmy się miesiącami.

Zawsze się zgrywałem przy nim, gdyż nie miałem siły, aby prowadzić z nim dyskusję; pamiętałem zbyt dobrze getto, powstanie, wrzesień i z chwilą kiedy zacząłem tylko o tym myśleć. znów czas tamten powracał i mózdek mój kurczył się przerażeniem. Unikałem tego typka: pachniał zgliszczami września, miał oczy rozstrzeliwanych Żydów, pachniał tak, jak w sierpniu roku czterdziestego czwarte-go pachnieli ludzie. którzy leżeli po kilka tygodni patrząc wyżartymi oczyma w płonące niebo - nie miał ich kto grzebać. Lecz człowiek ten nie miał gipsu w ustach -dlatego go unikałem, dlatego wolałem myśleć o nim jak o umarłym. Życie zmusza nieraz do wielkiego okrucieństwa, jakim jest unikanie; jeśli chcemy, by nasze żywe noce nie przynosiły

nam obrazów udręki - w myślach grzebiemy nawet tych, którzy żyją dziś między nami. Czy nie zdarza się nam nieraz unikać matek, które straciły wszystkie dzieci; ojców, którzy nigdy już nie będą ojcami; córek, które nie mają się do kogo przytulić. kiedy przychodzi na nie miłosna udręka? Tak samo i ja - unikałem go, ot i wszystko. Ostatni raz spotkałem go podczas festiwalu. Ulicami szły tłumy, wrzeszczano, śpiewano: miasto napełnione było kolorową wrzawą. Stałem na brzegu chodnika. Nagle trącił mnie w ramię on. Był blady; można było z łatwością poznać, że człowiek ten prowadzi życie łajdaka. Mówił:

- Oto masz pan maskaradę w skali monumentalnej. Ci młodzi ludzie przyjechali tutaj, aby tańczyć, kochać się, śpiewać o pokoju. Za rok czy dwa, jeśli zajdzie potrzeba, da im się do ręki automaty Thompsona, na-palm, tyfusy i syfilisy w kondensatach; wyposażą się ich w podręczne apteczki i pewną ilość aktualnych haseł; będą się rżnąć i zabijać, mordować i pożerać, niszczyć i palić w sposób dotychczas nie spotykany. Kolorowe czapeczki nie ocalą ludzkości. - Popatrzył na mnie rozwodnionym wzrokiem i wybełkotał nagle: - Może jest to zresztą niezbędne? Ludzkość zabrnęła w zbrodnię, z której nigdy już się nie wywikła. Spustoszenie moralne, jakie niósł strach przez lat piętnaście, jest już nie do naprawienia. Na miejsce starych zbrodni powstaną nowe, wobec których tamte będą jak grzyby przy drzewach. Ale za lat dwieście drzewa te będą już tylko śmieszne; będą one zapałkami przy fabrycznych kominach. Niech raz skończy się ta cała męka. Może wtedy, kiedy na tej planecie zostanie tysiąc osób, nauczą się one żyć? Dziś nie ma takiej zbrodni, której nie mógłby popełnić człowiek w imię wielkiego strachu. Wielki strach zwalnia od wszystkiego i załatwia wszystko. Wielkie rany trzeba leczyć wielkim bólem.

Los jest jednak złośliwy. Ten człowiek nie zginął od płomieni napalmu. Ten człowiek nie zginął od żaru bomb termojądrowych. Ten człowiek nie poniósł śmierci na szańcach, barykadach i gruzach. Ten człowiek nie zginął w okopach, nie zabiła go nawet kula z małokalibrowego pistoletu. Nie. Przechodził pewnego razu nieuważnie przez jezdnię i wpadł pod ciężarówkę z pomidorami, która jechała z umiarkowaną szybkością i którą prowadził starszy, umiarkowany kierowca. Dostał się pod koła i padł natychmiast z pękniętym kręgosłupem. Przewieziono go do szpitala.

Kiedy poszedłem, aby go odwiedzić - odszedł już był w krainę, o której Hamlet powiada, że jest tylko milczeniem. Stałem na szpitalnym korytarzu i paliłem papierosa. Podeszedł do mnie pielęgniarz; miał twarz starej, mądrej żaby.

- To pański znajomy? - zapytał.

- Były.

- On nie miał nikogo?

- Nikogo.

- Nikt tu do niego nie przyszedł - powiedział. -Szkoda. Przykro czasem patrzeć, jak ktoś umiera samotnie. On tak umierał.

- Długo?

- Umieramy całe życie - powiedział pielęgniarz i jego żabia twarz zrobiła się smutna. - Ale on męczył się cholemiem. Przykro było patrzeć. Dzień. Dwa. Trzy. Strasznie cierpiał. Wył tak, że przez trzy dni nikt ani na sekundę nie zmrużył oka. To było paskudne.

- Paskudne - powiedziałem; bolała mnie głowa, gdyż nie znoszę zapachu szpitala.

- On umarł już dwa dni temu - powiedział pielęgniarz - a ja ciągle

czuję się tak, jakbym wczoraj wypił za dużo. - Popatrzył na mnie i powtórzył: - Jak Boga kocham, że tak się czuję.
- Wiem o tym - powiedziałem. - To musiało być naprawdę przykre.
Znów popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek.
- Przykre? - powtórzył. - Pan o tym wie? Co pan może wiedzieć o tym. Co pan może wiedzieć, co człowiek czuje, kiedy umiera ktoś drugi i przez trzy dni, przez trzy noce, przez siedemdziesiąt dwie godziny, bez przerwy, wyje tylko jedno słowo: żyć.
- Tak - powiedziałem gasząc papierosa. - Co my wszyscy możemy o tym wiedzieć? Do widzenia.

1955

Kancik, czyli wszystko się zmieniło

Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Dziennikarz wysiadł. Szedł wzdłuż starych i śmiesznych wagonów trzymając w ręku skórzaną walizkę. Był chmurny dzień jesienny; na bezlistnych drzewach grubymi kroplami osiadała mgła. Człowiek, który wysiadł z pociągu, spojrzał na niebo i wzdrygnął się ze wstrętem - wyglądało jak brudna ścierka. Po peronie szedł zawiadowca z czerwoną chorągiewką; był podobny do starego, wąsa-tego morsa. Człowiek, który wysiadł z pociągu, zaszedł mu drogę.

- Daleko do miasta? - zapytał.

Zawiadowca przystanął.

- Pan chce iść do miasta? - powiedział bijąc się po ręce trzonkiem chorągiewki.

- Dlatego pytam o drogę - powiedział dziennikarz. -Następny pociąg mam za parę godzin, jadę dalej. -Przesunął ręką po twarzy i powiedział: - Muszę się iść ogolić. Nie spałem przez dwie noce, mam pysk bandyty. Szli po wilgotnym żwirze peronu. Pociąg już odjechał, w mętym powietrzu leniwie rozpływał się dym. Szyny lśniły od wilgoci. Zawiadowca powiedział:

- Daleko pan jedzie?

- Wystarczająco daleko.

- Pracuje pan może w zaopatrzeniu?

- Skąd panu to przyszło do głowy? Pracuję w redakcji.

- Mój syn pracuje w zaopatrzeniu - powiedział zawiadowca. - Jest w Warszawie. Pan też z Warszawy?

- Też.

- Majewski Kazimierz, zna pan?

- Nie.

- Oni ciągle jeżdżą.

- Niepotrzebnie. Powinni siedzieć w domu.

- Dlaczego?

- Z pociągu można wylecieć. W pociągu można się zaziębić.

- W pociągu poznałem kiedyś jedną kobietę - powiedział zawiadowca.

- I co?

- Nic. Pojechała dalej.

- To szlachetnie z jej strony - rzekł dziennikarz i ziewnął. Potem spytał: - To co? Daleko do miasta?

- Miasto jest zaraz - rzekł stary. Wąsy miał wilgotne. Zmrużył oko i zapytał: - Pan na pewno do fryzjera?

- Co to pana obchodzi?

- Myślałem, że pan może chce się napić jedną wódkę. Mam w domu.

- Nic się nie zmienia w tych małych, zasranych miastach- powiedział z gniewem dziennikarz. - Sam urodziłem się w takiej dziurze. Czy tu także jest burdel przy kościele?

- Nie. Apteka.

- Słyszałem - rzekł dziennikarz - że tu się zmieniło mnóstwo rzeczy. Wybudowali wam coś niecoś. Czy to prawda?

- Prawda - powiedział zawiadowca. - Przekona się pan na miejscu. Do miasta jest niedaleko. Piętnaście minut. Wstąpi pan do mnie?

- Nie - powiedział dziennikarz. - Do widzenia. Rzeczywiście, po piętnastu minutach był już w mieście. Na rynku stało kilka furmanek; konie drzemały zwiesiwszy łby w torby z obrokiem. Na ulicach walało się pełno słomy; widocznie był tu dziś targ. Deszcz padał; przechodnie kulili się z zimna.

- Gdzie jest fryzjer? - zapytał dziennikarz jakiegoś człowieka o nieokreślonej twarzy, nieokreślonym zawodzie i nieokreślonym wieku.

- Co?

- Fryzjer.

- Co fryzjer?

- Jest fryzjer?

- Gdzie?

- Tu.

- Tu?

- Tak, tu.

- To co?

- Gówno. Rozumie pan teraz?

- Nie - powiedział nieokreślony człowiek i na jego twarzy odbiła się męka myślenia. - Ja jestem tutejszy, panie. A fryzjer to tam zaraz. Za winklem.

- Nie za winklem, a za rogiem.

- A to ja nie znam.

- Ale ja znam - powiedział dziennikarz. - Do widzenia. Odszedł i zaraz znalazł fryzjera. Nad drzwiami wisiał mosiężny talerz, na wystawie - lalka w uczesanej peruce wpatrywała się bezmyślnymi oczyma w szarą pustkę ulicy. Dziennikarz wszedł.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry - odparł fryzjer. - Niech pan siada. Dziennikarz usiadł i wyciągnął nogi. Parował zmęczeniem: jechał już trzecią noc, widział mnóstwo twarzy, poznał wiele faktów, wiele razy usiłowano go oszukać -marzył, aby wrócić już do Warszawy i wyciągnąć się we własnym łóżku. Miał małą, czarną dziewczynę o twarzyczce podobnej do Mickey Mouse; cały czas wściekał się na myśl, że w jego własnym wygodnym łóżku, z jego własną, małą dziewczyną być może śpi kto inny.

Fryzjer założył mu serwetkę na szyję i powiedział:

- Pompkę pan wyjął?

- Jaką pompkę?

- Pan nie na rowerze?

- Nie - powiedział dziennikarz. - A co? Kradną?

- E - powiedział fryzjer - żeby kradli, to nie. Ale kierownik samopomocy zgubił swoją pompkę; jego wentyl spuszcza, więc lepiej jednak wnieść. Tak to bywa w życiu, rozumie pan ?

- Rozumiem - powiedział dziennikarz i spojrzał na fryzjera. Fryzjer był stary: miał łysą głowę pokrytą śmiesznym kaczym puchem, odstające, zwiędłe uszy i bystre spojrzenie czarnych ślepek.

Zapytał:

- Mycie będzie?

- Nie.

- Nie będzie - powtórzył. Zatopił szpony we włosach dziennikarza i powiedział: - Główkę niżej. To co? Strzyżenie i golenie?

- Strzyżenie i golenie.

- Mycia nie będzie?

- Nie będzie.

- Ach- powiedział i na twarzy jego odmalowało się niesłychane skupienie.

Milczał przez chwilę, patrząc na dziennikarza wzrokiem chirurga, potem rzekł:

- Pana ostrzyżyc w kancik?

- Broń Boże. Normalnie.

- Oczywiście - powiedział. - Oczywiście, że normaInie. Panie, teraz w kancik to już nikt nie chce. Przedtem to się strzygli. A przeważnie łobuzeria. Tu mieszkał taki jeden, parę domów dalej. Niejaki Loniek Maciejewszczak. Zawsze przychodził do mnie w sobotę i mówił: "No, panie Sobisiak! Ostrzyżesz mnie pan teraz legalnie, w kancik. Tylko żeby mnie się włos trzymał pięknie, bo inaczej to pan mnie znasz!" On tak mówił. Panie, to był grandus! Największy w całym mieście. Mówię panu: pan by nie chciał od niego dostać w mordę. Wierzy mi pan?

- Absolutnie - powiedział dziennikarz i poprawił się w fotelu.

- On miał koleżków. Rzecz jasna, że także samo grandę. Co sobota wychodzili pod kościół i grali w taką grę f r a j e r n a k r e s c e. Rysowali na chodniku kreskę i kto by nie przeszedł, dawali mu blachę w czoło.

- Po co?

- A tak. Dla hecy. Teraz, to już ich nie ma. Zmieniło się.

- Zmieniło się?

- O, tak- powiedział z ożywieniem fryzjer. - Samo się nie zmieniło, ludzie wszystko zmienili. Prawdę powiedzieć, to wszystko się zmieniło. Fabrykę nam tu budują, pan wie? Instrumenta muzyczne będzie się tu robić, chłopaków już posłali gdzie indziej na naukę. Przed wojną był tutaj tylko jeden fachowiec od instrumentów. Organy naprawiał. Trunkowiec. Mówiło się do niego "mistrzu". On sam mówił: " Wy, gówniarze, musicie mówić do mnie mistrzu. Ja jestem człowiek od delikatnej roboty. Jeśli mnie tu szlag trafi, to wszyscy zdechniecie w grzechu, bo kościoły zamkną - kościół bez muzyki nie ma u Boga żadnej zasługi, choćbyście nawet po dziesięć złotych na tacę dawali!" No i mówiło się do niego tak, jak chciał. Pił. Pił tak, jak tu nikt jeszcze nie pił i nigdy już pić nie będzie. Czasem trzy dni, a czasem pięć. Chodził po mieście i krzyczał: "Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam!" Ewangelię znał, ciągle w kościołach siedział. Po łacinie też się potrafił wyrazić. U mnie się strzygł. Także samo w kancik. A pana jak ostrzyżyc? W kancik?

- Normalnie - powiedział dziennikarz i westchnął. Lustro, przed którym siedział, opstrzyły muchy. Dzienni-karz patrzył przez długą chwilę na czarne kropki, potem zapytał: - No i co z nim?

- Z nim? - powtórzył fryzjer. - Nic z nim. Umarł. Przed śmiercią krzyczał: "Nie ma Pana Boga, wy gówniarze! Jak chcecie posłuchać muzyki, to załóżcie sobie elektrykę i kupcie radia zamiast chodzić do kościoła!" Wódka go zgubiła. Teraz to już tak nie piją. Wszystko się zmieniło, czasu nie ma na łobuzerkę. Wielkie rzeczy tu idą, panie. Ludzie się pozmieniali: pracują, mają fuchy, całkiem inaczej

myśla. Ja też, panie, inny człowiek jestem. Chyba rzucę to fryzjerstwo do cholery. Krem?

- Tak - powiedział dziennikarz. Spojrzał na fryzjera i rzekł: - Stary pan już jest. Teraz, na stare lata, fach zmieniać? Ciężko panu będzie.

- Tak - powiedział fryzjer - stary jestem. Pan nawet nie wie, jaki stary jestem; mam prawie osiemdziesiątkę. Córka moja jest w Wenezueli, mam wnuka, panie. Chce pan zobaczyć fotografię?

- Po co? - rzekł dziennikarz. - Cóż mnie, u diabła, obchodzić może pański wnuk?

- No, właśnie - powiedział fryzjer marszcząc czoło. - Co pana może obchodzić mój wnuk? A czasem by się chciało pogadać. Ale nie ma z kim. Dawniej, bywało, ludzie siadywali przed domami, gadali, plotkowali. Teraz to już nie. Nie mają czasu: albo długo pracują, albo idą gdzieś do kina, mają radia, młodziaki lubieją sport. A ja, panie, taki człowiek znowuż jestem, że najbardziej lubię towarzystwo. Słowo to jest zawsze słowo. Dawniej ludzie więcej rozmawiali z sobą niż teraz. Byli tacy, co potrafili opowiadać. Burmistrz tu był kiedyś. To on zawsze jak przychodził do mnie, mówił: "No, panie Sobisiak, opowiadaj pan!" Strzygł się także samo u mnie.

- W kancik? - zapytał dziennikarz.

Fryzjer zastanowił się.

- Nie - rzekł po chwili - on był łyśy jak księżyc. Ale jego żona miała kochanka. Miał piękny włos i strzygł się w kancik. Heca była z tym kochankiem, mówię panu! Wszyscy o tym wiedzieli, tylko sam gospodarz miasta nic a mc.

- Przestań pan, do diabła - powiedział dziennikarz. Znów pomyślał o swojej Mickey Mouse i mózg ścierpł mu z przerażenia; oszukiwano go raz przez czas bardzo długi, kiedy był jeszcze nic nie znaczącym debiutantem, i teraz, gdy wybił się jakoś z niesłychanym trudem o pół cala w górę - wiedział dobrze, iż nigdy już nie będzie w stanie uwierzyć drugiej dziewczynie, że kocha go za darmo i dla niego samego.

- Pan myśli, że ja kłamię? - zapytał fryzjer.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział dziennikarz. - W mieście, w którym mieszkam, większość kobiet myśli w tej chwili, że socjalizm zaczyna się od tyłka, a nie od głowy. Mam tego dosyć.

- Jesteś pan młody - powiedział fryzjer - i słuchaj pan, co do pana mówi stary człowiek. Tu kiedyś, panie, to miały baby kochanków. Czasem mąż nakrywał taką i wtedy całe miasto przylatywało patrzeć, jak ją tłucze obcasami po pysku. Barcikowski niejaki tu mieszkał, rymarz. Złapał raz gacha u żonki; jego won po schodach, a ją bił cały tydzień i pytał: "Mów: to ostatnie - moje?" Bo trzeba panu wiedzieć że oni mieli pięcioro dzieci, a ostatnie urodziło się pół roku temu i było rude. Barcikowski brunet, włos miał jak drut i nie mógł uwierzyć, że to ostatnie, to rude, to też jego. Więc bił ją i pytał: "Mów: moje czy nie moje?" Po tygodniu ona umiera i mówi do niego ostatnie słowa: " To piąte twoje, ale czworo tamtych nie". Potem skołała. Barcikowski wypił butelkę, wziął siekierę i - wszystkie pięcioro. Tak, panie. Różne hece tu były w miasteczku. Teraz to już nie. Wszystko się zmieniło; budują, pracują, to i na głupoty nie ma czasu. Teraz, panie, ważniejsze rzeczy każdy ma na głowie.

Przestał mówić. Odszedł o krok i przyglądał się siedzącemu na fotelu wzrokiem człowieka, który ukończył w tej chwili największe dzieło

swojego życia. Potem po-wiedział.

- Gotowe. Mycia nie będzie?

- Nie będzie mycia - powiedział dziennikarz. - Nie wybiera się pan czasem do Warszawy?

- Stary już jestem - powiedział fryzjer pobrzękując narzędziami. - Nie dla mnie taka podróż, panie.

- Zobaczy pan ludzi.

- Wszędzie są ludzie.

- Tak - powiedział dziennikarz. - Dobrze, że przy-szedłem do pana, panie starszy. Wraciałem w złym humorze. W terenie ludzie bujają, boją się. Teraz będzie jakoś przyjemniej wracać.

- Wracać jest zawsze przyjemnie - powiedział fryzjer. - Dom to jest dom.

- Nie o to chodzi. Ale przyjemnie jest zobaczyć, że człowiek w małym, zaszranym mieście, w takim mieście, gdzie bez przerwy pada deszcz i bez przerwy jest błoto, gdzie nie ma światła, gdzie jak jedną dziwkę boli ząb, to już nie ma nocnego życia - zupełnie zmienił się człowiek. To jest przyjemnie zobaczyć.

- Tak - powiedział fryzjer. - No, cóż? Czasy są wielkie, to i człowiek się zmienia. Ja, panie, zupełnie się zmieniłem.

- Przyjedź pan kiedy do Warszawy.

- Umrę chyba niedługo.

- Jak pan chce.

Dziennikarz wyszedł i znów brnął błotem przez rynek; konie, tak jak i przed godziną, drzemały ze zwieszonymi łbami. Na furkach spali pijani chłopci. Deszcz padał; miasto jak wstrętny, plugawy grzyb nasiąkało wilgocią. Dziennikarz idąc gwizdał.

Na stacji zawiadowca powiedział do niego:

- No i co? Ostrzygł się pan?

- Tak - powiedział dziennikarz i uchylił kapelusza.

- Zajdzie pan do mnie? - zapytał zawiadowca.

- Teraz mogę zajść - powiedział dziennikarz i wszedł za zawiadowcą do jego budki.

Zawiadowca nalał.

- Najlepszego - powiedział dziennikarz.

- Najlepszego - rzekł zawiadowca. - Ten fryzjer, co pana strzygł, to porządny chłop. Ja sam strzygłem się u niego, kiedy jeszcze miałem włosy.

- Nawet wiem, jak.

- Jak?

- W kancik.

- Skąd pan wie?

- Prasa wszystko wie - powiedział dziennikarz. - To dobry, stary facet. On ma jasny łeb i dużo rzeczy potrafi zobaczyć. - Klepnął zawiadowcę w kolano i zapytał: -Wszystko się zmieniło, tak czy nie?

- Tak - rzekł zawiadowca.

- Nalej pan jeszcze - powiedział dziennikarz. - Napijemy się za zmiany. Ja sam jestem z małego miasteczka. Jak człowiek się urodzi w takim małym miasteczku, to potem przez pół życia myśli, że nic się na świecie nie zmienia. W dupie mam małe miasteczka! Cieszę się, że wszystko się zmieniło, że ludzie się zmienili, że baby się zmieniły. Cześć !

Podniósł w górę kieliszek i wtedy zobaczył w lustrze swoje oczy. Podeszedł machinalnie i ujrzał, że jego głowa ostrzyżona jest w plugawy, ohydny kancik. Nie wypwszy wódki, wyleciał na peron i

odjechał do Warszawy. Minęło wiele miesięcy, a on ciągle myślał:
"Zadrwił ze mnie ten dureń - czy nie?"

1955

Odlatujemy w niebo

Wesołym dniem jest sobota. W sobotę ludzie całego kraju wcześniej kończą pracę; w sobotę fabryki wszystkich przedmieść wyją o dwie godziny wcześniej; tokarze, frezerzy, monterzy i elektrotechnicy obcierają zatłuszczone ręce w pakuły, wypowiadając jednocześnie sakramentalne słowo "fajerant". Biura, hale fabryczne, rusztowania, stocznie i porty pustoszeją: ludzie, ziewając ze zmęczenia, wracają do domów zatłoczonymi tramwajami, leniwie wymyślają sobie w autobusach, do których żywią wieczną urazę, drzemią w podmiejskich pociągach, ciesząc się perspektywą niedzielnej trawki. W sobotę, co każdy chyba zauważył, ludzie stają się lepsi i miłsi. Żadnego innego dnia w tygodniu nie zobaczymy tylu uśmiechów, ile widzi się sobotniego popołudnia; łysiejący księgowi uśmiechają się na myśl o tym, że będą mogli przez całą niedzielę chodzić w kalesonach po mieszkaniu; amatorzy sportu oblizują wargi na myśl o emocjach, których zaznają na boiskach; powiatowi aktywiści partyjni łudzą się nadzieją dwóch godzin snu dłużej; dziewczeczki przymykają oczy, myśląc o rozkoszach, których zażyją pod-czas niedzielnych przechadzek po lesie; sportowcy, oficerowie bezpieczeństwa, zrutyniali urzędnicy rad narodowych, profesorowie uniwersytetów, starcy, dzieci, majstrowie fabryk, lotnicy i dentyści - wszyscy najczęściej uśmiechają się w sobotę, w dniu, w którym najwięcej ma się planów, ambicji i nadziei. Kraj żyje niedzielą. I tylko bazy transportowe nie są ogarnięte powszechnym zadowoleniem w ostatnim dniu tygodnia. Tam - wręcz przeciwnie - w sobotę pracuje się nieraz o wicie dłużej. W ostatnim dniu tygodnia w bazach transportowych kierowcy, ogarnięci szalem czystości, ustawiają się w długie kolejki przed hydrantami i myją swoje samochody; potem spryskują je ropą naftową i wycierają miękkimi szmatami, starając się, aby odrapane transportówki, wożące przez cały tydzień cegłę, wapno lub cement, błyszcząły jak lustro. W sobotnie popołudnie szoferzy pochylają się nad silnikami i usiłują doszukać się w nich urojonych i rzeczywistych defektów; czyszczą platynki przerywaczy, żarzą w ogniu świece, likwidują osad w kubkach filtrowych, przesuwają zapłon na wcześniejszy, wymieniają membrany w pompach benzynowych, lutują przewody paliwowe, regulują luz zaworowy. Kłóca się przy tym zawzięcie z warsztatowcami - ludźmi, którzy nie potrafili sami zostać kierowcami i dla-tego usiłują naprawiać samochody. Sobotniego popołudnia podczas dokonywania tych czynności, kierowcy do-chodzą do szczytów geniuszu w kwestionowaniu legalne-go przyjscia na świat swoich pomocników, kierownika bazy, majstrów warsztatu i dyspozytorów - faktycznych panów ich życia, śmierci i zarobków. Potem, obrzuciwszy wzrokiem pełnym żalu i tęsknoty rzędy wypucowanych, sprawnych do jazdy samochodów, raz jeszcze mówią: "Złamane życie Felka-szofera; trzeba było zostać stolarzem, tak jak ojciec radził. .." - i jeśli to nie dzień wypłaty, rozchodzą się do domów. Ale i tu jeszcze usiłują wytłumaczyć swym żonom, na czym polega różnica między suchym sprzęgiem a terenową skrzynką biegów - mało jest zawodów na świecie,

które tak silnie wciągałyby człowieka i tak nierozzerwalnie łączyły się z jego dniem i nocą, jak właśnie zawód kierowcy; a żadnego chyba nie kocha się i nie nienawidzi tak jak tego. Tak mniej więcej przebiega sobotnie popołudnie w każdej bazie transportowej. Nieco inaczej jest tylko w dni wypłat.

W dzień wypłaty - pewnej czerwcowej soboty dnia pogodnego i ciepłego - kierowca Tadeusz Jabłoński wrócił do swojej bazy około godziny drugiej i wolno jechał długim podwórkiem, trzymając wbrew przepisom nogę na sprzęgle. Rozglądał się bacznie wzdłuż rzędu stojących samochodów, a w pewnym momencie zwrócił się do swego pomocnika:

- Gdzie go postawić?

- Tam- rzekł pomocnik, ryży chłopak o dobrodusznej twarzy. Wskazał ręką: - Za tym studrem. Jest miejsce.

- Tam zawsze stoi Boratyńszczak - rzekł Tadeusz. - Zastawię mu miejsce i będzie darł mordę, jak to on. Nie lubię się kłócić.

Wszyscy tak wcześnie dziś pojeżdżali... - Wypłat - rzekł krótko pomocnik.

- Racja - rzekł Tadeusz.

Przejechał jeszcze kilkanaście metrów, potem włączył lewarek na luz i zatrzymał samochód. Wskoczył z kabiny; był wysokim, szczupłym chłopakiem; włosy miał jasne, krótko ostrzyżone, twarz banalną, bez specjalnego wyrazu, lecz dobrą i miłą.

- Postaw go koło ursusów - rzekł do pomocnika. Trzymał nogę na stopniu, rękę wciąż opierał na kierownicy; silnik pracował na wolnych obrotach i koło sterowe drżało jak zmarznięty pies.

Powiedział: - Przesmaruj tylko przeguby i płyn do chaty. Jakby towot nie chciał przechodzić, to wykręć kalamitki i przepchaj je drutem.

Nie ambaluj silnika. Trzymaj się.

Zdjął nogę ze stopnia i chciał odejść.

- Panie Tadziu - rzekł pomocnik. - No, jak tam?

- z czym'?

- Robimy coś?

- Nie mam czasu - rzekł Tadeusz. - Umówiłem się z kobitą, nie mogę przyjść na flicie. Innym razem.

- Jak pan chce - rzekł pomocnik. Na twarzy jego odbiło się rozczarowanie. Pokręcił głową i powtórzył: - Jak pan chce...

Włączył bieg ze zgrzytem i niewprawnie spuszczaając pedał sprzęgła, odjechał. Tadeusz stał chwilę nieruchomo i patrzył za swym samochodem. Była to duża, wojskowa, amerykańska ciężarówka marki GMC "Banjo". Warszawscy kierowcy nazywają te samochody "Dzems". Są one duże i piękne, wygląd mają bojowy - odkryta kabina, daleko wysunięty, potężny zderzak zrobiony z grubej szyny, dziesięć kół, trzy dyferencjały; głos ich silników jest donośny i głęboki - taki głos mają potężne dzwony. Teraz mało tych samochodów znajduje się w eksploatacji, lecz w latach czterdzieści pięć - pięćdziesiąt "Dzems" był marzeniem każdego młodego kierowcy.

Tadeusz wsadził ręce do kieszeni i przeszedł do dyspozytorni.

Oddając kontrolkę dyżurnemu dyspozytorowi, zapytał:

- Jest forsa?

- Owszem - powiedział dyspozytor, siwy tęgi mężczyzna o rozlanej twarzy; dyspozytorami są prawie zawsze starzy kierowcy, którzy stracili zdrowie na wozach, a nie mogąc rozstać się z zawodem, wypełniają kontrolki innych i opowiadają długie historie o defektach samo-chodów, na których jeździli.

- Ile tam jest? - zapytał Tadeusz.

- Starczy - powiedział dyspozytor wodząc grubym palcem po liście

płacy. Zmrużył domyślnie oko i dodał: -Czuję, że popłyniesz pan dzisiaj jak gondola.

- Nic podobnego - rzekł Tadeusz. Przeształ z nogi na nogę, gdyż śpieszyło mu się bardzo. - Dzisiaj nie piję nic. Ile tam jest?

- Sześćset dwadzieścia cztery i trzydzieści groszy -powiedział dyspozytor mocując się z ołówkiem, okularami i olbrzymią płachtą papieru. - O, tu. Kwituj pan. Tadeusz przeliczył pieniądze i pokwitował. Oddał dyspozytorowi listę płacy ze śladami brudnych palców i po-wiedział:

- Do widzenia, panie Konopka. - Do poniedziałku. O której wyjazd?

- Szósta. Już pan lecisz? Co pan taki nerwowy? -Dyspozytor podniósł okulary na czoło. - Teraz te młodziaki takie nerwowe. Dawniej człowiek był stalowych nerw. Panie, nerwy to grunt. Pamiętam, w dwudziestym ósmym roku lecę z Piotrkowa do Częstochowy...

- Panie Konopka - rzekł ze wściekłością Tadeusz. - Ja mam cholemię ważną sprawę do załatwienia i ja pana... W tym momencie ze wszystkich głośników rozwieszonych na placu bazy rozległ się głos: "Uwaga, uwaga! Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi pogadankę pod tytułem "Jak i kiedy polecimy na księżyc". Wykład ilustrowany będzie przezroczami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści..."

- Żeby można było papudze zamknąć ten pysk -powiedział ze złością dyspozytor. - Krzyczy, jakby się miał Żyd urodzić. Człowiek wypłaca, a ten o gwiazdach. Jak się pomylę, to kto za mnie będzie płacił? Tak czy nie, panie Tadziu?

- Znaczą się - powiedział ktoś z tyłu zamysłonym głosem - jest możliwość...

- Czego?

- Lecieć na gwiazdy.

- Tere, fere, kuku - leniwie i bez przekonania powie-dział Tadeusz. Odwrócił się powoli do mówiącego i nagle jego oczy stały się czujne i złe. - Czego ty chcesz, Zawadzki? - zapytał. Wyjął ręce z kieszeni i poczerwieniał. - Chodź - rzekł Zawadzki. Był to człowiek niski i krępy, twarz miał suchą i nerwową, oczy małe i bardzo jasne. - Czekalem na ciebie - powiedział patrząc na Tadeusza. - Zjechałem już dwie godziny temu i czekam na ciebie.

- Czego chcesz? - ochryple powtórzył Tadeusz. Jego ciemna twarz czerniała z chwili na chwilę; w przełyku czuł chłód dławiący, jak zwykle, kiedy przychodzi do zwady.

- Nie tutaj. Wyjdziemy, porozmawiamy. Szanowanie, panie Konopka.

- Szanowanie, panie Konopka - machinalnie powtórzył Tadeusz. Myślał o jednym: aby zachować zimny spokój, za wszelką cenę zimny spokój. Wyszli za bramę i kroczyli obok siebie w milczeniu: Tadeusz - jak napięta struna, Zawadzki - spokojny i chłodny; tylko baczny obserwator mógłby dostrzec, że na jego suchej twarzy nieco silniej zarysowały się błękitne żyłki.

- Pójdziemy na łączkę - rzekł Zawadzki po pewnym czasie. Tadeusz drgnął wyrwany z zamyślenia. - Na łączkę - powtórzył Zawadzki. - Najlepiej tam będzie pogadać. Szwagier zresztą czeka. Tadeusz zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Dwóch na jednego, co?

- Nie bądź głupi, Tadek- powiedział Zawadzki i spojrział na niego z pogardą. Pokręcił głową. - To nie o to chodzi.

- A o co chodzi? - krzyknął Tadeusz. Znów wyjął ręce z kieszeni.

- Powiem ci - rzekł Zawadzki. - Chodź.

- Tylko niedługo.
- Ja z tobą romansować nie chcę.
Skręcili z ulicy i szli przez łączkę. Nie była to właściwie łączka, a pusty plac, rozciągający się tuż za terenem bazy. Pełno tu było potłuczonych butelek, puszek od konserw, pudełek po papierosach i wszelkich innych śmieci. Pod płotem, na kunsztownie ustawionych ceglach i kamieniach, siedzieli ludzie. Pito tego - to właśnie sobota, nie niedziela jest prawdziwie świętym dniem w życiu robotnika. Wrzeszczano i całowano się, wymyślano sobie i przekonywano się, ktoś śpiewał ochryplym barytonem: "Nie zapomnę twoich oczu gorących..." Przy każdym prawie zakładzie pracy znajduje się taki ohydny plac zwany "łączką".
- Tadek - krzyknął ktoś spod płotu. - Dołóż dychę i zrobimy coś.
Panie Zawadzki, pozwól pan na moment... - Cholera - rzekł Zawadzki.
- Kiedy skończy... Tadeusz nie dosłyszał jego słów. "Uwaga, uwaga! - zaryczały głośniki. - Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi odczyt pod tytułem "Jak i kiedy polecimy na księżyc". Prelekcja ilustrowana będzie przezrociami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści..."
- Czego chcesz? - zapytał Tadeusz, kiedy umilkły już głośniki.
- Powiem przecież. Usiądźmy tam.
Na trawie, przy samym końcu płotu, leżał jakiś mężczyzna. Podeszli do niego i usiedli na ceglach. Wtedy mężczyzna zerwał się; chwilę patrzył nieprzytomnie, przecierając oczy rękami, potem zapytał:
- Robimy flakon?
- Poczekaj, Rysiek - rzekł Zawadzki i mężczyzna położył się posłusznie; był mały i pękaty. Zawadzki patrzył na Tadeusza. - Wiem wszystko - powiedział po chwili.
Tadeusz milczał. Serce biło mu ciężko i boleśnie. Oblizwał wargi i zapytał z trudem:
- Kiedy ci powiedziała?
- Dzisiaj.
- Sama?
- Nie biłem jej przecież.
- No i co?
- Róbcie, jak chcecie.
- Tak zrobimy - powiedział Tadeusz. Odzyskiwał już pewność siebie. Oparł się o płot i swobodnie wyciągnął długie nogi. - Nie masz żalu, Zawadzki?
- Nie - powiedział cicho tamten. Zerwał źdźbło trawy i począł je przeżuwać. Trawa była gorąca, pachniała słońcem i wydeptaną ziemią.
- Tadek - rzekł patrząc przed siebie pustymi oczyma. - Czy wy wiecie, co chcecie zrobić? - Ja się ciebie nie pytam o radę.
- Wiesz, co chcesz zrobić?
- Wiem, że ją kocham. I to jest wszystko, co mnie obchodzi. Ja wiem, że ty jesteś dobry człowiek, i mnie jest cholernie przykro, że to twoja żona. Nie mogę ci patrzeć w oczy. Ale zrozum: życie to jest życie. Nie ma dla mnie bez niej życia. Wolę się rąbnąć. A jak masz do mnie żal, to mów od razu, co tu długo rozmawiać.
- Tadek - powiedział Zawadzki patrząc w ziemię. -Mnie jest w życiu wszystko jedno. Ja już swoje przeszedłem i wrogowi tego nie życzę. Ale posłuchaj: weźmiesz mi kobietę z dzieckiem i co dalej?
- Będę z nią. Musi się ułożyć.
- Nie - powiedział Zawadzki. Zrywał trawę i rzucał ją; szwagier jego znów popadł w drzemkę. - Nie -powtórzył. - Życie się cholernie

rzadko układa ludziom. Nic z tego nie wyjdzie. Ty masz mieszkanie, Tadek?

- Mieszkanie nie najważniejsze. Będziemy mieszkać w hotelu.

- Tak - powiedział Zawadzki - w hotelu. W hotelu, gdzie na jednej sali mieszka po pięć osób. W hotelu, gdzie po nocy wracają pijani z dziwkami; w hotelu, gdzie nie ma dnia bez awantury; w hotelu, gdzie nie będziecie się mogli pocałować bez dziesięciu świadków; w hotelu, gdzie będziecie tęsknić do siebie jak psy; w hotelu, gdzie będziecie się nocami spotykać na korytarzu; w hotelu, gdzie inni będą bez przerwy zaczepiać twoją kobietę... Będziecie mieszkać w hotelu, Tadek?

- Kochamy się. Dużo można wytrzymać. Czego mnie straszysz? Ja się życia nie boję - powiedział Tadeusz. Umilkł; spod całego płotu drażniaco dolatywały wrzaski. Na bliskiej bocznic kolejowej zgrzytały przetaczane pociągi i piszczwały trąbki manewrujących kolejarzy. Zawadzki patrzył w ziemię i twarzy jego Tadeusz nie widział. Szwagier ocknął się i zapytał:

- Robimy flakon?

Zawadzki przysunął się do Tadeusza; twarz miał spoconą.

- Ty mi nie mów, ile można wytrzymać - powiedział cicho. - Ja wytrzymałem więcej, niż myślisz. Byłem w obozie i widziałem takie rzeczy, o których dzieci będą się uczyć za sto lat. Ja cię nie biorę pod litość i nie mówię ci, że ta kobieta i to dziecko to dla mnie wszystko. Ja mam w dupie twoją litość. Ale ty tego nie wytrzymasz, Tadek. Jesteś młody chłopak, potrzebujesz żyć i zabawić się. A to już kłops. Czas jest ciężki. Dostaniesz od niej dziesięć "Sportów" na dzień i dychę na wypłatę, żebyś mógł odpić flaszkę z kolegami na mahoniowym powietrzu. I nie będziesz mógł postawić kolegom kielicha, bo będziesz wiedział, że w domu czeka żona, że masz obce dziecko, na które musisz trochę dawać, że ona nie może pracować, bo jest uwiązana, i będzie ci cholernie, cholernie przykro. A pewnego dnia powiesz sobie: "Do cholery z tym wszystkim". I pójdiesz w cug z kolegami, bo się zbuntujesz i powiesz: "Gdzie młodość! Gdzie użycie?" To twoje święte prawo i nikt do ciebie pretensji mieć nie może. A ona ci będzie robić wymówki, płakać i błagać, aż w końcu przyjdzie dzień, że popatrzysz na nią z nienawiścią; zobaczysz, że zbrzydła, postarzała się i wtedy, po raz pierwszy, niewinnie uderzysz moją żonę.

Umilkł; oglądał w zamyśleniu swoje ręce pokancerowane i poprzeżerane smarami. W ciąż zgrzytały pociągi. Pod płotem zawodziło już wielu solistów; wśród nich siłą głosu wyróżniał się jeden śpiewający tango "Czy pamiętasz, moja ukochana?" Warczały ostatnie zjeżdżające do bazy samochody. Słońce zbiegło już poza domy miasta, dachy były złote i czerwone, cienie - fioletowe i długie. Rozsypane po placu stłuczone butelki i puszki od konserw lśniły jak diamenty. Nagrzana ziemia pachniała anemiczną wilgocią. Wiatr był lekki i suchy; pachniał wapnem, smołą i mokrym piachem - budowano tu nie-daleko wielkie osiedle. Na ciemniejącym niebie stygły w słońcu czerwone mury. Szwagier Zawadzkiego pod-niósł się i zapytał:

- Robimy flakon?

Nie zdążyli mu odpowiedzieć. W ciszy spokojnego przedwieczoru rozległ się potężny głos. "Uwaga, uwaga! - ryczały głośniki. - Dziś o godzinie szesnastej trzydzięci w świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi pogadankę pod tytułem "Jak i kiedy polecimy na księżyc". Wykład ilustrowany będzie przezroczeniami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej

trzydzieści..."

- Dorzucie dychę - powiedział szwagier, kiedy zapanowała znów cisza - i zrobimy flakon. - Wziął pieniądze i odszedł.

- Ja tego nie wytrzymam - powiedział z rozpaczą Tadeusz. - Nigdy nic miałem nikogo, ani matki, ani kumpli... Zawsze wierzyłem w miłość. Nie wiem, jak będę mógł żyć bez niej. Jak? Po co? - Spojrzał na Zawadzkiego przekrwionymi oczyma. - Ty teraz po-wiesz, że jestem młody i znajdę sobie sto innych, tak? Powiesz mi czy nie? Mów! - krzyknął. - Mów! Dlaczego nie mówisz?

- Rany jedyne Boga! - powiedział Zawadzki. Wskazał ręką przed siebie i zatoczył nią koło. - Ile czasu będą jeszcze te łączki, te ludzie pod płotem, te hotele, te składki na flaszkę po pięt złotych, te tablice bumelantów, tłok w tramwajach, te kolejki po masło? Ile jeszcze czasu zakochani nie będą mieli gdzie mieszkać, ile czasu jeszcze ludzie będą rozchodzić się z sobą, bo mieszkanie, pranie, sraty-taty? Gdyby nie to, że wiem, jak było przedtem, pomyślałbym, że znalazłem się w piekle. Nie wierzę w inne piekło, ale jeśli nawet jest coś takiego, to te flaszkę, te faceci pod płotem, te kolejki po mięso, dziewczyny w hotelach - to jest gorszym piekłem.

Tadeusz podniósł głowę. Miażdżył trawę obcasem. I teraz dopiero jasno zrozumiał, że jego miłość, jego pragnienia i najświętsze słowa przepadają nie przez zdradę, rozłąkę czy śmierć, lecz przez te wszystkie małe, uprzykrzone i nędzne sprawy, o których mówił tamten człowiek.

- Chryste! - wybełkotał ochryple. - Chryste... Czerwona mgła przesłoniła mu oczy. Wyprostował się i rozejrzał nieprzytomnie. Potem począł biec przed siebie. Potykał się o pudełka od konserw, przebiegał po zaimprovizowanych naprędce stolikach, rozbijając ludziom butelki, miażdżąc ogórki, śledzie, bułki i kiszoną kapustę, przewracał się, wstawał i biegł dalej. Kiedy usłyszał rozwścieczone wrzaski i zrozumiał, że gonia go ludzie - skręcił gwałtownie; biegł w stronę bocznicy kolejowej, tam gdzie wciąż przetaczano pociągi. Dopadł wreszcie toru i zobaczył, że nadjeżdża akurat pusta lokomotywa. "To wszystko nieprawda! - pomyślał. - To nieprawda!" Ludzie już nadbiegali; zdawało mu się, że czuje na karku ich gorące oddechy. Wyprężył się jak kot i chciał rzucić się pod koła, lecz wtedy ktoś z nadludzka siłą krzyknął: "Uwaga!" Tadeusz machinalnie zatrzymał się - lokomotywa przejechała, dojrzał jeszcze spoconą twarz maszynisty. "Uwaga! - mówił głos. - Dziś o godzi-nie szesnastej trzydzieści prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi pogadankę pod tytułem "Kiedy i jak polecimy na księżyc". Po prelekcji..." Nie usłyszał już nic więcej, gdyż w tym momencie dopadli i powalili go ludzie.

1955

Pijany o dwunastej w południe

Zdarzyło się to w południe i w skwar, który każdy zakątek kamiennego miasta napełniał udręką; liście na drzewach wiotczały i gorący asfalt potężnie pachniał smołą. Ulicą szedł pijany człowiek. Kapelusz trzymał mu się na samym czubku głowy owym cudownym sposobem, w jaki potrafią nosić kapelusz tylko pijacy - trzeźwemu człowiekowi spadłby z głowy już po trzech krokach; pijak zaś

przejdzie w nim przez siedem piekieł. Krok jego był równie szeroki, jak i niewymierny; najtęższy geometra okazałby się dzieckiem, gdyby kazano mu wymierzyć tę gmatwaninę rombów, elips, zygzaków. Przechodnie oglądali się za nim, a on szedł; miał przerażającą twarz obłąkanego proroka i rozpychał rękami powietrze z taką gwałtownością, jakby co chwila napotykał przeszkody. Mamrotał przy tym bez sensu. Lecz niedaleko zawiodły go kroki; w pewnym momencie zachwiał się, zwałił na trawę i tam już pozostał. Kapelusz oczywiście trzymał mu się dalej na głowie; leżący miał czerwoną, obrzękłą twarz - twarz ta znajdowała się teraz w pełnym słońcu. Z ust ciekła mu strużka śliny; oczy jego wywrócone były białkami ku górze; przy upadku koszula wysunęła mu się ze spodni i w widoku jego obnażonego, spoczonego ciała było coś niesłychanie wstrętne.

Pomału zaczęli schodzić się ludzie; rzecz działa się na Pradze, gdzie - jak wiadomo - jedyną atrakcją są niedźwiedzie i pijacy. Praga wciąż jest jeszcze innym miastem i często człowiek ze śródmieścia przystaje tu zdziwiony. Pełno jest tutaj ludzkich wraków - jak wyraził się pewien młody i zdolny krytyk, któremu widocznie zdaje się, że człowieka może spotkać koniec podobny do końca maszyny. Dla ludzi, którzy patrzyli na pijanego, nie było w tym widoku nic dziwnego. Stał wśród nich człowiek w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce. Mówił:

- Było życie? Było. Żyłem? Żyłem. Przedtem mogłem codziennie być w trumnę pijany i szwagier też mógł być pijany. Była kiedyś taka knajpa na Ratuszowej; kiedy wchodziliśmy tam ze szwagrem, orkiestra grała "Lekką kawalerię". Litr kosztował wtedy cztery złote; i szwagier był pijany, i ja byłem pijany. Byliśmy codziennie na dymie. Ale to było kiedyś. Nie teraz. Teraz to już nie. Teraz jak jestem ugotowany raz na tydzień, to dobrze. To bardzo dobrze. A przedtem codziennie. Ze szwagrem. Wystarczy tu, na Pradze, zapytać o Władka Majtlocha. Każdy go zna. - Co się stało z pańskim szwagrem? - zapytał ktoś ze stojących. Był to niski, zasuszony człowieczek z łysą, ogorzałą czaszką.

Ten w granatowym garniturze obrócił się ku niemu.

- Cóż to pana obchodzi? - zapytał ostro.

- Może ja znałem pańskiego szwagra - powiedział niski, zasuszony człowiek. - Ja dwadzieścia lat na Pradze mieszkam. Znam tu całą kupę ludzi.

- Heńka Jabłonowszczyka pan znał? - zapytał człowiek w granatowym garniturze.

- Tego z Białostockiej?

- Nie. Tego, co na Ząbkowskiej miał warsztat.

- Nie - powiedział człowiek z ogorzałą czaszką. - Tego nie znałem.

- To po cholere się pan miesza? - powiedział ten w granatowym garniturze. - Strasznie nie lubię takich cwaniaków, którzy wszystko chcą wiedzieć o życiu. U mnie jest taka zasada: mordę trzymać krótko.

Pijany człowiek leżał w słońcu; ludzi wokół niego przybywało. Stała wśród nich dziewczyna, miała zadarty nos i jasne włosy; mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Dziewczyna mówiła:

- Jak on mógł tak się upić? Czy nie wstydz mu? Robi z siebie bydlaka, marnuje zdrowie za własne pieniądze. Wcale mi go nie żal.

Chciałabym, żeby zabrała go milicja i żeby potrzymali go przez noc. Czy on nie może żyć inaczej? Może. Może pracować, mieć dom i

rodzinę. A może on ma rodzinę? I tamci na niego teraz czekają? On może jeszcze się uczyć; teraz nawet starzy ludzie mogą się jeszcze uczyć.

- Skąd pani wie - powiedział ktoś stojący z tyłu - że jemu chce się uczyć? Może jest sam? Może go nikt nie kochał i nie kocha? Może mieszka sam i nie chce mu się wracać do pustego domu? Może jest zupełnie samotny? Dziewczyna odwróciła się, popatrzyła chwilę na mówiącego i wybuchnęła śmiechem.

- Jaki pan strasznie dziecinny - rzekła. - Nikt go nie kochał, samotny... Powinien sobie znaleźć cel w życiu. Cel, rozumie pan? A samotność? Tego nie ma. Teraz nikt nie jest samotny ani nieszczęśliwy. Tego nie ma.

- W porządku - powiedział ten, który zwrócił się do dziewczyny uprzednio. - Dziękuję pani.

Do dziewczyny zbliżył się jakiś chłopak; był ubrany w przedziwną koszulę, a głowę ostrzyżoną miał krótko - włosy sterczały mu śmiesznie.

- Pójdzie pani do kina? - zapytał chłopak. - Mam dwa bilety.

- Na co?

- Nie wiem - powiedział chłopak. - Prawdopodobnie, że o miłości.

- Czy to będzie bardzo głupie? - zapytała dziewczyna. - Nie wiem - odpowiedział chłopak i wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że w miarę. Chodźmy: zaraz się zaczyna.

Wziął ją za rękę i odeszli. Człowiek w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce przymknął oczy, mówił:

- Na szóstym komisariacie był jeden znajomy sierżant. Bywało, zabrali nas: mnie i szwagra. Znów dwadzieścia cztery godzin. To ten sierżant mówił do szwagra: "Panie Heńku, ja pana wsadzę. Panie Heńku, pan będziesz u mnie siedzieć. Panie Heńku, niech mnie nagła, zła krew zaleje, ja pana upieprzę". Ale nie siedzieliśmy nigdy dłużej jak dwadzieścia cztery godziny. Żyliśmy z nimi na blat, ja i mój szwagier.

- Pański szwagier to pewnie porządna świnią - powiedział ktoś z tyłu.

Był to jakiś niski człowiek w wyszmelcowanych spodniach, które nawet w piekle zdradziłyby montera; był ubrany w sportową koszulkę, a na lewym ramieniu miał wytatuowanego węża. Był niski i krępy jak niedźwiedź; patrząc na jego szerokie plecy i grube ramiona czuło się w nim dużą siłę - budził zaufanie. Pochylił się nad leżącym i brutalnie nim potrząsnął. Pijany otworzył jedno oko i natychmiast je zamknął. Człowiek w spodniach montera wyprostował się.

- Sukinsyn - powiedział. - Uchłał się w samo południe. Co teraz zrobić z takim bydlakiem ?

- Wstydziliby się pan - powiedział ktoś z boku; był to człowiek o twarzy nauczyciela. - Wstydziliby się pan tak mówić. Tu stoją kobiety i dzieci: jak pan tak może? Na pewno w każdą niedzielę wygląda pan tak samo.

- Ja znam tego pijaka - powiedział inny mężczyzna. -

Kiedyś na Brzeskiej był bar. Nazywał się "Schron u Marynarza". Właściciel ważył przeszło dwieście kilo; przyjeżdżali z daleka, aby go oglądać. U niego nigdy nie było awantury; goście bawili się grzecznie jak dzieci w przedszkolu. Ja tam przychodziłem czasami; ten marynarz to tak potrafił opowiadać, że miałeś pan wszystko wyrysowane przed oczami. Ten dzidzius, który leży tu na ziemi, też tam przychodził. Stawał przy bufecie i mówił: "Panie gospodarzu, ja stąd wyjadę. Wyjadę stąd i wszyscy zapomną, że żyłem w tym mieście.

Ale pan będzie mnie pamiętać, co? To nieważne, że ja jestem pijaczek. Co-dziennie piłem tu u pana. Piłem nawet w niedzielę. Cały tydzień czekałem, że pójdę gdzieś w niedzielę, lecz w nie-dziele nie chciało mi się nigdzie iść. Ci, do których chciałyby pójść, nie mają niedzieli. I przychodzę do pana. Czy pan będzie mnie pamiętać w życiu?"

- Czy on był wariatem? - zapytał mężczyzna z wytatuowanym węzem. - Dlaczego on tak dziwnie mówił?

- Każdy człowiek mówi dziwnie - powiedział ten, który spotykał się z leżącym w "Schronie u Marynarza". - Każdego człowieka trudno zrozumieć. Ale on nie był wariatem. To był kiedyś bardzo fajny i porządny chłop.

- Wiele ludzi się rozpiło - powiedział jakiś pan o szczupłej twarzy, w okularach. - Gdyby ludziom dać to wszystko, co im potrzeba do dobrego życia, toby nie pili. Za mało zarabiają.

- Panie! - powiedział właściciel węża. - Panie, komu pan to mówisz? Mnie? Jak ja zarabiam tysiąc złotych, a mam kobitę i dwoje dzieci? Mnie pan to mówi? - Odsapnął chwilę i rzekł: - Niech pan mi pomoże. Odprowadzimy tego faceta.

- O, nie! - powiedział pan w okularach i wznosił palec do góry. - Przepraszam, ale to zbyt wstrętne. Nie będę odprowadzać pijanego bydlaka. Zresztą nie jestem z Warszawy; nie przyjechałem tutaj, żeby odprowadzać pijanych bydlaków.

- To lepiej - powiedział człowiek z węzem. - Pan tu przyjechał, żeby zobaczyć miasto i naszą Częstochowę. Niech pan stąd odejdzie. Teraz lato: powinien się pan poprawić i opalić. W szpitalu nie będzie pan miał słońca. Jakiż on jest bydlak dla ciebie?

Pan w okularach oddalił się mazurowym krokiem. Mężczyzna w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce powiedział:

- On zaraz będzie rzygać. Szwagier...

- O, do cholery! - powiedział ktoś z tyłu. - Panie Majtloch, poznajesz mnie pan? Ja znam pana i pańskiego szwagra. Siedzieliśmy kiedyś na Gęsiówce, tak?

- Zgadza się - powiedział ten w granatowym garniturze. - Bo co?

- Bo to - powiedział człowiek z tyłu - że odejść pan stąd do diabła. Siedzieliście ze szwagrem za kanty. Oszukiwaliście ludzi.

- A pan? Za niewinność pan siedziałeś?

- Siedziałem za to samo, co i wy. Ale teraz pracuję; mam dobrą robotę i spokój. Żałuję, że wam kiedyś uwierzyłem. Odejść pan stąd, bo jak pana puszczę zębami w trotuar, to panu łeb pęknie.

- W porządku - powiedział mężczyzna w granatowym garniturze - spotkamy się jeszcze. Ale wtedy za-szczekasz na księżyc.

Wzruszył ramionami i oddalił się. Pijany leżał dalej bez ruchu i wszyscy patrzyli na jego czerwoną twarz. Pochylił się nad nim mały chłopiec i kijkiem dotknął jego nosa. Kobieta, stojąca w kręgu ludzi, szarpnęła chłopca za rękę i krzyknęła: - Odejść, on cię uderzy!

- On już nikogo nie uderzy - powiedział inny, stojący z tyłu człowiek.

Mógł mieć lat około czterdziestu, wyglądał zdrowo, nosił cwaniacki wąsik i kolorową wełnianą czapkę, tak niegdyś popularną na przedmieściach Warszawy; obecnie noszą już takie czapki tylko ostatni gołębiarze na Marymoncie i Pelcowiźnie. Człowiek z wąsikiem ubrany był w bryczesy i skórzaną kurtkę, której rękawy podwinął. Wypluł niedopałek i powtórzył:

- On już nikogo nie uderzy. Tacy jak on nie biją. Teraz dopiero

przypomniałem sobie, że już kiedyś spotkałem tego faceta; było to dawno i jakoś cholernie dziwnie.

- Wszystko, co było dawniej, wydaje się dziwne - powiedział jakiś człowiek w mundurze kolejarza. - Czasem wydaje się, że tego w ogóle nie było. Czasem wydaje się to wszystko straszne, czasem śmieszne, czasem głupie. Ale nie takie, jakie było naprawdę.

- Powinieneś pan zasunąć na księdza - powiedział ten w skórzanej kurtce. - Po jakiego diabła został pan kole-jarzem?

- Jestem impotentem od urodzenia - powiedział człowiek w mundurze kolejarza - i dlatego nie mogłem zrobić tego, o czym pan mówiłeś: ci faceci są ostrzy w tych sprawach. Jestem dobrym katolikiem, ale w tym miejscu pan Bóg nie zbudował mnie tak, jak potrzeba: widocznie zajęty był zbawianiem świata lub jakimś innym świństwem. Poza tym chciałem przejechać kawałek świata.

- Rozumiem to - powiedział człowiek w skórzanej kurtce. - Jestem szoferem i sam lubię drogę. Kiedy spotkałem tego pijaka, leciałem akurat wozem. Była to już noc i późna godzina. Lubię szybką jazdę i wtedy też przyduszałem gaz: pamiętam jak dziś, że miałem na liczniku z pięćdziesiąt mil - wtedy jeszcze latało się na wozach z demobilu. Ten pijak wyskoczył mi nagle z ciemności i szczupakiem zasunął pod wóz. Wdepnąłem tak hamulec, że myślałem, iż mi noga na zawsze wlezie w tyłek. Wóz zarzucił, wyskoczyłem z kabiny i do niego. "No i co mówię - co mam z tobą zrobić?" Patrzył na mnie przez chwilę, miał zakrwawioną gębę, potem rzekł: "Co chcesz". "Gdybym zrobił z tobą to, co teraz chcę -mówię do niego - toby m posiedział za człowieka, a zabił-bym gnidę. Jesteś zalany?" "Nie" - mówi. Popatrzyłem na niego i widzę: trzeźwy, tylko cały się trzęsie. Żal mi się go zrobiło: zawsze człowiek. "Dlaczego pan to chciał zrobić? - mówię. - Gdzie pan mieszka? Podrzucę pana". Staliśmy w ciemnościach, naprzeciwko nas był jakiś plac ogrodzony deskami; pamiętam, że latem chłopaki grają tam w piłkę. On milczy. pytam jeszcze raz: "Dokąd pan chcesz iść?" Zaśmiał się jakoś idiotycznie, złapał mnie za rękę i mówił: "Człowiek, który odszedł od swoich, nie ma dokąd pójść. Wszędzie, gdzie pójdzie, zastanie pusty plac". I pokazał ręką na te parkany. Potem odszedł; trzymał się za głowę, ale już nic nie mówił. Nie widziałem go od tego czasu.

Człowiek w skórzanej kurtce skończył mówić; wyciągnął papierosa i począł się klepać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Nie znalazł; zwrócił się do człowieka z węzem i powiedział:

- Ma pan zapalaki?

- Zapalniczkę - powiedział człowiek z węzem; wy-ciagnął olbrzymią, mosiężną zapalniczkę własnej roboty i przypalił.

Człowiek w skórzanej kurtce zasalutował i odszedł.

- Inteligentny mężczyzna - powiedziała jakaś panusia. - Wcale nie ma wyglądu szofera.

- Niech pani poleci za nim - powiedział człowiek z węzem. - On się pani odda bezinteresownie, jeśli nie będzie się bał spać z nieboszczką.

- Ta pani - powiedział jakiś chłopak - wierzy w życie pozagrobowe. Pożycz pani dwadzieścia złotych: po śmierci pani oddam.

Kobieta odeszła. Idąc kołysała szerokimi biodrami, nogi miała proste i grube jak słupy.

- Jezu - powiedział chłopak - ale ona ma smutne nogi. - Kiedy byłem szczeniakiem - powiedział jakiś staruszek i popatrzył na zebranych słowiały mi oczyma -wmawiano we mnie, że wszystkie Polki są piękne. Ale i to złudzenie szlag trafił.

- Co zostało? - zapytał chłopak.

- Prysznic - powiedział staruszek. - Codziennie rano biorę prysznic.

- To wszystko?

- Jasne. Nie mogę dwa razy dziennie brać prysznicu. Mieszkam jako sublokator, a moja gospodyni to taka zołza, że nawet w piekle daliby jej osobny pokój. Staruszek chrząknął i odszedł wspierając się na lasce. Człowiek, który spotykał się z pijanym w "Schronie u Marynarza" na Brzeskiej, powiedział do człowieka z wężem:

- Ten pijany to był kiedyś fajny chłop. Przed wojną pracował na tramwajach, robił tam strajk. Przechowywał ludzi podczas okupacji: miał u siebie całą żydowską me-linę i śmiał się z Niemców. I mówił do nas: "Przyjdzie zwycięstwo, to zobaczycie, jak będziemy żyć. Będziemy mieli wszystkiego do cholery i nigdy nam już niczego nie zabraknie. Nie będzie już żadnej biedy. Odkujemy się za wszystką nędzę, cośmy wycierpieli w życiu. Będziemy opalać brzuchy: musimy tylko czekać".

- Ja wiem, co było dalej - powiedział niski mężczyzna z wytatuowanym wężem. - Potem przyszło zwycięstwo. I trzeba było drzeć się o wszystko, pracować tak, jak nigdy jeszcze w życiu, zaciskać zęby i przewiązywać je paskiem. Inni jakoś wyrastali, szli do góry, on został w tyle. Może był za mało zdolny, może za mało rozumiał? Wtedy nie wytrzymał: zaczął co innego mówić w nocy do żony, a co innego na egzekutywach. Potem zaczął się bać.

- Tak - powiedział znajomy pijanego - potem zaczął się bać. Bał się, że w końcu inni zrozumieją, jaki z niego partyjniak naprawdę. I żył już tylko samym strachem. Nie rozumiał partii.

- Partyjny - powiedział mężczyzna z wężem - który swoje wątpliwości przeżywa poza partią, dość szybko zamienia się w kupę tchórzliwego gówna. Miał małe serce i mało nadziei. Mało pragnął: pragnienie zastąpił mu strach, kiedy patrzył, jak męczą się ludzie. Są tacy faceci, którzy myślą, że wszystko, co dzieje się w tym kraju, dzieje się w ich sumieniu i na konto ich sumienia. Ten też był taki: miał malutkie serce i dlatego tu leży schlany jak stara kurwa w wielki czwartek. Potem wyleli go z partii.

- Skąd pan wiesz o tym wszystkim? - zapytał znajomy pijanego.

- Sam podnosiłem legitymację, żeby go wyrzucić - powiedział człowiek z wężem. - Spotkałem go kiedyś wieczorem. Czepiał się mojej ręki i mówił: "Dlaczego szczęście mieszka tak daleko? Kiedy my tam dojdziemy? Będziemy szli, zaciskali zęby, dzień wyda nam się nieraz nocą, ale czy jak kiedyś dojdziemy, będziemy mieli siłę się uśmiechnąć? Nie: będziemy po prostu cholernie zmęczeni. Po wielkim wysiłku nawet sukces wydaje się koszmarnym snem". "W porządku - mówię do niego wtedy - jutro jest zebranie: wstaniesz i powiesz to wszystko. Po cholere masz to dusić w sobie? Wszyscy są cholernie zmęczeni, ale milczeć nie wolno. Milczenie nie jest złotem. Milczenie jest paskudnym kłamstwem. Milczenie jest najpaskudniejszym ze wszystkich kłamstw". Spojrzał na mnie jakoś dziwnie: nigdy nie widziałem takiego

wzroku. Roześmiał się głupio i powiedział: "Coś ty? Ja tylko żartowałem. Chciałem tylko zobaczyć, czy ty jesteś dobrym partyjniakiem. Bo ty coś ostatnio..." Dałem mu wtedy w pysk. Ocierał krew z warg, milczał.

Człowiek z wężem przestał mówić. Zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie.

- Czego się pan śmieje, do cholery? - zapytał znajomy pijaka.

- Bo wiem - powiedział niski mężczyzna z wężem --wiem, że wszystkich takich facetów kiedyś tak zobaczę jak i jego. Gość partyjny, który

nie idzie tam, gdzie jego partia, musi zamienić się w takiego jak on. Lecisz pan już?

- Tak - powiedział znajomy pijanego. - Co tu będę stał? I tak mu w niczym nie pomożemy.

Szli ulicą. Zakurzone drzewa wyglądały żałośnie i brzydko. Na rogu chudy mężczyzna w brudnym kitlu sprzedawał lody - tłoczyła się przy nim gromadka dzieci; rozpuszczone lody spływały im po palcach. Piszczały trzymając w wyciągniętych rękach drobne pieniądze.

- Czy pan go na pewno znał? - zapytał znajomy pijanego ze "Schronu u Marynarza". - Mnie się zdaje, że pan buja. To niemożliwe, żebyśmy go wszyscy znali. Człowiek z węzem przystanął. Patrzył na tamtego. Tamten powiedział:

- Dopiero teraz widzę, że pan ma strasznie porozbijaną twarz. Czy pana bili kiedyś?

- Bili.

- Dawno?

- Mnie się zdaje, że to było wczoraj - powiedział człowiek z węzem.

- Ja to jeszcze czuję, jak całkiem świeże. Ale naprawdę to było dwadzieścia lat temu. I też był trzydziesty kwiecień. I też było tak strasznie gorąco, nie można było oddychać. Milczeli patrząc na siebie. Przejeżdżały tramwaje i cię-żarówki, szybko przechodzili ludzie. Znajomy pijanego zapytał z rozdrażnieniem:

- Więc znał go pan czy nie?

Człowiek z węzem podniósł głowę i spojrzał na niebo. Było puste, jasne i ślepe; przypominało oczy umarłego.

- Znałem wielu ludzi - rzekł.

Ruszyli dalej. Znajomy pijanego z baru "Schron u Marynarza" na Brzeskiej gwizdał, niski mężczyzna szedł w milczeniu i poruszał nerwowo olbrzymimi szczękami. W pewnym momencie przystanął.

- Zapomniałem, cholera - rzekł patrząc niespokojnie na tamtego. - Muszę się wrócić: kobita mi kazała, żebym zaszedł do teściowej. To w tamtej stronie.

- W porządku - rzekł tamten. - Zaczekałbym na pana, ale też nie mam czasu. Cześć - przytknął palcem w cyklistówkę i odszedł. Kiedy zniknął już za rogiem, niski mężczyzna zawrócił w stronę pijanego. Pochylił się nad nim i z wysiłkiem wciągnął go na siebie: pijany leciał mu przez ręce jak bezwładny wór. Niski mężczyzna prowadził go i mówił z żalem:

- Dlaczego się uchlałeś? Dlaczego się uchlałeś w samo południe?

1955

Lombard złudzeń

W naszym mieście jest wiele pięknych ulic i placów. Napisano o nich wiele pięknych wierszy, poematów, piosenek i książek; tak wiele, że zbytecznym już jest rozwodzić się nad urodą miasta. Jest tu jednak pewna taka ulica, że gdybyś szedł nią nie wiadomo jak spodłony, jej piękno i wdzięk każą ci trzymać łeb do góry; kiedy patrzysz na te wszystkie piękne, dziwne i małe domy, przychodzi ci do głowy nedorzeczna myśl, że powinni tu mieszkać sami dobrzy i szczęśliwi ludzie. Doprawdy, człowiek ma czasem ochotę przejść tą ulicą na kolanach. Na samym końcu owej ulicy, w kamieniczce ozdobionej

pięknymi, brązowymi smokami, mieści się kawiarnia, o której wiedza tylko wtajemniczeni, co w praktyce oczy-wiście oznacza, że wie o niej połowa miasta. Przychodzą tu jednak tylko ci, którzy mają do tego nie pisane jakby, lecz ściśle przestrzegane prawo; ci, którzy coś zrobili.

W tej kawiarni, przy jednym z misternie wykonanych stolików, siedział pewien młody pisarz z dziewczyną. Dziewczyna była bardzo młoda: miała śmieszna twarzyczkę dziecka, w której dziwiły czarne, poważne oczy. Miała na sobie jasną sukienkę w kratę, gdyż było to lato; nogi jej były długie, szczupłe i opalone; na te nogi zerkał już od pewnego czasu pewien staruszek z metafizyczną bródką siedzący przy oknie. Obserwacja jej nóg do tego stopnia zaabsorbowała jego wyobraźnię, iż zupełnie za-pomniał, że na jutro ma ukończyć miłosny wiersz do jednego z poczytnych tygodników. W pewnym momencie staruszek ocknął się, oblizał wargi i pochylił się nad kartką papieru; zrozumiałszy zaś po jakimś czasie, że nie jest to już opowieść o szukaniu stonki, której pisanie ukończył był przedwczoraj, począł układać gorące strofy. Pisarz i dziewczyna milczeli; przed kilkoma minutami ukończyli właśnie rozmowę, która oszołomiła i ją, i jego; tak zawsze bywa, kiedy ludzie wyznają sobie nad wyraz dobre i szczęśliwe rzeczy. Oboje bali się teraz pierwszego słowa; rzucali na siebie krótkie spojrzenia; młody pisarz od czasu do czasu chrząkał, wiedząc jednocześnie, że chrząkanie jest rzeczą idiotyczną i nie dającą absolutnie żadnych perspektyw. Wreszcie - zdławivszy w sobie z najwyższym trudem olbrzymie ilości niepotrzebnych słów - zapytał:

- Nie wierzysz mi?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To nie tak - powiedziała. - Wierzę ci, lecz trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. To tak niespodziewanie... Nawet nie potrafię ci wytłumaczyć...

- Nie tłumacz mi - szepnął gorąco. - Wcale nie chcę, żebyś mi tłumaczyła. Chcę tylko, żebyś uwierzyła temu, co mówię.

- Wierzę.

- Zaufasz mi?

- Chyba tak - powiedziała zaplatając z chrzęstem palce. - Chyba czy tak?

- Więc tak...

Na twarzy młodego pisarza odmalowała się niesłychana ulga. Bawiąc się filiżanką od kawy, powiedział:

- Nie masz pojęcia, jak strasznie trudno jest zacząć wszystko od początku.

- Pomogę ci - rzekła.

- Wszystko, co mi możesz pomóc, to tylko mnie kochać. Zrobię, co będę mógł, żebyś była szczęśliwa.

- Będę szczęśliwa, jeśli tobie będzie dobrze.

- Muszę teraz iść - rzekł po krótkiej chwili milczenia. - Poczekasz na mnie tę godzinę, dobrze?

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego oczami. Uścisnął jej rękę i odszedł. Dziewczyna została sama. Usiłowała skupić się i na zimno pomyśleć o tym wszystkim, co zaszło, o wszystkim, co jej powiedział; lecz wciąż jeszcze zdawało się jej, że słyszy po prostu jego głos, że miejsce naprzeciw niej wypełnione jest jego ciałem i że patrzy wciąż na nią jego oczy. Lecz nagle obraz ten się zamazał; potem wszystko poczęło się przecierać tak jak na ekranie i w pewnym momencie ze zdumieniem zauważyła, że naprzeciw niej siedzi żywa

kobieta. Była także młoda, lecz wyglądała na zmęczoną ponad swój wiek; oczy miała mroczne i pełne smutku; po jakimś czasie oczy takie stają się pełne zapiekłego żalu.

- To miejsce jest zajęte - powiedziała uprzejmie dziewczyna.

- Na tym polega cały dowcip - rzekła kobieta. - Moment. Mówiłam już do pani dwa razy, lecz wyglądała pani na bardzo zamyśloną. Bałam się, że jak się odezwę głośniej, to przestraszę panią. Nie będę pani długo nudzić. Na-prawdę nie mam o czym długo mówić. Kilka słów.

- Proszę - powiedziała jękając się dziewczyna. W serce jej wdarło się złe przecucie. Patrzyła ze strachem na obcą kobietę i nagle zapragnęła z całej siły, aby tamta odeszła nie powiedziawszy ani słowa. Wszystko by w tej chwili za to oddała, tak jak człowiek, który boi się nieświadomionego nieszczęścia.

- Niech pani posłucha - rzekła serdecznie kobieta. -Pani siedziała tu przed chwilą z pewnym młodym mężczyzną. Tak się już nieszczęśliwie składa, że ten rzekomy mężczyzna jest moim mężem i że z tego powodu znam go co nieco. Wiem, że panią kocha, bo to jego ulubiony pretekst od wielu miesięcy; nareszcie może chlać. zresztą, nie wykluczone, że kocha panią naprawdę. Moja rada jednak: niech się pani zastanowi.

- Nad jego miłością ?

- Nad sobą. Ludzie, którzy kochają trzy razy w roku, nie czynią tego nigdy naprawdę, nawet wtedy, kiedy sami są o tym przekonani. A potem strasznie jest patrzeć, jak miłość umiera.

- Musi umrzeć?

- Czy on mówił pani, że całe życie czekał na kobietę taką jak pani?

- Tak.

- Czy mówił, że od miesiący nie może napisać ani słowa, bo bez przerwy myśli o pani?

- Tak.

- Czy mówił, że jeśli pani zależy na tym, co on może dać ludziom, aby pani z nim została?

- Mówił.

- Niech pani posłucha - rzekła po raz drugi kobieta. - Wszystko więc się zgadza. Ale mnie się to już absolut-nie znudziło. Kilka razy już pocieszałam te wszystkie nieszczęśnice, a raz nawet, za własne pieniądze, załatwi-łam jednej z nich pewien kłopotliwy drobiazg. Byłoby mi bardzo głupio, gdyby pani również w pewnym momencie przyszła do mnie po słowa pociechy, wygląda pani sympatycznie. Proszę mnie posłuchać jeszcze przez chwilę. Kiedy pierwszy raz weszłam do tej kawiarni, byłam równie ładna jak pani. Tak, proszę nie patrzeć na mnie jak na idiotkę. Wysłuchałam tych samych słów, a ponieważ on jeszcze wtedy miał własne zęby, słowa te brzmiały tym czyściej. Radzę ci, nie wygłupiaj się. Przez pierwsze trzy miesiące będziesz zapewne bardzo szczęśliwa, że towarzyszysz człowiekowi w jego poszukiwaniach twórczych i w jego cierpieniach. Potem on popadnie w małą melanczolię; zacznie szukać i cierpieć sam. Natomiast ty zaczniesz znajdować ślady szminki na jego koszulach, będziesz mu o trzeciej w nocy robić herbatę z cytryną, aby go ratować od kaca, a w końcu przyjdzie dzień, kiedy on stanie przed tobą i powie ci: " Wybacz, pomyliłem się. Moje życie to ciągłe błądzenie. Muszę błądzić i szukać; gdybym nie szukał, ludzie zapomnieliby o mnie. Poznałem kobietę; nie wiem, czy będę z nią szczęśliwy, lecz dopiero teraz, przy niej, odnalazłem siebie i jeśli ona nie zostanie ze mną, nie napiszę już ani słowa..." I tak dalej. Przerwała. Milczała przez chwilę, rozglądając się po sali. Potem

położyła swoją dłoń na dłoni dziewczyny i rzekła:

- A kiedy w pani życiu zrobi się już takie piekiełko, że odda się pani pierwszemu lepszemu durniowi, aby choć przez sekundę mieć złudzenie, że leży pani koło mężczyzny, ci wszyscy ludzie zrobią z pani taką kurwę, że rzeczywiście zacznie pani o sobie tak myśleć, słysząc, że "człowiek szarpie się, dręczy i męczy", a pani nie jest go w stanie zrozumieć. Jestem już wrakiem, na który nie popatrzy żaden mężczyzna, i radzę pani, niech pani zamknie drzwi i zapomni o tym lokalu. To lombard; za-stawi pani swoje złudzenia, marzenia i pragnienia, ale nie będzie pani miała już za co tego wykupić. Te wszystkie inteligentnie wyglądające panie, siedzące tutaj, wleżą nie tylko w pani łóżko, ale w każdą myśl; będzie się pani o sobie dowiadywać takich rzeczy, od których cierpną zęby. Będą rozpruwać pani życie jak pierzynę. Niech pani pomyśli nad tym. W życiu warto mimo wszystko od czasu do czasu pomyśleć o sobie: to nie takie głupie, jakby się zdawało. Ma pani ładną suknię. Skąd?

- Cepelia.

- Jakby się pani ktoś zapytał, skąd, niech pani powie, że ma pani wuja w Paryżu. Dobre entree. Do widzenia. Wyszła. Dziewczyna siedziała przez chwilę z zapartym tchem. Staruszek spod okna ciągle patrzył na nią; w pewnym momencie spojrzenia ich spotkały się i staruszka zatkało. W kącie ktoś głośno mówił: "Brykalski się skończył". "Jak to? - zapytał ktoś inny. - Przecież to jego debiut. Nie wiadomo, co jeszcze napisze". "Nic już nie napisze - cerkiewnym basem krzyknął pierwszy. - Ta książka jest końcem początku". Dziewczyna posiedziała jeszcze chwilę i wyszła. Staruszek spojrział za nią ze smutkiem i wrócił do swego poematu.

Na ulicy było duszno. Środkiem jezdni jechała polewaczka sikając strumieniami wody. Szofer wychylił się do dziewczyny i krzyknął: "Lalka, uważaj, bo ci z pupki garaż zrobię! Przechodź wolniej". Ludzie na chodnikach zaryczeli uszczęśliwieni. Polewaczka odjechała z szumem. Jakiś starszy, wykwintnie siwiejący pan, powiedział do dziewczyny:

- Niech pani naprawdę przechodzi uważniej przez jezdnię, bo może się pani nabawić kalectwa na całe życie...

- Ach, idź pan do stu diabłów - powiedziała dziewczyna żelaznym głosem. - To panu by się przydało, żeby panu obie nogi równo obciążały; siedziałby pan wtedy w domu i myślał o wieczności, zamiast szwendać się po ulicach bezmyślnie i pleść androny.

Wykwintnie siwiejącemu panu w sposób apoplektyczny zsiniał kark, a dziewczyna odwróciła się w drugą stronę i odeszła. Minęła wiele ulic, zeszła wielu rozmaitymi schodami i, sama nie wiedząc kiedy, znalazła się nad Wisłą. Długo szła zielonym brzegiem, aż w końcu, zmęczona, usiadła wyciągając przed siebie swoje wspaniałe nogi. Słońce zachodziło; rzeką płynęła zastygła miedź. Takie obrazy można kupić na placu Szembeka; można tam zobaczyć również najwytworniejszych mężczyzn i wszystkie trzy ładne kobiety mieszkające w Warszawie. Łąki dymiły rosą. Po drugiej stronie Wisły brzegami wałęsały się mgły i nic już dojrzeć nie było można. Światło dnia wygasało i nagle dziewczyna pomyślała, że jeśli nie odezwie się do kogoś, to zapłacze jak małe dziecko; a była twarda i nie znosiła łez. Obejrzała się rozpaczliwie w bok i zobaczyła, że niedaleko niej siedzi mały piegowaty chłopiec z książką na kolanach. Przysunęła się do niego i rzekła:

- Ty pewnie chcesz zostać pisarzem, co?

- Marynarzem - odparł niegrzecznie piegowaty.

- Ile masz lat?

- Co cię to obchodzi?

- Nie możesz odpowiedzieć, bęcwale?

- Przyczepiłaś się j nie dajesz mi czytać - odpowiedział ze złością piegowaty. - Zupełnie jakbyś mi chciała dać na kino. Osiem. Zaraz się zrobi ciemno i będę musiał wracać do chaty. A tam już nie mogę czytać.

- Dlaczego?

- Matka mi każe robić lekcje.

- Co masz na jutro zadane?

- Matematykę.

- Matematyka - powiedziała z głębokim przekonaniem dziewczyna - to rzecz idiotyczna.

- Absolutnie.

- Posłuchaj - rzekła dziewczyna. - Dam ci na kino albo nawet dwa razy na kino, ale musisz mi przyrzec jedną rzecz. Dobrze?

- Nie bądź taka cwana - powiedział piegowaty i obejrzał ją podejrzliwie od stóp do głów. - Ja jestem z tych niedzisiejszych. Powiedz najpierw, o co ci chodzi.

- Dam ci na kino - powiedziała dziewczyna - ale pod tym warunkiem, że jak staniesz się dorosłym człowiekiem, to będziesz pisarzem. Piegowaty zaśmiał się szatańsko.

- Gówno - rzekł krótko.

- Słuchaj, błaznie - powiedziała dziewczyna i z nie-spodziewaną siłą ścisnęła jego rękę. - Dla mojej przyjemności, to możesz nawet zostać proboszczem w Pikutkowie. Ja chcę tylko, żebyś powiedział: "Zostanę pisarzem".

I za to ci dam na kino.

Piegowaty spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Idiotka - rzekł z niesłychanym zdumieniem w głosie. - Czy nie rozumiesz, że słowo to jest słowo?

- Napiszesz książkę - rzekła. - Opisziesz tam miłość zwykłej, młodej dziewczyny do zdolnego pisarza. Opisziesz uczucie litości, które zawsze bierze górę nad miłością i które tyle kobiet doprowadziło do klęski. Opisziesz ich pierwszą, miłosną noc, kiedy facet stoi przed drzwiami i skamle, żeby go wpuścić do pokoju, a kiedy go się wreszcie wpuszcza, tarza się przed łóżkiem i grozi, że podetnie sobie żyły. Opisziesz zdobywanie kobiet za pomocą szantażowania pijaństwem. Opisziesz kawiarnię, w której siedzą kobiety pięknie, może najlepiej ubrane w Warszawie, o mentalności bajzelmamy z Płońska. I wiele innych, ciekawych rzeczy. No?

- Daj mi spokój ze swoim pisarzem - powiedział groźnie piegowaty i zamknął z trzaskiem książkę. -w ogóle idź stąd i daj mi święty spokój. Jak ja raz powiedziałem, że zostanę marynarzem, to tak już być musi. Ja mam nawet nazwę statku: "Albatros" . Tylko ty jesteś baba, masz piersi i nigdy tego nie zrozumiesz. Wracaj sobie do swoich lalek, a mnie daj spokój.

- Cóż ci z tego przyjdzie, kapitanie?

- Głupia - powiedział i jego piegowata mordka rozciągnęła się w szczęśliwym uśmiechu. - Będę jeździł po całym świecie. Zobaczę wszystkie kraje. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Jak będziesz pisarzem, także możesz podróżować. I lądem, i morzem.

- A potem będę wracał z rejsu - ciągnął piegowaty nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa dziewczyny -i będę zachodził do gospody "Pod Zardzewiałym Trupem". Ludzie będą siadać koło mnie, a ja będę im opowiadać o wszystkim, co widziałem. I to będzie wspaniałe.

Dziewczyna podniosła się i otrzepała sukienkę.

- Jesteś durniem - rzekła. - Ilu ludziom opowiesz? Dziesięciu? Dwudziestu? Stu? I co z tego? Umrze szybko twoja gadka; jutro przyjedzie inny marynarz, opowie ciekawszą i zapomną o twojej. Gdybyś był niezłym pisarzem, twoją książkę czytałyby setki tysięcy. W każdym razie na pewno więcej, niż by na to zasługiwała. Sięgaliby do niej. Pamiętaliby każde twoje słowo. Dzieci by się z niej uczyły w szkołach. Mówiłbyś do wielu, wielu ludzi na całym świecie. Ale jak chcesz. Jesteś takim samym durniem jak każdy z was. Żegnaj, kapitanie.

Odeszła; słońce już wpadło za drzewa, daleko ktoś był pijanym tenorkiem. I kiedy uszła już kawałek, piegowaty wrzasnął z całych sił:

- Dobra! Zostanę pisarzem!...

Dziewczyna drgnęła. Spojrzała na zachodzące słońce i poczęła szybko, aż do utraty tchu, biec w stronę pięknej ulicy.

1955

Stacja

Stałem na tym rogu może już z piętnaście minut, ale nikt nie nadchodził. Było cicho i zimno; widziałem wieżę kościoła ciężko wznoszącą się ku niebu jasnemu od mrozu i gwiazd. Jutro też powinno być zimno i już tak chyba zostanie aż do marca, tak to przynajmniej wyglądało. Wtedy z bocznej ulicy wyszedł ten człowiek. Był ubrany w narciarską czapkę i kożuch. - Nie wie pan, gdzie tu jest jakaś restauracja? - zapytałem.

- Restauracja?

- Gdzieś, gdzie można by posiedzieć i poczekać na pociąg.

- Jest restauracja - powiedział. - Ale o dwunastej zamykają. Do dwunastej może pan posiedzieć.

- Pokaż mi pan, gdzie to jest - powiedziałem. - Napijemy się po jednym. Jeśli pan idzie w tamtą stronę.

- Dobrze - powiedział. - Pójdę z panem.

Ruszyliśmy przed siebie. Zamarznęte kałuże pękały z suchym trzaskiem pod nogami, tak jak to zwykle bywa pierwszego dnia, w którym chwyta mróz i kiedy lód jest jeszcze cienki i delikatny jak opłatek. Przechodziliśmy obok jakiegoś ciemnego masywu i powiedziałem do niego:

- Co to jest?

- Właśnie to, co pan - myśli - powiedział.

- Nieliche więzienie jak na takie małe miasto - powiedziałem.

Patrzyłem teraz na wieżę wartowniczą i na biały reflektor okręcający się w równych odstępach czasu. - Nie można zabłądzić - powiedziałem.

- Trzeba tylko iść prosto na to światło.

- Mój brat siedział tu siedem lat - powiedział. - I teraz, na jesieni, wyszedł. - Odwrócił ku mnie zmarzniętą twarz. - Był lotnikiem - powiedział. - Latał w czasie wojny w Anglii. A potem posadzili go i dostał krawat. Przyszli do niego, żeby podpisał prośbę o ułaskawienie, ale odmówił. Czekał siedem lat na wykonanie wyroku. A teraz wyszedł.

- Chwała Bogu - powiedziałem.

- Nie - powiedział. - On już do niczego. Nie powinni wypuszczać ludzi po siedmiu latach czekania na śmierć. Powinni ich zabijać. Dokąd pan właściwie jedzie?

- Do Warszawy - powiedziałem. - Ale mój pociąg jest dopiero o trzeciej. A musiałem hotel opuścić o dziesiątej. Wie pan, jak to jest: inaczej musiałbym zapłacić jeszcze jedną noc. - Do dwunastej może pan posiedzieć - powiedział. - A potem niech pan idzie na stację. Będzie pan mógł posiedzieć w bufecie. Weszliśmy do restauracji. Było tu już prawie pusto. usiedliśmy przy stoliku. - Niech pan nam da dwa razy po sto - powiedziałem do kelnera. - I coś na zakąskę.

Kelner odszedł. Ten w kozuchu powiedział do mnie:

- Przykro mi, że nie mogę zaprosić pana do domu. Ale moja żona jest chora. No i mój brat.

- Mieszka z panem?

- Tak - powiedział. - Jeszcze się nie urządził.

Wypiliśmy. Wstał; wziął ze stołu swoją narciarską czapkę.

- Dobranoc - powiedział. - Szczęśliwej podróży. Od czasu wojny nie byłem w Warszawie. Zmieniła się?

- Chyba tak - powiedziałem. - Niech pan przyjedzie kiedyś. - Tak - powiedział. - Myślałem już o tym. Chciałem nawet przenieść się do Warszawy i zacząłem starania. Potem dałem spokój.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Przed wojną zacząłem studiować medycynę - powiedział.

- Wie pan, pracuję teraz jako felczer w szpitalu. Nie jest w końcu tak źle. - Milczał przez chwilę. - Jeśli się nie osiągnie czegoś do trzydziestki - powiedział - to nie osiągnie się już nigdy, żeby tam nie wiem jak się ludzić.

- Mnie pan to mówi? - powiedziałem.

- Dobranoc panu - powiedział.

- Dobranoc.

Podszedłem do bufetu. Zamówiłem rozmowę z Warszawą i telefonistka powiedziała mi, że bym nie odkładał słuchawki. Byłem zmęczony i odbicie mojej własnej twarzy w lustrze rozmazywało mi się przed oczyma. Mam trzydzieści lat, ale wyglądam na więcej. Teraz, kiedy byłem nie ogolony, wyglądało to jeszcze gorzej.

- Słyszysz mnie pan? - zapytała telefonistka.

- Tak.

- Numer jest stale zajęty - powiedziała.

- Proszę próbować - powiedziałem. - Nie odkładałam słuchawki. Nie potrzebowałem właściwie tej rozmowy. Tak czy owak, nie miałem nic przyjemnego do powiedzenia. Ani jej, ani sobie. Jeśli mężczyźni nie uda się czegoś dokonać w jednym kraju lub w jednym mieście, to pójdzie dalej, do innego kraju albo do innego miasta, i będzie próbował od początku. Jeśli był złym aktorem w jednym mieście, to pójdzie dalej, będzie głodował, kraść i próbować jeszcze raz od początku. Albo jeśli ktoś jest kiepskim złodziejem, kiepskim robotnikiem. One mają łatwiej, jeśli im się coś nie uda. Nie potrzebują zmieniać ani kraju, ani miasta. Mogą zostać kurwami na tej samej ulicy, na której chodziły do szkoły i do kościoła. Stałem przy bufecie czekając na rozmowę, patrzyłem na swoją zmęczoną twarz w lustrze i nie było mi wcale dobrze. Kiedy ma się dwadzieścia lat, to klęska jest jeszcze przygodą. Ale dziesięć lat później wygląda ona jak stara prostytutka i jest tak samo nie do zniesienia, jak jej zapach i jej obecność. To było właściwie wszystko, co powinienem był

teraz powiedzieć; w każdym razie z tego, co miałem do powiedzenia.

- Słyszysz mnie pan? - zapytała telefonistka.

- Tak - powiedziałem.

- Przypuszczam, że aparat jest popsuty - powiedziała. - Normalnie mogę przerwać, jeśli rozmowa jest międzymiastowa. Więc chyba coś się stało.

- Nie - powiedziałem. - Nic się nie stało. Po prostu wie, że będę dzwonić. Więc odłożyła słuchawkę i przykryła ją poduszką. Dziękuję pani.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do stolika. Była już prawie dwunasta. Kelner pertraktował z jakimiś dwoma, którzy upierali się, aby zostać i napić się jeszcze po jednym. W końcu ustąpił im; jeden z nich posiadał siłę przekonywania; w ciągu tych kilku chwil opowiedział mi całe swoje życie i najważniejsze decyzje, które musiał podejmować. Ten drugi milczał i patrzył cały czas na mnie. Wiedziałem już, że nie podobam mu się. Zapłaciłem i poszedłem w kierunku stacji. Było teraz jeszcze zimniej. Przechodziłem znów obok więzienia i widziałem ciemną sylwetkę wartownika na wieży; ubrany był w ogromny kożuch i czapkę uszankę. Nie zauważyłem drugiego; tego, który stał na ulicy ubrany w taki sam kożuch i w taką samą czapkę. Ujrzałem go dopiero w tej chwili, kiedy skierował prosto w moje oczy światło reflektora.

- Zejdźcie na jezdnię - powiedział. - Tędy nie ma przejścia.

- Którędy do stacji? - zapytałem.

- Prosto - powiedział. - Tam dalej już sami zobaczycie. A teraz zejdźcie na jezdnię.

W bufecie było tak samo zimno, jak i na dworze. Wszystkie trzy stoliki były zajęte. Znów poszedłem do telefonu i zamówiłem rozmowę z Warszawą. Pomyślałem sobie, że może to jednak był przypadek; może po prostu rozmawiała z kimś długo; może ze swoją matką, która mnie nie cierpiała, albo z którąś z tych jej cholernych przyjaciółek, przed którymi nie miała sekretów, tak jak i one przed nią nie miały sekretów. Nie chciałem być przy tych ich rozmowach. Trzymałem w ręku brudną, lepka słuchawkę i myślałem o tym, że mężczyzna nawet w chwili wściekłości czy rozpacz nie potrafi tego powiedzieć o nich, co one same potrafią nam powiedzieć w przystępie dobrego humoru. Dużo bym dał, żeby uzyskać to połączenie i móc jej powiedzieć to, co chciałem. Człowieka ogarnia czasami okrucieństwo; i to własne okrucieństwo trudniej czasami wytrzymać od cudzego.

- Słyszysz mnie pan? - zapytała telefonistka.

- Tak - powiedziałem.

- Numer jest wciąż zajęty - powiedziała. - To znaczy, nie zajęty, musi być jakiś defekt. Nie mogę nic poradzić. Może pan chce nadać depezę?

- Dziękuję pani - powiedziałem. - Tak czy owak jutro rano będę w Warszawie. Dobranoc.

Nie było gdzie usiąść. Przysiadłem się do jakiegoś stolika, przy którym siedziała stara kobieta z jakimś mężczyzną. Dalej siedzieli dwaj oficerowie z dziewczynami i jacyś dwaj kolejarze czekający na poranny pociąg. Ten mężczyzna siedzący przy naszym stoliku wstał nagle.

- Usiądź - powiedziała ta stara kobieta.

Ale nie usłuchał jej. Sprawiał wrażenie, że to wcale do niego nie dotarło. Wstał od stolika i poszedł tam, gdzie siedzieli oficerowie z dziewczynami. Nie zauważyli go. Stał tam nieruchomo i patrzył na te dwie dziewczyny tępy, nieruchomym wzrokiem.

- U siadź - powtórzyła ta stara siedząca przy stole, gdzie i ja

siedziałem. Była to jego matka; o tym wiedziałem od razu. Była ubrana bardzo biednie i czysto. Ręce trzymała nieruchomo na stole; ciężkie, spracowane jak ręce chłopki. - Usiądź - powiedziała. I tym razem nie poruszył się. Stał nieruchomo za plecami jednej z tych dziewczyn, a w pewnym momencie wyciągnął rękę i dotknął jej, a wtedy krzyknęła i odwróciła się nagle ku niemu.

- Kto to jest? - zapytał jeden z oficerów. - Znasz go.

- Nie - powiedziała. - Widzę go pierwszy raz.

- Czego chcesz? - zapytał drugi z oficerów. - Usiądź sobie i siedź spokojnie, kiedy wypieś.

- Nie jest wcale pijany - powiedziała dziewczyna.

- Odejdź pan stąd - powiedział teraz pierwszy z oficerów; był to kapitan: piękny, ciężki mężczyzna w mundurze lotnika. Za dziesięć lat będzie już tylko otyły i niezgrabny, pomyślałem sobie. Ale teraz jest piękny, ciężki, i to dodaje mu wdzięku, kiedy rusza się powoli jak zwierzę. - Odejdź stąd, przyjacielu - powiedział kapitan. - Pyskaj. I bądź u mnie jak sprężyna. Ale ten mężczyzna nie poruszył się. Stał tam niby głuchy i ślepy i patrzył na nie - na te dwie kiepskie dziewczyny, z którymi ci oficerowie siedzieli tylko dlatego, że lepszych nie było w odległości pięćdziesięciu kilometrów od lotniska. Trudno było powiedzieć, ile miał lat; mógł mieć dwadzieścia osiem, ale mógł mieć i czterdzieści. Twarz miał nalaną, białą, bez zmarszczek.

- Odejdź pan stąd - powiedziała jedna z tych dziewczyn. - Niech pan powie, kapitanie.

- Jesteśmy przecież na ty - powiedział piękny lotnik. - Jak ty się nazywasz? Maria?

- Tak, Maria.

Wtedy wstała ta stara kobieta, wzięła go za rękę i przy-prowadziła do stołu. Wcisnęła mu do ręki bułkę z wędliną i począł jeść, żując ją niezdarnie jak małe dziecko. Oficerowie i dziewczyny pili dalej swoje wino. Ci dwaj robotnicy przy drugim stole ocknęli się nagle i poczęli patrzeć na niego, na ślinę ściekającą z jego ust.

- Zaprawiony - powiedział jeden z nich.

- Może ma hyzia?

- Nie, zaprawiony.

- Nie wygląda na wlanego.

- To nie jest argument. A ty wyglądasz? Ty wyglądasz na wlanego, kiedy wracasz do domu po wypłacie i czarujesz swoją starą?

- Nie - przyznał drugi.

Tamten skończył jeść bułkę i znowu wstał.

- Usiądź - powiedziała jego matka.

Znów - tak jak i poprzednim razem - niezauważalnie, cicho stanął za tymi dziewczynami. Nie mogli go zauważyć; to już tak jest w tych małych garnizonach w powszedni dzień, kiedy nie wolno wódki sprzedawać w kantynie, i wtedy oficerowie idą na stację, żeby pić wino: tanie, ciężkie wino, po którym nie można przyjść do siebie do dwunastej godziny następnego dnia. Musieli już sporo wypić i może już zapomnieli o nim; ale on znów wyciągnął rękę i znów dotknął jednej z nich.

- No, bracie - powiedział jeden z oficerów. Nie ten duży, ten piękny; ale ten drugi, który podśpiewywał tenorem. - Teraz to już za dużo.

- Zostaw go - powiedział lotnik.

- Zostawię go - powiedział tamten. - Pewno, że go zostawię.

Zamachnął się krótko i mężczyzna upadł. Począł go kopać raz po raz szpicem buta w twarz, podczas gdy tamten leżał nieruchomo na podłodze, nie starając się nawet bronić.

- Słuchaj no pan - powiedział jeden z kolejarzy do oficera. - Tylko nie tak, dobrze? Tylko nie tak.

- Siedź pan przy swoim stole - powiedział oficer.

- Nie tak - powiedział ten robotnik. - Powiedziałem już panu: nie tak.

Stara kobieta znowu wstała; podniosła go z podłogi i przy-prowadziła do stolika. Otarła mu krew; a potem podeszła do bufetu i kupiła mu nową bułkę z wędliną. Słyszałem, jak rozmawia z bufetowym.

- Dużo tu bierzecie.

- Tu jest stacja - powiedział bufetowy. - Tu tak kosztuje.

- Ile jest w tym wędliny?

- Tyle, ile przepisy mówią, żeby było.

- Nie znam przepisów - powiedziała. - Odpowiedzcie mi, kiedy się was pytam.

- Sto gramów. Bierzecie te dwie bułki czy nie?

Widziałem, jak kobieta liczy swoje pieniądze.

- Wezmę jedną - powiedziała. Wróciła z powrotem do stolika i dała mu bułkę. Znow jadał patrząc przed siebie szklanymi oczyma.

- Za takie zachowanie można go wpakować na noc do komisariatu - powiedział jeden z oficerów; skończył właśnie piosenkę i był zdyszany, uszczęśliwiony. - Powiedzcie waszemu synowi, że nie wolno zaczepiać ludzi. Inaczej zawołam milicję i każę go wpakować. Jest tu chyba milicja kolejowa, nie? - zwrócił się do bufetowego.

- Jest - przyznał bufetowy.

- Nie znacie przepisów - powiedziała do oficera kobieta.

- Ja nie znam przepisów? - powtórzył wolno oficer. - Ja nie znam przepisów? Wy wiecie, do kogo mówicie?

- Siedział dwanaście lat w więzieniu - powiedziała. - I wy-szedł teraz, o szóstej wieczorem. Przez dwadzieścia cztery godziny nie wolno go aresztować. To znaczy, do jutra do szóstej. Taki jest przepis.

Tamci odwrócili się, znow otworzyli butelkę wina i poczęli pić. Po chwili tamten znowu śpiewał.

- Za co go zamknęli? - zapytałem ją.

- Należał do bandy - powiedziała. - Kiedy miał siedemnaście lat. Więc jak wybuchła nowa Polska, to ich złapali. Najpierw go skazali na śmierć, a potem na dożywocie. Ale widzi pan przecież, pomieszało go. On po prostu nie rozumie, co to są kobiety.

Patrzyliśmy, jak mężczyzna kończy jeść, a potem, jak wysuwa rękę i zaciska ją na piersi matki. Siedziała nieruchomo i spokojnie, a potem swoją ciężką, spracowaną ręką zdjęła jego dłoń.

- No - powiedziała. - Siedź sobie spokojnie. Słyszałeś przecież, co pan oficer powiedział.

Podszedłem do bufetu i kupiłem mu trzy bułki. Rzucił się na nie w milczeniu, a my patrzyliśmy na niego.

- To te doktory z niego to zrobiły - powiedziała stara.

- Nie mówcie takich rzeczy - powiedziałem. - Może po prostu nie mogli mu pomóc.

- Musieli go bić - powiedziała. - I od tego bicia go pomieszało. A potem wzięli go do szpitala, i z powrotem do więzienia. A potem mi napisali list, żebym go wzięła do domu, bo jest chiromatyk.

- Schizofrenik - powiedziałem.

- Tak - powiedziała. - Chiromatyk.

- I co z nim zrobicie w domu?
- Mamy gospodarkę - powiedziała. - Jemu niedługo żyć. Zawsze był słaby na płuca, a teraz już koniec z nim. Ojciec już pojechał do miasta, żeby porozmawiać według pogrzebu, a ja pojechałam po niego. Po co mają studenci go krajać po szpitalach.
Mój pociąg już nadszedł. Dałem jej dwieście złotych i wyszedłem na peron. Była już godzina czwarta, niedługo zacznie jaśnieć i pomyślałem sobie, że do Warszawy przyjadę około południa, a wtedy jeszcze ją zastanę. Bo ja jechałem do jednej dziewczyny, z którą byłem przez rok. Jechałem po to, żeby wziąć od niej swoje rzeczy i wyprowadzić się; żeby jej powiedzieć, że już jej nie kocham, że jej nigdy nie kochałem i że po prostu omyliłem się jeszcze raz.

Po raz pierwszy ukazało się w paryskiej "Kulturze," nr 12, 1962 r.

Targ niewolników

Stawił się następnego ranka, bardzo wcześnie, kiedy ulicami jechały dopiero pierwsze wozy z mlekiem, a pierwsze słońce oblizywało wilgotne dachy. Było tam już wielu poborowych. Pili wódkę, wrzeszczeli, opowiadali sobie dowcipy, które mogłyby zwać z nóg słońca; wszystkim, czym tylko mogli, usiłowali zabić strach przed służbą. Niektórzy siedzieli wylęknięci i nastroszeni niby sowy; inni próbowali ryczeć wojsko-we piosenki; wszystkim było smutno i tęskno - zostawiali miasto, do którego miłość potrafią zrozumieć tylko ci, którzy wychowali się wśród jego brzydkich ulic i zaułków; zostawiali swoje dwadzieścia lat, wszystko dobre i złe, co przeżyli dotychczas; jechali, aby przez osiemnaście miesięcy znosić bezmyślną katorgę w imię słów, które brzmiały dla nich fałszem, w imię ojczyzny, w której błakali się bez pracy i nadziei; jechali tam, gdzie kłatwy kaprali miały zrobić z nich oddanych Bogu i Ojczyźnie żołnierzy. Przyszedł wąsaty sierżant, ustawił ich w dwuszereg, poodbierał karty powołania i przymrużywszy oko, rzekł:

- No, kochani! Pamiętajcie, że w wojsku nie ma silnych. Ani mocnych. Ani cwanych. Silni szczoteczka do zębów podłogi myją, a cwani - pośladekami schody równają. Jeśli ci każą zeżreć gówna, to masz jeść i mówić, że smaczne. Masz się zachwycać. Do Boga nie ma się o co skarżyć, bo Bóg wysłuchuje prośb, ale tylko od kaprala w górę. Wy zrozumieli?

Roześmiał się dobrodusznie i przymrużył do nich oko. Odpowiedzieli wszyscy:

- Tak jest, panie majorze!

- No! A teraz pójdziemy się kąpać. Można śpiewać... "Dom przy drodze" - znacie?

- Obowiązkowo !

- Więc już...

U stawił ich w szereg i poczęli iść w stronę ulicy Stawki, gdzie mieściło się Miejskie Kapielisko. Szli raz za razem gubiąc nogę, a śpiew ich brzmiał równie niezdarnie:

A on do wojska był przynależniony,
A ona za nim pła-ka-ła...

Kiedy wykapali się już w błyskawicznym tempie, poprowadzono ich na ulicę Powązkowską przed komisję lekarską. Było ich ponad trzystu; Lewandowski rozglądał się za chłopakami z Marymontu, lecz nikogo nie zauważył. Zrobiło mu się smutno jak dziecku, że będzie sam pomiędzy obcymi, a na pewno gdzieś daleko od Warszawy i Wisły; może nawet rozdziela go ze swymi z Warszawy i będą rozrzucać ich po innych pułkach- warszawiacy nie cieszyli się w wojsku dobrą opinią, na warszawiakach starzy kaprale łamali zęby i krzyże. Przysiadł na schodku i milczał nie biorąc udziału w powszechnym zamęcie. "Wszystko jest inne - myślał - kiedy w końcu przychodzi odchodzić. Wtedy nawet noc jest drugim dniem".

Uchodziły pełne zdenerwowania minuty; co pewien czas wychodził sierżant i wywoływał nazwiska:

- Bonikowski Zdzisław!
- Jest!
- Na salę! Bentel Roman!
- Jest!
- Na salę! Bober Władysław!...

Odchodzili i wracali; byli pełni wściekłości lub zadowolenia, gdy udało im się uzyskać odroczenie; mijały godziny pełne zwątpienia, oczekiwania i słabej nadziei, że uda się uniknąć munduru. "Niech to cholera porwie" - myślał Lewandowski ponuro spoglądając w ziemię. Drażniły go wrzaski; upijano się korzystając z ostatnich chwil w cywilu; wciąż podchodził ktoś do Lewandowskiego częstując go wódką, lecz on odmawiał; nawet najmniejsza ilość alkoholu działała na niego rozdrażniająco i momentalnie ponurzał.

- Masz pietra, kochany? - zapytał go ktoś z tyłu.
- Ty może nie? - rzekł nie odwracając głowy.
- Nie - mówił głos z tyłu. - Może się tam wykieruję na człowieka? W cywilu nie ma życia, kochany. Wojsko to co innego. Poganiają, poganiają, potem przypną ci belkę i masz spokój - sam dajesz innym do wiwatu. Jesteś człowiek, masz całe portki na tyłku. A tutaj? - szarpnął na sobie nędzne ubranko. - Tutaj chuj nocuje. Człowiek się kręci jak głupi.
- Wiesz co, kochany? - rzekł Lewandowski. - Idź ty sobie do wszystkich diabłów. I zrób to tak szybko, jak tylko możesz. Już ja cię o to proszę, kochany. Facet zamilkł i zaraz potem odszedł; Lewandowski spojrział za nim i zobaczył, że to człowieczek szczupły i

mały, nad wyraz zabiedzony; zrobiło mu się go żal. Wtedy ktoś siedzący obok powiedział:

- Z takiego szybko zrobią, kogo tylko będą chcieli - szpicla czy kaprala. Będzie kapować koleżków za receptę. Są tacy faceci. Oni każdą wojnę przetrzymają; inni wracają bez nóg - oni z medalami. Niech go wszyscy diabli prowadzą.

- Nienawidzę małych, podłych facetów - mruknął Lewandowski. - Chociaż mi ich żal.

Obejrzał się na mówiącego: był to niski, krępy chłopak w czystym, drelichowym ubraniu robotnika; twarz miał otwartą, lecz zaciętą zdecydowanie. Lewandowski poczuł do niego sympatię.

- Z nami nie oblecą się tak prędko, co? - powiedział. - Chcesz papierosa ?

- No, nie palę. Nic z palenia nie ma, niech je szlag trafi. A z nami? Nie wiem, to zależy od tego, jak inni będą się trzymać. Mnie żaden kapral nie uderzy w mordę - zabiłbym na miejscu. Kiedy mnie uderzył taki jeden bydlak, to go potem do żadnego szpitala nie chcieli przyjąć.

- Nie byłeś przecież w woju?

- Nie. Ale pracowałem w Ursusie. Mieliśmy przy-sposobienie wojskowe. Dręczyli nas jak psy. Byłem tam czeladnikiem i wywalili mnie na zbity łeb. To łobuzy! Nie chcieli nas wyzwolić, bo musieliby podnieść stawki. Kiedyś przyszedł do nas jakiś bydlak kapitan i założył "Strzelca". I trzeba było jeszcze płacić na "Strzelca" - z tych sześćdziesięciu groszy na godzinę. Kto nie chciał się zapisać do piesków dziadka - wont z fabryki. Niektórzy pękali i zapisywali się. Ja nie chciałem. Ale na PW chodzili wszyscy, musiałem i ja. Kapral taki jeden prowadził ćwiczenia; kiedyś wjechał mi na matkę, ja na jego - on mnie w zęby. Potem porachowaliśmy się; dzisiaj ma kiosk z papie-rosami w Rembertowie - z powodu utraty zdrowia. N o i wywalili mnie. Zacisnął pięści.

- Pomyśl - rzekł. - Żeby była wojna. Boże, żeby była wojna! Może by się to wszystko zmieniło? Wszystko jedno, ale tak dalej to nie ma sensu. To już lepiej kula w łeb na wojnie. Zabiliby? Może by i zabili, ale ja bym też kilku przeprowadził w chmury. Za własne życie.

- Cóż winni ci tamci żołnierze? - mruknął Lewandowski.

- Gównu mnie to obchodzi - odparł tamten. -A cóż ja komu jestem winien? Tu nikt nikomu nie winien, a wszyscy zdychają... - Splótł z chrzęstem palce; twarz jego zrobiła się nieprzyjemna, ruszał nerwowo szczękami, a po chwili rzekł: - Dwa ty-godnie temu ochajtnąłem się! Trzy lata chodziłem za nią; ona nie i nie, nie i nie. Nareszcie teraz, dwa tygodnie temu. Jeszcze nie ruszona była. I biorą mnie do woja.

- Żona nie zajac, w pole ci nie zwieje - rzekł ktoś z tyłu i roześmiał się.

- Idź do diabła! - mruknął i Lewandowski widział, jak z wściekłości zbieleły mu oczy. Potem szarpnął Lewandowskiego za rękaw i szepnął:
- Jak myślisz -wytrzyma?

- Jeśli kocha - mruknął Lewandowski bez wiary we własne słowa. - Jeśli kocha, to będzie czekać.

- Tyle dni - mówił chłopak - i tyle nocy. Będzie sama, noc w noc będzie myśleć o mnie. Jednej nocy będzie mnie kochać, drugiej nienawidzić, że zostawi-łem ją samą. Będą się koło niej kręcić faceci, co tylko czekają na żonę żołnierza. Jest młoda i ładna, cholernie ładna !

- Wyciągnął zdjęcie i pokazał Lewandowskiemu; dziewczyna nie była wcale ładna. Chłopak ciągnął:

-

- Żebyś ty widział, jakie ona ma oczy! Ja zawsze mówiłem: Halina, te oczy mnie zgubią !

Wyszedł sierżant i począł wywoływać nazwiska:

- Faliński Marian!

- Jest!

- Na salę! Fijałkowski Czesław!

- Jest!

- Na salę! Cołębiowski Franciszek...

Chłopak podniósł się szybko i obciągnął kurtkę.

- Idę - mruknął. - Trzymaj się.

- Trzymaj się. I nie myśl nic; jeśli kocha, to będzie czekać - powiedział szybko Lewandowski i uścisnął mu rękę. Uśmiechnęli się do siebie i chłopak zniknął w drzwiach sali.

- Akurat poczeka - mruknął ktoś. - Wróci i będzie miał z dziesięciu szwagrów. Diabłu uwierzę, ale nie babie. Koleżka z naszego domu poszedł do wojska; wrócił i żona go nie poznała. Chłopak wypił flaszkę, zmówił pacierz i potem najpierw ją, potem - siebie. Chłopak był charakterny. Teraz się weź, człowieku, i ożeń.

Poczęto opowiadać sobie o rozmaitych koszmarnych zdarzeniach; w powietrzu zapachniało mordem. Lewandowski ziewał ze zdenerwowania; potem kilku dobrze podchmielonych poborowych odśpiewało tradycyjną pieśń o Zdanowiczu. Zdanowicz był to żołnierz czynnej służby; pewnego razu otrzymał urlop, który spędził tak przyjemnie, iż odbiegła go chęć powrotu do pułku. W konsekwencji zabił nożem policmajstra i sześciu stójkowych, którzy przyszli po nie-go - rzecz działa się bowiem w czasach carskich. Pieśń kończyła się tak oto:

"Pędzi kibitka pustą ulicą, Felusiowi zdrowia - szczęścia wszyscy życzą. . . " Po czym zaczęto rozmawiać o czymś innym.

I znów ktoś z tyłu rzekł do Lewandowskiego:

- Odechce im się śpiewać... już niedługo, psiakrew!

- Myślisz pan? - mruknął Lewandowski.

- Nie potrzeba tutaj dużo myśleć. Wystarczy tylko, aby pchnęli ich na Polskę "B", na pacyfikację; spalą kilka wsi białoruskich i odbiegnie ich ochota do śpiewu...

Mówiący przysiadł się do Lewandowskiego; był to jakiś wymizerowany chłopak, w starej studenckiej czapce z połamanym daszkiem; Lewandowski zauważył go już wcześniej - tamten także trzymał się na uboczu, nietrudno było zrozumieć, że nie czuje się za dobrze w tym całym wrzasku i hałasie. Milczał chwilę obracając papierosa w poślódkłych palcach, potem zaczął mówić:

- Powiedzcie: i za co będą nas kaprale bić w zęby? Za ojczyznę? Powiedzcie!

- Co powiedzieć? Czego wy chcecie ode mnie? Ja też nie wiem. Księcia Józefa Poniatowskiego mam gdzieś.

- Nie o to przecież chodzi - zniecierpliwiał się tamten. - Do diabła z ojczyzną! Ojczyzna to dla mnie puste słowo. To tylko pewien ustrój i system terroryzowania człowieka. Po co to zaraz nazywać ojczyzną? To dla mnie nic nie oznacza. Tak jest czy nie? Mów pan: tak czy nie?

- Nie wiem, czy nic nie oznacza - rzekł Lewandowski. - Dla mnie chyba oznacza dużo.

- Jesteś komunistą? - zapytał tamten i wpatrzył mu się w twarz. - Ach nie, możecie mi nie odpowiadać. To nie o to zresztą chodzi. Tylko powiedzcie, czy uda wam się kiedy stworzyć ojczyznę, którą by wszyscy kochali? Nie wiem. Zawsze będzie jakiś system. Dalej: pozbawienie człowieka wolności. Popatrzcie na tych.

Teraz pójdą ze swoimi kuferkami; będą ich bić po mordzie, kazać robić żabki, pozbawiać ich aż do śmierci własnego rozumu. I będą wciąż powtarzać - ojczyzna, ojczyzna. Zabijają w nich to właśnie, co u nich najczystsze - miłość do tego kraju. I co? Potem oni wrócą i co? W co będą wierzyć? Jeśli usłyszą potem słowo "ojczyzna", będą wzdragać się z nienawiści. Czy wy to rozumiecie?

Nie dał odpowiedzieć Lewandowskiemu; oczy za-lśniły mu gorączkowo w bladej twarzy, podniecony ciągnął dalej :

- W Polsce tak zawsze było. Ołtarze świecą, ale tylko z daleka. Świętości okazują się tandetą, kiedy przyjrzeć im się z bliska. Polacy to naród tragiczny: używają słowa ojczyzna tak samo często jak słowa kurwa. Posłuchaj pan: trzy lata temu Hitler objął w Niemczech władzę; dziś jest tam świętością. Niemcy upadły przed nim na kolana. W Polsce gdy-by się znalazł Hitler - dokonałby tego w

rok. powie-działem panu już, że Polacy to naród tragiczny. Tak jest! Polacy pójdą za każdym, byle ktoś poszedł pierwszy do przodu. Polacy czekają na swego Me-sjasza, są w sytuacji bez wyjścia. Pójdą za każdym, kto podniesie latarkę; mniejsza już z tym dokąd i po co.

- Daj mi pan spokój - przerwał zdenerwowany Lewandowski. - To nie dla mnie to gadanie. Nie bądź pan taki ważny w swojej studenckiej czapce. Powiedz pan tym chłopakom, żeby za panem poszli, poślą pana do stu diabłów. Dziś słowa nic nie zna-czą; oni o tym wiedzą lepiej od pana. A w ogóle o cóż panu chodzi?

- Wiem, wiem - mówił szybko student. - Ja to rozumiem. Komunizm, pieśni, krew... Zamiast słów.

Ale cóż to jest komunizm? Jesteś pan naiwny jak każdy Polak, zapomniałem panu powiedzieć, że Polacy to naród najbardziej naiwny. Komunizm to tylko zbiorowo zorganizowana samotność. To dobra rzecz, ale tylko na krótką metę. A dalej? Cóż dalej? Nieodzowny jest przecież system jakiegoś rządzenia. I znów ta sama histeria od początku; sztandary się zszargają, słowa pójdą do lamusa, krew zaschnie i zamieni się w rdzę. Komuniści są na pewno ze wszystkich ludzi najbardziej zasługujący na szacunek, ale postać rzeczy zostaje ta sama. Ja to rozumiem: chcecie zmienić świat. Znieść przemoc i wyzysk, dać wszystkim chleb. I słusznie. Lecz cóż dalej? Szczęście? Jakie tam szczęście! Człowiek naje się i powie zaraz: co dalej? Lewandowski uczył zmęczenie, gubił myśl, nie rozumiał już, o co tamtemu chodzi: student mówił bardzo szybko, połykając połowę słów, gestykulował i wymachiwał rękami jak handlarz starzyzną, w którym wysycha dusza, jeśli nie sprzeda towaru. Lewandowski spotykał już wielu takich ludzi; wysłuchiwał ich i gardząc nimi żałował ich jednocześnie; byli jednak w jego pojęciu żalosni i słabi, niezdolni do czegokolwiek; ze słów ich wynikało, że wszystko rozumieją, wszystko by zrobili, gdyby nie to, że zmusiłoby to ich do działania; przed każdym działaniem zaś stawiali znak zapytania - milionkroć większy od wszystkiego, co chcieliby zrobić. Patrzył na bladą i szczupłą twarz tego chłopca i myślał: " Tyle mówisz o cierpieniu człowieka, a co o nim wiesz, pętaku?" Nagle ogarnęła go furia:

- Wstań pan na chwilę - rzekł ostro.

Student drgnął:

- Po co?

- Wstań pan! - zasyczał Lewandowski.

Student mrugnął oczyma i powstał. Lewandowski odwrócił go tyłem do siebie, przy czym student słuchał jak zaczarowany. Potem Lewandowski rzekł:

- Siadaj pan. A teraz ja.

Wstał i wypiął zadek przed zdumione oczy tamtego. - No jak? - zapytał.

Student milczał; Lewandowski usiadł z powrotem i rzekł:

- Rozumiemy się chyba teraz jak cholera.

- Więc tylko tego chcecie? - zapytał student. -Tylko tego? Całych portek i chleba? A więcej?

" Więcej? - pomyślał Lewandowski. - Cóż tu gadać? I co dalej? On chce, żeby powiedzieć mu, czym jest komunizm? Tego mu mówić nie warto. Nikt nie od-dałby życia za całe ubranie i chleb. Ale co on o tym może wiedzieć! Jemu żaden chleb nie będzie smakować; cóż on może wiedzieć o smaku chleba? O tym wiedzą tamci, którzy widzieli, jak zachowują się ci, których bito; którym do celi wlewano wodę z nielasowanym wapnem; których duszono własnym kałem; o tym może wiedzieć ta dziewczyna z Woli, którą rozebrano do naga, wpychano jej butelki między nogi i tam je tłuczono. Tamci wiedzą - nie on. Patrzyli w ich oczy, patrzyli, jak idą na śmierć. Długa jest droga męki ludzkiej, najtrudniej znaleźć na niej wiarę. Komuniści mają wiarę; wiara jest tym kubkiem wody, o którym marzą w czasie bicia; wiara jest ostatnim haustem powietrza, jakim oddychają przed śmiercią; wiara jest kawałkiem nieba, które widzą z celi. On tej wiary nigdy mieć nie będzie. A dalej? Dalej będzie czysta rzeka".

Sierżant wyszedł i odczytał:

- Lipiński Stefan!

- Jest!

- Na salę! Lewandowski Zdzisław!

- Jest!

- Na salę! I jeszcze dwóch Lewandowskich: Ryszard i Tadeusz. Rozebrać się. Raz, dwa! ... Lewandowski wstał. Student szepnął:

- Zaczekajcie na mnie.

Skinął głową i wszedł na salę. Począł szybko się rozbierać układając nerwowo rzeczy. Wszystkich ogarnęła jakaś gorączka i podniecenie; rwali sznurowadła, pryskały im spod rąk guziki; platali się wykonując masę niepotrzebnych ruchów. Sierżant przynaglał: -Prędzej, prędzej... - Lewandowski patrzył na chłopaków wszyscy byli chudzi, z wystającymi żebrami, kiepsko zbudowani; na ogół niscy, z zapadłymi klatkami piersiowymi; wszyscy z przedmieść, młodzi robotnicy - gdyby nawet chcieli, nie oszukaliby nikogo; ciało ludzkie, tak piękne w posągach i obrazach, na poborowej komisji przynosi wstyd; gorący wstyd palił Lewandowskiego. Padały grube żarty i przycinki, poklepywano się z hałasem; wszystko to brzmiało smutnie i nieprawdziwie. Gniew zdławił mu gardło. "~Da-lej - pomyślał patrząc na wynędzniałe ciała - co dalej?" i przypomniały mu się słowa Rączyna~ My jeszcze długo będziemy brzydzy i nie nas będą kochać kobiety.

- Co się pan tak zasłaniasz? - spytał lekarz. - Boisz się pan zgubić?

- Nie kupi mi pan drugiego - odparł Lewandowski z nienawiścią prawie; lekarze wojskowi traktowali poborowych jak bydło, które

trzeba otaksować, czy nadaje się do hodowli czy nie. Wszyscy byli nadzy; każdy człowiek nagi dość głupio czuje się wobec ubranego; słyszał, jak lekarze mówią; "Co, nie widzisz pan dobrze o zmroku? Nie szkodzi, okiem pan s...ć nie będzie, następny...", "Żeby słuchać, wystarczy mieć jedno ucho, następny...", "Pan z Radomia chyba, co? Poznałem sznyt tego samego rzezaka..."

Lekarz przyłożył słuchawkę do jego piersi; Lewandowski oddychał głęboko czerwony ze wstydu i upokorzenia. Lekarz kazał mu założyć ręce na plecy i oddychać tylko ustami; potem odłożył słuchawkę, zsunął okulary na czoło i spytał:

- Chorował pan kiedy?
- Na co?
- Na płuca.
- Nie. Nigdy.
- Kaszle pan ?
- Czasem.
- W nocy pan się poci?
- Twardo śpię, panie doktorze. Apetytu nie mam od jakiegoś pół roku. I czuję się stale zmęczony.

Lekarz zsunął z powrotem okulary i rzekł:

- Gdzie pan pracuje?

Lewandowski wzruszył ramionami.

- Jak mam pracę, to pracuję - odparł.
- Na stałe pan nigdzie nie pracuje?
- Nie.
- Weź się pan za leczenie - rzekł lekarz. - I to szybko. Pan jest chory na gruźlicę. Z tym żartów nie ma; to są dziury, rozumie pan? O ile zależy panu na życiu, rozumie pan?
- Rozumiem - powiedział wolno Lewandowski; w plecach i karku czuł nieznośne zimno. - Jutro wyjadę na Capri.

Lekarz powiedział:

- Ubrać się. Życzę powodzenia. Ratuj się pan.
- Czy to już mój koniec?
- Tutaj nic się nie kończy - rzekł lekarz - wszystko się zaczyna od początku i jest tak samo przeklęte i podłe. Może koniec jest w

piekło, ale piekło to fraszka. Prawdziwe piekło jest tutaj, na ziemi. Jest pan tak ładny i młody, że przykro mi myśleć, iż szlag pana niedługo trafi... - Dopiero w tej chwili Lewandowski zobaczył, że lekarz jest podchmielony. On to zauważył i rzekł: - Pan się dziwi? Niełatwo jest mówić codziennie stu takim jak pan, że muszą zdychać. Jutro się pan zgłosi po zwolnienie. Do służby wojskowej jesteś pan niezdolny. Adieu !

Lewandowski ubrał się i wyszedł. "Więc to tak? -pomyślał zdumiony. - Dni coraz krótsze, noce coraz krótsze. Potem wszystko się skurczy i będzie koniec". Chciał jasno sobie uprzytomnić, czy czuje strach, lecz nie czuł nic - zaledwie serce biło mu nieco szybciej. "Cholera - pomyślał. - Ostatecznie co jak co, ale śmierć mogłaby być czymś większym". Za chwilę zszedł także student. Był bardzo blady, drżały mu wargi, trzęsącymi się rękami dopinał na sobie ostatnie guziki.

- Co jest? - zapytał Lewandowski.

- Nie wiem... - Wymamrotał. - Chory jestem; nie wzięli mnie do wojska. Coś z płucami; być może, że to gruźlica - u nas w rodzinie kilka osób umarło na gruźlicę. A może oni nie chcieli mi wszystkiego powiedzieć? Jak myślicie: czy jest na to rada?

- Tak - rzekł Lewandowski. - Oczywiście! Rada jest. Mnie to powiedział pewien facet, który się na tym zna bardzo dobrze. Nie potrzeba ani pieniędzy, ani wyjazdów, ani lekarstw. W płucach, jak pewnie wiecie, są zarazki. To jest właśnie gruźlica. Na to jest jedyna rada - słońce. Słońce zabija zarazki błyskawicznie, co do jednego! Trzeba więc wyjąć płuca z klatki z piersiami i powiesić na płocie w wonny słoneczny dzień wiosenny: słońce zrobi swoje! Tylko jest jedna trudność: czym w tym czasie zabawiać chorego? Jeśli znajdziecie sobie na ten czas zajęcie - będziecie uratowani dla narodu.

Student uśmiechnął się smutnie, wyszli...

1954

- =KONIEC= -